

Zwierzęta i ludzie w baśniach i legendach dawnej Północy





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

HELENA NYBLOM

Zwierzęta i ludzie w baśniach i legendach dawnej Północy

TŁUM. AGNIESZKA STRÓŻYK

*Mojemu małemu przyjacielowi,
Pebrowi Henrikowi Törngrenowi ¹*

¹Törngren, Pebr Henrik (1908–1965) — szwedzki lekarz, psychoanalityk, pisarz i tłumacz. [przypis edytorski]

ZWIERZĘTA

ROZMOWA KONI

Pewnego dnia na początku lata po pięknym pastwisku przechadzały się dwa konie. Rosła tam zielona, soczysta trawa, całe mnóstwo pierwiosnków i w połowie już przekwitłych zawilców.

Długie gałęzie brzoź ze świeżymi, lśniącymi liśćmi podrygiwały na wietrze, podczas gdy dęby ledwo co wypuściły brązowe pąki.

Za pastwiskiem wznosiła się góra, przed nią jednak biegła szosa; pięła się zawijając jak szeroka, biała wstęga do dworu, którego dach wyzierał ponad liściasty las. Trawa na pastwisku wybornie pachniała i także musiała smakować, bo oba konie szły z głowami nisko pochylonymi, pałaszując wszystko na swojej drodze i nie zwracając na siebie wzajemnie uwagi.

Pierwszy z nich był dużym, masywnym zwierzęciem o kasztanowym kolorze i krępych nogach, jakkolwiek na jedną z nich, tylną, nieco utykał.

Z chodu i postawy dało się zmiarkować, że koń ten najlepszy okres miał już za sobą i że przepracował ciężko długie lata.

Drugi koń był nieco mniejszy i smuklejszy. Cała jego sylwetka, nogi i szyja zdradzały od razu, że jest rasowy i że za młodu musiał być prawdziwą pięknocią. Zostało mu nawet coś z manier starego fanfaron². Kolywał zadem i od czasu do czasu kokieteryjnie uskakiwał w bok albo odrzucał do tyłu grzywę gwałtownym ruchem głowy. W przeszłości stracił jedno oko, choć miało się wrażenie, że to ślepe, białe oko to monokl³, przez który patrzy przed siebie.

I gdy tak oba konie szły przez pastwisko ze zwieszonymi głowami, nagle na siebie wpadły.

Ten dystyngowany podniósł głowę, długo przyglądał się drugiemu, po czym zapytał:

— Jak mu na imię? I skąd pochodzi? Nigdy wcześniej nie widziałem go na pastwisku.

— Przybyłem tu wczoraj, ze Sztokholmu — odpowiedział ten drugi ze zmęczonym wzrokiem. — Byłem tam koniem tramwajowym, ale się mnie pozbyli, bo przeszli na elektryczne. Wołali na mnie Bamse, gdyż jestem norweskiej rasy, a do tego silny jak niedźwiedź. Cóż, sam czuję, że nie jestem już młodzieniaszkiem, ale ręczę, że gdy mnie zwalniali, pracowałem bez zarzutu. Wszystko przez te „elektryki”. I tak kupił mnie tutejszy zarządca. Naprawdę nie wiem, na co mu jestem potrzebny, ale nie mam nic przeciwko, by pochodzić sobie po zielonej trawce i trochę poleniuchować. Dotychczas raczej rzadko odpoczywałem. — Ale z kim mam przyjemność? — dodał po chwili. — Jak *wam* na imię?

Drugi z koni zachnął się, zarzucając grzywą tak, że rozsypała mu się po czole niczym chwost.

— Upraszam, by nie zwracać się do mnie per „wy” — powiedział. — Mierzi mnie ta forma i nie przywykłem do niej. Lepiej już mówmy do siebie per „ty”! Przedstawię się, jeśli pozwolisz. Na imię mi Kastor⁴. Byłem jednym z koni w słynnym zaprzęgu hrabiostwa. Jeździłem w parze z Polluksem⁵ — doprawdy zjawiskowym! On jednak już od pięciu lat spoczywa w ziemi. Dwa pozostałe konie też były pięknymi zwierzętami, jednak to ja i Polluks zawsze chodziliśmy w pierwszej parze i przyznać trzeba, że gdy tanecznym krokiem nadciągaliśmy szosą na czele hrabiowskiego powozu, to było na co popatrzeć. I nie tylko chłopci rozdziawiali buzie z zachwyty. Nie raz słyszałem, jak jakiś obcokrajowiec, przebywający z wizytą we dworze, mówił, że i na kontynencie rzadko widuje się takie piękności. Cóż, miało się okres świetności. Wspomnienia, mój panie, wspomnienia, które wciąż stanowią mą dumę. A zresztą, doprawdy nie czuję się stary. W dzień taki

²*fánfaron* — zrozumialec, pyszałek, chwalipięta. [przypis edytorski]

³*monokl* — przyrząd optyczny w formie pojedynczej soczewki, służący do korekcji wzroku, zakładany na jedno oko. [przypis edytorski]

⁴*Kastor* — w mitologii greckiej Kastor i Polluks, znani jako Dioskurowie, to bracia bliźniacy, synowie Ledy i Zeusa, patroni żeglarzy i wojowników konnych. [przypis edytorski]

⁵*Polluks* — w mitologii Polluks i Kastor, znani jako Dioskurowie, to bracia bliźniacy, synowie Ledy i Zeusa, patroni żeglarzy i wojowników konnych. [przypis edytorski]

Koń

Spotkanie

Pozycja społeczna, Miasto,
Wieś

jak ten gotów byłbym uwierzyć, że mam ledwie dwadzieścia lat! — To powiedziawszy, Kastor wykonał dość zgrabną kapriolę⁶, choć zawadził przy niej nieco przednimi nogami o jakąś kępę. — Jednak ten drobny wypadek z okiem — dodał i przewrócił swoim ślepyim okiem — ten drobny wypadek nie pozwala mi już paradować przy szczególnie uroczystych okazjach. Zostałem przeniesiony do rezerwy i obecnie uznawany jestem za przyjaciela domu. — Kastor przez chwilę posapywał, nic nie mówiąc, po czym podniósł wzrok na konia tramwajowego. — Posłuchaj! — powiedział. — Wspomniałeś o elektrycznych! Co to za rasa? Czy to są konie hiszpańskie?

— Skąd! — odpowiedział Bamse, wypuszczając wszystką trawę z pyska i obnażając w szyderczym uśmiechu swoje wielkie zęby. — To w ogóle nie są konie.

— A niech to! — zdziwił się Kastor i wlepił wzrok w Bamsego. — Jeśli to nie są konie, to *co*?

— No właśnie, *co*? — powtórzył Bamse. — Pojęcia nie mam. Ale wiem, że tramwaje ruszają przed siebie bez koni i suną jak po maśle.

— Na coś takiego możesz nabierać chłopów, ale nie rasowego konia — obruszył się Kastor. — Jakie niby wozy mogą odjechać bez koni?

— Tramwajowe, bez dwóch zdań — odparł Bamse. — Te same wielkie bestie, które przez bez mała piętnaście lat ciągałem po mieście.

— Czy to są wozy dla elit? — zapytał Kastor. — Takie jakby dorożki?

— Bynajmniej, to są wozy wielkie jak domy — odpowiedział Bamse. — Jest w nich miejsce dla dwudziestu, a może i trzydziestu osób i mają dach, więc do środka nie napada deszcz.

— Chcesz powiedzieć, że taki wóz może pomieścić całą rodzinę wraz z gośćmi? — rozdziawił buzię Kastor.

— Nie o rodziny tu chodzi — odparł Bamse. — Tramwaje są dla wszystkich, starych i młodych, wysoko urodzonych i robotników. Kto tylko zechce może wsiąść do środka i przejechać się po mieście za jedyne dziesięć *öre*⁷.

— Na jednej ławie? Obok siebie? — zdziwił się Kastor. — To musi być wielce niekomfortowe! Nasz największy powóz mieści ledwie dziesięć osób, a i tak najmłodsze z dzieci hrabiostwa muszą siedzieć na kolanach u dorosłych. Tyle dobrego, że wiadomo, na czym się siedzi. Ale żeby elity i motłoch tak obok siebie? W zamkniętym pomieszczeniu? To dopiero musi być fetor! W życiu nie zniżyłbym się do tego, by ciągnąć taki ludzki ładunek.

— Powiem ci, że raczej się nad tym nie zastanawiasz — odrzekł Bamse. — Wleczesz się noga za nogą w górę i w dół ulicami, w deszcz i śnieg, we mgle i po ciemku. I koniec końców jesteś już tak zmęczony i otepiały, że jest ci wszystko jedno, czy to cesarz czy żebrak siedzi na wozie.

— Więc pewnie cieszysz się, że to się skończyło? — zauważył Kastor. — Takie życie na ulicy musi być na dłuższą metę nie do zniesienia.

— Cóż, nie wiem, co ci powiedzieć — odparł Bamse. — Do wszystkiego można się przyzwyczaić, ale żał mi było dziś rano, że nie spotkam mojego kompana. I przykro jest pomyśleć, że już nigdy nie pojadę przez ulice i place Sztokholmu.

— Bo teraz chodzą te elektryczne? — zapytał Kastor z miną, która zdradzała, że nic nie pojmuje.

— Tak, elektryczne — powtórzył Bamse. — Ale nawet gdyby mnie wysmagali batem na śmierć, nie umiałbym wyjaśnić, jak to działa. W każdym razie jest tam coś u góry. Coś żywego, choć tego nie widać. To coś nadciąga ze świstem i chwyta tramwaje za czupryny. I gotowe! Nie da się ich zatrzymać. Gnają przed siebie, jakby je wilk gonił. Ty zrobisz ledwo kilka kroków, a po nich nie ma już śladu. Ale wiesz co, szkoda się nad tym zastanawiać, bo dają kopyto, że nigdy tego nie pojmemy — dodał Bamse, widząc Kastora, który stał jak skamieniały i słuchał. — Jak by nie było ludzkie to szczerwane kanalie — mówił dalej Bamse. — Czyż nie wymyślają najbardziej perfidnych i przebiegłych sztuczek? Bo czy kto kiedy słyszał, żeby wóz sam pędził przed siebie? Oczywiście my, konie, staniemy się teraz zbędne. Ciekawe do czego koniec końców postanowią nas wykorzystać?

⁶kapriola — jedna z najbardziej zaawansowanych figur w klasycznym ujeżdżaniu koni. [przypis edytorski]

⁷öre — drobna moneta szwedzka. [przypis edytorski]

Przemiana

Pozycja społeczna

Człowiek, Koń

— Tak, nadchodzą straszne czasy! — pokiwał głową Kastor — Co innego kiedyś... Państwo nigdy nie ruszali w drogę bez własnych koni. Słyszałem przecież, jak to było na zamku za czasów dziada mojego dziada. Wówczas konie towarzyszyły wysoko urodzonym w podróżach po całym królestwie, a nawet za morze do innych krajów. Nie do pomyslenia było, by szanowni państwo podróżowali wynajętymi końmi. Często zabierano w drogę nawet cztery, gdyż państwo mieli jeden wóz dla siebie, a drugi dla służby. W pierwszym wozie jechał hrabia i hrabina z dziećmi oraz guwernantką. W drugim pokojówka i służba z bagażami i prowiantem. Podróżowano głównie nocą, by uniknąć upału i kurzu, a wtedy moszczono dla państwa siedzenia tak wygodnie poduszkami i kołdrami, że spali równie smacznie jak we własnych łóżkach. Za to za dnia rozbijano obóz w jakimś urokliwym miejscu w cienistym lesie nad szemrzącym źródłem, skąd rozciągał się widok na żyzne okolice i błękit gór. Wówczas rozkładano na trawie obrus, a na nim wszystkie zabrane ze sobą frykasy. Albo kupowano kury w pobliskim gospodarstwie i świeżo złowione pstrągi z górskich potoków. Jeśli zepsuła się pogoda lub konie musiały odpocząć, zatrzymywano się na kilka dni, a może i tydzień, w jakimś przyjemnym gospodarstwie lub wiejskiej gospodzie. Na szczęście w *naszej* rodzinie nigdy nie brakowało pieniędzy, więc każdy mógł się spoznać, że ma do czynienia z nie byle jakimi gośćmi. Sam co prawda nigdy nie uczestniczyłem w takich wyprawach, ale wspomnienia moich przodków przetrwały w stajni, w której się urodziłem, i rzeczywiście można przypuszczać, że w tamtych czasach podróże dostarczały prawdziwych przeżyć.

— Skoro już o przygodach mowa — wtrącił Bamse — to i dziś, będąc koniem tramwajowym o psychologicznym zacięciu, nie można narzekać na brak ciekawych zdarzeń.

— Jakim to niby zacięciu? — zdziwił się Kastor.

— Psychologicznym — powtórzył Bamse. — No, jak na to mówicie tutaj, na wsi? Na to, co się tyczy człowieka; jeśli ktoś ma szczególną skłonność do przyglądania się ludziom? Doprawdy osobliwa to rasa, jeśli, jak ja, obserwuje się ją z bliska już od wielu lat i w takiej różnorodności, z jaką ma się do czynienia w tramwaju. Ludzie, oczywiście, nie mają pojęcia, że my, konie, na nich patrzymy. Myślą, że tylko człapiemy przed siebie, a potem stoimy bez ruchu, przysypiając, podczas gdy oni wysiadają i wsiadają. A my zawsze mamy na nich baczenie, więc dziś już z miejsca potrafię powiedzieć, jakiego człowieka mam przed sobą.

— Myślę, że i ja to potrafię — odparł Kastor. — Już z daleka widzę, czy osoba, która się zbliża, to ktoś ze dworu czy może jakiś prosty chłop.

— W każdym razie nie masz tu takiej różnorodności jak w dużym mieście — skwitował Bamse. — Zda mi się, że różnice między ludźmi są równie duże, co między końmi. Nie wyobrażasz sobie, ile różnych ludzkich typów ma okazję zobaczyć koń tramwajowy. Przede wszystkim występuje wprost nieskończona liczba młodych panienek. Wiele z nich robi naprawdę miłe i sympatyczne wrażenie. Pewnie mają gdzieś stajnię, w której muszą się stawić o określonej porze, bo niemal codziennie wysiadają na tym samym rogu ulicy i o tej samej godzinie. Woziliśmy też młodzieńców, którzy zawsze pokonywali tę samą trasę, przez całą zimę, aż do początku lata. Większość z nich niosła pod pachą książki albo skórzaną teczkę; nadbiegali w ostatniej chwili i wskakiwali do rozpędzonego tramwaju, więc naprawdę można się było obawiać, że połamią sobie nogi. Wszyscy oni mieli jakieś osobliwie smutne i rozkojarzone miny, ale skąd koń miałby wiedzieć, jakie to wredne rzeczy kryły te teckki; być może były powodem udręki. Czasami do wagonu wsiadały wytworne damy w szeleszczących spódnicach i z kogucim piórem u kapelusza i nierzadko musiały zadowolić się miejscem obok jakiegoś nieszczęsnego biedaczyny. Nie wyobrażasz sobie, jak nędznie i biednie wyglądają niekiedy mieszkańcy dużych miast! Aż ci się trzęsą tylne nogi, gdy ich widzisz, stojących wieczorem w świetle latarni, przemozczonych deszczem i bładozielonych na twarzach. Nieraz miałem ochotę zwrócić im tych dziesięć *öre*, które płacili za przejazd. Były też wielkie i tłuste przekupki z koszami tak pełnymi przysmaków, że wieko ledwo się domykało. Potrafiły zjeść całą tę furę żarcia jeszcze przed wieczorem, bo nazajutrz rano znów wsiadała ta sama baba z równie pełnym koszem! Więc nie dziwota, że tak napuchły! Jednak najbardziej lubiłem wszystkie te rozkoszne i beztrudne dzieci, które ciągnęły za ręce rodzice. Zawsze miały wielką uciechę z jazdy tramwajem; siedziały, patrząc przez okna swoimi wielkimi okrągłymi oczami lub kołysząc się w objęciach mam. Widziałem ich całe mnóstwo, gdy mijaliśmy inne tram-

Człowiek

Społeczeństwo, Miasto

waje i często zastanawiałem się nad tym, że ludzkie dzieci, póki są małe, niemal zawsze są takie rozkoszne, a potem, gdy dorosną, robią się tak niezmiernie odrażające. Bo czy podobają ci się tacy *panowie*, którzy mają purpurowe twarze i trzy wielkie fałdy tłuszczu na karku? — Słuchasz mnie? — zapytał Bamse, gdy Kastor nie odpowiadał.

Ale Kastor wciąż milczał. Zrobił kilka dziwacznych piruetów, jakby szedł tyłem w jakiejś *farandoli*⁸ czy *kontredansie*⁹ i przerażony wlepił oboje swoich oczu — i to zdrowe, i ślepe — w szosę.

— Co z tobą? — zapytał ze spokojem Bamse, podnosząc głowę.

— Co? No właśnie, *co* to takiego, to, co pędzi tam w dali szosą do dworu? — wyszeptał Kastor, wciąż wywijając tylnymi nogami złężnione piruety. — Wygląda, jakby wielki piec z kuchni we dworze zwariował i wyjechał na szosę. No i patrz! Patrz tylko! Czy to nie sam młody hrabia Axel z woźnicą na nim siedzą?

Bamse odwrócił głowę w tym samym kierunku i uśmiechnął się z lekka.

— Zaiste! — odrzekł. — Nie widziałeś jeszcze samochodu? W Sztokholmie mamy już tego całe zatrzęsienie.

— Tego? O czym ty mówisz? — zapytał Kastor, który teraz galopował dziko wokół pastwiska. — Jedzie na nas! Jedzie w naszą stronę! Zrobi z nas miazgę! Gdzie tu się schować? Ale co to? Nie pojmuje! Nie ma go!

Kastor stał jak skamieniały, spoglądając w stronę lasu, za którym zniknął samochód.

— To tylko najnowszy środek lokomocji — wyjaśnił Bamse, uśmiechając się z wyższością. — Doprawdy, nie potrzeba już dzisiaj koni, by ludzie mogli podróżować. Staliśmy się przeżytkiem, jedną z tych staromodnych rzeczy, które wkrótce okażą się zupełnie zbędne.

— Wóz bez koni! — wykrzyknął Kastor, który wciąż stał jak wryty, gapiąc się w dal na szosę. — Hrabowski wóz bez koni?! A jak nas mrozi! Oburzające! Nigdy się sądziłem, że będę świadkiem takiego skandalu!

— Wygląda na to, że przyjdzie ci nauczyć się z tym żyć — odpowiedział Bamse, który znów ze spokojem skubał zieloną trawę. — Trzeba ci wiedzieć, że czas biegnie naprzód. Najpierw tramwaje bez koni, a teraz i wozy bez koni. Potem, coś mi się zdaje, będzie i tak, że nawet ludzie okażą się zbędni. Póki co, muszą pilnować maszyn, które wynaleźli, ale zobaczysz, że już niedługo maszyny zaczną sobie radzić same, a wtedy ludzie okażą się równie zbyteczni jak konie.

— Tylko co wtedy poczną ci wszyscy ludzie? Do czego będą potrzebni? — zapytał Kastor, rozdymając chrapy.

— Cóż, trudno powiedzieć. — Bamse zamyślił się. — Ale kiedy ludzie nie będą już potrzebować koni, to zakładam, że pozwolą naszej rasie wymrzeć. Więc gdy maszyny przestaną potrzebować ludzi, to pewnie też pozwolą na ich wymarcie. W każdym razie to maszyny już niedługo zaczną rządzić światem.

Kastor zamrużył swoim ślepym okiem przy zachodzącym słońcu.

— Przykro jest przeżyć swoją rodzinę, jak to mnie spotkało — powiedział. — Teraz jednak żałuję jak nigdy, że nie umarłem wtedy, gdy konie i ludzie wciąż jeszcze mieli jakieś znaczenie. Czuję, że nigdy się nie odnajdę w tym nowym porządku rzeczy.

— Będziesz *musiał* — odrzekł Bamse, przeżuując w spokoju swą paszę. — Ten zaś, kto był koniem tramwajowym, nauczył się przy okazji we wszystkim odnajdywać.

SARENKI

Urodziły się na łące wysoko w bawarskich górach. Pod krzakiem jałowca matka umościła im najwygodniejsze posłanie. Spoczęły na najdorzodniejszej, wonnej trawie i zielonym, miękkim jak aksamit mchu, a dokoła nich kwitły miliony kwiatów o różnych kształtach i kolorach.

Czy widziałeś kiedyś koźlą sarny? Nie ma nic bardziej rozkosznego. Nie jest większe od niewielkiego psa, ale ma długie i chude nogi, nie grubsze od palca. Na brzuchu jest białe, a na grzbiecie ma cętkowaną sierść, brązową i białą, niemal jak u tygrysa, choć

⁸*farandola* — ludowy taniec prowansalski. [przypis edytorski]

⁹*kontredans* — historyczny figurowy taniec towarzyski wywodzący się z Anglii, popularny we Francji. [przypis edytorski]

Przemiana, Maszyna

Zwierzęta, Piękno, Natura

nie tak żółtą; do tego najśliczniejszą na świecie główkę na długiej i smukłej szyi. Uszy sterczą spiczaste po bokach głowy, pyszczek też ma taki kształt — ale najpiękniejsze ze wszystkiego są oczy. Oczy sarenki mają niemal ludzki wyraz, są wielkie i brązowe z długimi i jasnymi rzęsami.

Kiedy te dwie małe sarenki obudziły się do życia wysoko na górskiej łące, myślały tylko o jednym: chciały się czegoś napić, a ich matka miała im do zaoferowania bardzo smaczne mleko. Sarenki albo piły jej mleko, gdy ona oblizywała je i mówiła do nich czule, albo spały pod jałowcem, podczas gdy kukulka kukła gdzieś opodal, a motyle grały w berka nad trawą. Ale koźlęta, gdy miały już kilka dni, zaczęły mrugać oczami i rozglądać się dokoła.

— Co to takiego? To wszystko, co kołysz się i kołysz, ale i tak nigdy się nie zbliża? — zapytały, poruszając pyszczkami.

— To jest trawa i kwiaty — odpowiedziała matka, która leżała obok nich na słońcu.

— I po co tam stoją? — zapytały koźlątko.

— Po co? — powtórzyła matka. — Nie potrafię powiedzieć. Po prostu są i wypełniają całą łąkę i dolinę. Pewnie czekają, żebyśmy je zjadły.

— A to tam, w powietrzu? — zapytała jedna z sarenek, zadzierając głowę. — Co tak krzyczy i popiskuje?

— To są ptaki — odpowiedziała matka powoli i spojrzała w górę na słowika, który, trzepocząc skrzydłami, leciał w stronę bukowego lasu. — Śpiewa dla waszej uciechy. Prawda, że pięknie?

— No może... — odpowiedziały bez przekonania i odwróciły głowy.

— A to wielkie, to straszliwie wielkie, tam nad lasem? To, co dosięga nieba i jest białe na szczycie?

— To jest góra — odpowiedziała matka. — Nasza wielka i cudowna góra z cienistymi lasami i orzeźwiającymi wodospadami. Jak dorośnięcie, zabiorę was tam ze sobą na jedną z moich wędrówek.

— Ja wolę zostać tutaj, wśród kwiatów na łące — powiedziała jedna z sarenek.

— A ja chętnie pójdę tam z mamą! — rzekła druga. — To może jutro?

— Najpierw musicie nabrać trochę sił i podrosnąć — odpowiedziała matka. — Póki co macie nogi cieniutkie jak patyczki. Połamałybyście je sobie, idąc po kamieniach lub zaroślach.

Przez chwilę sarny leżały w zupełnym bezruchu. Dzień był bardzo ciepły i pogodny. Niebo miało intensywnie niebieski kolor, a białe chmury, zwisające nad górą, wydawały się zupełnie nieruchome, jakby wykute w marmurze. Ledwo się je dało odróżnić od pokrytych śniegiem szczytów. Znad łąki raz po raz zapachniało przyjemną wonią niezliczonych kwiatów, a w bukowym lesie słowik śpiewał tak, że mało nie pękł. Nagle jedna z sarenek podniosła głowę i powiedziała:

— Cicho! Matko, co to takiego? Co to za dziwny szum?

Matka wyciągnęła swą długą szyję i nastawiła uszu.

— Ach, to tylko wodospad, który pędzi w dół góry za lasem.

— Wodospad? — powtórzyła sarenka. — A co to takiego?

— To wielka woda, która spada ze szczytów w dolinę i nigdy się nie zatrzymuje, chyba że przychodzi sroga zima i skuwa ją lodem.

— A dlaczego tam nie zostanie? Dlaczego zbiega w dół góry?

— Nie potrafię powiedzieć — odparła matka. — Nie zadawajcie takich niemądrych pytań.

— Oj, patrzcie, patrzcie! — szepnęła jedna z sarenek cienkim, cieniutkim głosem, który brzmiał jak głos wątłego pisklaka. — Ach, matko! Co za potwór gna tu jak wicher? — zapytała sarenka i przylgnęła mocno do piersi matki.

— Przecież to tylko zając — powiedziała spokojnie matka. — Biedne i głupie zwierzę, które nigdy was nie skrzywdzi. Zresztą na tej górze i w lesie nie ma zwierząt, których musiałybyście się bać. Za to ptaki drapieżne i ludzie, owszem, mogą wam wyrządzić krzywdę i czyhają na wasze życie. Spójrzcie tylko! Tam, wysoko w górze! To orzeł! Rozpościera skrzydła i wypatruje ofiary. Schowajcie się głębiej pod krzak! I nie ruszajcie się! O, już odleciał! Nie widział was, bo byliście takie tyście daleko w dole. Ale gdybym kiedyś gdzieś

Obraz świata

Natura, Piękno

Ptak, Niebezpieczeństwo,
Porwanie

poszła, to rozglądajcie się uważnie i bądźcie czujne! Orzeł jest okrutny i straszny. Wystarczy, że was chwyci i już może unieść w górę i zabrać do gniazda na skałach, gdzie rzuci was na pożarcie swoim młodym. Dwoje z dzieci mojego brata zostało porwanych przez takiego orła bielika, który nadleciał i wbił w nie szpony. Wciąż słyszę płacz ich matki, gdy wróciła do domu i nie zastała tam swoich dzieci. Zobaczyliśmy tylko parę orlich piór i kilka dużych plam krwi przy krzakach, w których się schowały.

Na to obie sarenki zaczęły żałośnie piszczeć:

— Niech nam mama nie opowiada takich okropnych historii! Strasznie się boimy! — prosiły, drżąc jak osika na całym ciełe.

— Mądra matka w porę ostrzega swoje dzieci przed niebezpieczeństwami, które na nie czyhają. Chcę więc, byście wiedziały, kto jest naszym największym wrogiem — rzekła matka. — To człowiek. Jest groźniejszy i okrutniejszy od orła, a nawet od wilka i niedźwiedzia, które zresztą rzadko się dziś spotyka. Cała ziemia pełna jest ludzi, a ci zawsze są fałszywi i okrutni. Więc gdy tylko dostrzeżecie człowieka, to szybko, jak najszybciej musicie się gdzieś schować lub rzucić do ucieczki!

— Człowiek — powtórzyła jedna z sarenek. — A co to za zwierzę? Jak wygląda?

— Nie wiem, czy człowieka można nazwać zwierzęciem — odpowiedziała matka. — Ma tylko dwie nogi.

— Tylko dwie nogi! — powtórzyła druga sarenka. — To jak chodzi?

— Nie wiem doprawdy, jak to robią, ale na pewno potrafią i chodzić, i biegać, a gdy za nimi gonią, biegną tak szybko, że można by pomyśleć, że mają skrzydła.

— Ale dlaczego nas gonią? — zapytały sarenki.

— Bo nas nienawidzą i dążą tylko do tego, by nas zabić — odpowiedziała matka.

— Ale *dłaczego* ludzie nas nienawidzą? — dopytywały dalej młode. — Przecież nie robimy im nic złego?

— Prawda, moje dzieci, nie robimy im nic złego. Więc całe życie zastanawiam się nad tym, dlaczego chcą nas skrzywdzić. Ale tak to już chyba jest, że gdy mogą nas zabić, czują się szczęśliwi.

— To przerażające — jęknęły sarenki i przyłgnęły mocno do matki. — A myślałyśmy, że wszystko jest takie dobre i bezpieczne. Czy już zawsze przyjdzie się nam bać ptaków drapieżnych i ludzi?

— Tak długo, jak jesteście małe, nie musicie się niczego bać — uspokoiła je matka. — Ale kiedy dorośnecie, to już zawsze będziecie musiały mieć się na baczności i chyżo uciekać, gdy tylko wyczujecie jakies zagrożenie.

— A w jaki sposób ludzie nas zabijają? — zapytały dzieci, spoglądając z lękiem w twarz matki.

— Nie potrafię tego wyjaśnić! — odpowiedziała matka. — Nie rozumiem tego, ale mają w rękach przedmiot, który przypomina długą rurkę. Przykładają to do policzka, a wtedy błyska coś i strzela, a z tej rurki wylatuje kula i wpada w ciało zwierzęcia, i nie możesz już dalej biec, tylko padasz na trawę. I jeśli od razu nie umrzesz, nadbiegają ludzie z długimi nożami i wbijają ci je w szyję. I życie dobiega końca.

— Potworność! — zapiszczały sarenki. — To musi być straszne! Ale czy jesteś pewna, że to prawda? Ciebie przecież nigdy nic takiego nie spotkało? I nie masz dziur w ciełe ani blizn na szyi.

— Nie, bo uciekałam i uszłam cało — odpowiedziała matka. — Ale wiercie, wszystko to widziałam. Widziałam, jak moja matka padła od takiej kulki, a moja młoda siostra, która była najpiękniejszym zwierzęciem pod słońcem, najpierw została postrzelona, a potem dobita przez jednego człowieka. Stałam ukryta wśród drzew i widziałam, jak umiera, i słyszałam, jak, gdy było już po wszystkim, jak ten okrutny człowiek zaczął krzyczeć i dąć w róg z radości, że ją zamordował.

Małe sarenki nic nie mówiły. Leżały cichutko, trzęsąc się ze strachu.

— Jeśli usłyszycie grzmoty i pioruny, miejcie się na baczności! — ostrzegła matka. — To oznacza, że w pobliżu są myśliwi, czyli ludzie, którzy zabijają zwierzęta, a wówczas chodzi o życie.

Te przerażające historie do głębi poruszyły sarenki. Ale bardzo szybko o nich zapomniały, jak to dzieci. Błogo się im żyło na kwiecistej łące pod słonecznym niebem.

Czas, Niebezpieczeństwo,
Okrucieństwo

Człowiek, Śmierć,
Szczęście, Radość, Krzywda,
Okrucieństwo, Nienawiść

Śmierć, Zwierzę, Czas

Ucieczka, Morderstwo,
Strach

Polowanie, Broń

Mleko matki było słodkie i smaczne, a sarenki czuły się bezpieczne pod jej troskliwą opieką. Dzień za dniem mijał w sielskim, niczym niezmaconym spokoju.

A wtedy przyszedł jeden bardzo gorący dzień. Na niebie zebrały się wielkie chmury, a sarenki poczuły się śpiące i markotne.

— Poleżcie tu sobie chwilę i odpocznijcie — powiedziała matka. — Ja zejdę tylko do rzeki, żeby ugasić pragnienie. W taki upał okropnie chce się pić.

Pognała przed siebie, zwinnie podskakując, a młode wślizgnęły się pod jałowiec i ułożyły się do snu. Nagle nastawiły uszu. W oddali usłyszały jakiś dziwny głuchy rumor. Wtem... Cóż to błysnęło tak jasno, że aż musiały zamknąć oczy? Hałas przybierał na sile. Coś przetaczało się między szczytami gór, łomotało i huczało. Wydawało się, że jeszcze chwila i góry się zawalą. I wciąż błyskało, coraz jaśniej i jaśniej. Nagłe i gwałtowne promienie światła cięły chmury, po czym na las popłynęły z szumem strugi deszczu.

— To ludzie! To myśliwi! Idą tu, żeby nas zabić! — szepnęła jedna sarenka do drugiej i przysunęły się tak blisko do siebie, że wyglądały jak niewielki tobolek; bały się otworzyć oczy, a serca łomotały im ze strachu. — Słyszysz? — zapiszczała jedna sarenka do drugiej. — Słyszysz, jak strzelają? Ach, żeby tylko nasza kochana mamusia już tu do nas wróciła!

Huk z czasem ustał, ale zwierzątka wciąż leżały, trzęsąc się ze strachu i zaciskając powieki. Potem nagle poczuły, że ich matka liże je spokojnie i usłyszały jej łagodny głos:

— Jak się macie, moje maleństwa? Co za burza! Przez tę wichurę i deszcz nie mogłam wrócić do domu wcześniej.

— Byli tu ludzie! Myśliwi tu byli! Strzelali i robili potworny huk! Omal nie umarłyśmy ze strachu — krzyczały sarenki jedna przez drugą.

— Biedactwa — powiedziała matka, kładąc się przy nich. — To tylko gwałtowna burza, która przetoczyła się przez góry.

— Ale błyskało się tak, że strach było otwierać oczy — mówiły maluchy.

— Takie błyski nie robią krzywdy sarnom — odpowiedziała matka. — W każdym razie nigdy nie słyszałam, żeby którąś z nas zabiły. To coś tam u góry, w chmurach, na trochę przestaje działać, ale szybko się uspokaja, a wtedy powietrze robi się w dwójnasób świeże. Czujecie, jak cudownie wszystko pachnie po deszczu?!

Sarenki wytknęły pyszczki spod krzaka, z którego na trawę wciąż jeszcze spadały ciężkie krople deszczu.

— Rzeczywiście, pięknie pachnie! — stwierdziły. — Tylko dlaczego tam w chmurach tak przeraźliwe huczało? I skąd się bierze ten ogień, który tak nas przeraził?

— Nie umiem wam tego wyjaśnić — odpowiedziała nieco zniecierpliwiona matka. — Na świecie jest tyle niepojętych rzeczy. Czasem po prostu widać, że to nadciąga i trzeba się dostosować. Następnym razem nie będziecie się już bać. W sumie to w ogóle nie jest nasza sprawa. Spójrzcie tylko! Znowu świeci słońce! Więc może zrobimy sobie małą przechadzkę po łące? — powiedziała i podniosła się z ziemi, po czym ruszyła przed siebie spokojnie po mokrej trawie, a za nią przy zachodzącym słońcu podreptało dwoje jej małych dzieci.

Obie sarenki zawsze trzymały się swojej mamy. Ojca nigdy nie widziały, choć matka czasem o nim opowiadała.

— Jest bardzo przystojny, oj tak, to najprzystojniejszy kozioł w całej okolicy — mówiła, unosząc dumnie głowę. — Ale to on jest żywicielem rodziny i zawsze ma mnóstwo pracy. Nie rozumiem, co dokładnie robi i nie wtrącam się do tego. Był tu w domu, gdy się rodziłyście, i bardzo był z was rad, potem jednak powędrował na łąki, gdzie powietrze jest nieco chłodniejsze. Któregoś dnia odwiedzi nas tu pewnie, a wtedy pokażecie mu, jakie jesteście zdolne i grzeczne.

Ale ojciec się nie pojawił, a młode raczej za nim nie tęskniły. Czuły się bardzo szczęśliwe i bezpieczne u boku ukochanej matki.

I tak któregoś dnia, gdy maluchy miały kilka tygodni, ich matka poszła napić się wody nad rzekę, jak to miała w zwyczaju raz na dzień. Sarenki tymczasem przechadzały się po łące wśród kwiatów i zdziwione patrzyły na motyle, które wlatywały im prosto w twarz. Nagle usłyszały strzał. Głośny i dudniący. Echo odpowiedziało całą serią strzałów między górami.

— Co to? — zapytała jedna z sarenek, nastawiając uszu. — Czy to burza?

— Nie! Gdyby to była burza, widziałybyśmy pioruny — powiedziała druga, która, a gdy gruchnął strzał, o mały włos nie przewróciła się o własne nogi.

Burza

Deszcz

Matka, Dziecko

Ojciec, Matka, Rodzina

Połowanie, Strach

Postały chwilę bez ruchu, nasłuchując, ale ponieważ nic więcej nie usłyszały, ruszyły dalej przez wysoką trawę. Minęło popołudnie i zbliżał się wieczór.

— Coś długo dziś nie wraca nasza mama — powiedziała jedna z sarenek.

— Bardzo długo! A mnie tak bardzo chce się pić — rzekła druga, oblizując pyszczek. — Ale już zachodzi słońce, więc mama pewnie zaraz tu będzie.

Słońce zniżyło się i zaszło, ale matka nie wróciła. Wstał księżyc i oświetlił mgły, unoszące się nad górskimi przepaściami, a matki nie było widać. Nastala noc i wysoko na ciemnym niebie zaczęły skrzyć się gwiazdy — małe sarenki wciąż były same.

— Chodźmy spać — zaproponowała jedna. — Gdy się rano obudzimy, mama na pewno tu będzie.

Obudziły się wczesnym świtem. Wszystko dookoła tonęło w świetle. Całą łąkę zasnuły białe pajęczyny, a gdzieś w oddali sarenki usłyszały kukanie kukulki. Ale matka wciąż nie wróciła. Nie mogła już wrócić do swoich dzieci, bo gdy o zachodzie słońca piła wodę z rzeki, trafiła ją kula.

Przyszła tu tą samą drogą co zawsze, przez łąkę, wzduż lasu i w dół zbocza. Tam to, w miejscu, gdzie rzeka zakręcała, tworząc jakby niewielką zatokę pod kilkoma nisko zwisającymi bukami, można się było schronić i łatwo zejść do wody. Każdego wieczora sarna przemierzała tę samą trasę, idąc przez trawę niemal po własnych śladach. Ale pewien człowiek zauważył te ślady i przez kilka wieczorów z rzędu czatował na nią.

Nie był to sezon polowań, lecz mężczyzna okazał się kłusownikiem. Chodził po zakazanym rewirze, uważał jednak, że w takiej odległości od ludzkich siedlisk bez trudu ustrzeli sarnę i zabierze ją stamtąd tak, by nikt nie zauważył. Ustawił się na czatach za gęstymi bukami przy rzece i czekał. Sarna pojawiła się o stałej porze, niemal co do minuty, w dolinie pod szczytem. Szła powoli, od czasu do czasu podnosząc głowę, jakby chciała zaczerpnąć chłodniejszego powietrza od rzeki. Ależ była piękna! I jak lekko i zwinnie się poruszała na swoich delikatnych nogach, jak dumnie i z jakim wdziękiem unosiła swą małą i kształtną głowę. Zatrzymała się i tak stała, rozglądając się dookoła. Mężczyzna, schowany w cieniu, nie mógł znać jej myśli. Ale to piękne zwierzę czuło się bardzo szczęśliwe.

— Co za powietrze! — powiedziała do siebie. — Takie rześkie i krzepiące! A na niebie ani jednej chmurki! Słońce zachodzi, jakby miało zatonać w kwiatkach na łące. Co za widok! Śnieg płonie na szczytach gór! Pewnie gdzieś tam przechadza się teraz mój ukochany. A niedługo przyjdzie nas odwiedzić. I zobaczy, jak urosły nasze młode i jakie są grzeczne i piękne. Ach, jak cudownie, jak ciekawie i jak dobrze jest żyć!

Powiedziawszy to, zrobiła kilka beztróskich podskoków i już po chwili stała pod zwisającymi nad wodą bukowymi gałęziami. Skłoniła nisko głowę, żeby się napić, a potem ją podniosła, podczas gdy krople cały czas skapywały jej z pyska. Ponownie się pochyliła. Jednak gdy po raz trzeci skłoniła szyję, żeby ugasić pragnienie, powietrze przecięła ze świstem kula, trafiając sarnę prosto mostek.

W panice odwróciła się, by uciec, ale uszła ledwo kilka kroków bezdrzewną doliną. Tam upadła ciężko na ziemię, a krew tryskała z jej otwartej rany. Pociemniało jej przed oczami, a język zwisał teraz z pyska.

— Czy umieram? — jęknęła. — Co mi zrobiono? I kto to zrobił?

Zmąconym wzrokiem rozglądała się dookoła, szukając przyczyny tego bólu. Wtedy zza krzaków wyłonił się ciemnowłosy mężczyzna. Jego oczy płonęły jak u wściekłego drapieżnika. W prawej ręce ścisnął długi i lśniący nóż.

— Teraz rozumiem — westchnęła sarna. — Nadchodzi kres. Taki los, moja urodziwa siostra umarła, teraz kolej na mnie. — Spojrzała na mężczyznę tak smutnym i błagalnym wzrokiem, że aż musiał na chwilę zamknąć swoje oczy. — Moje góry! — wyszeptwała, patrząc na pokryte śniegiem wysokie szczyty, żarzące się w zachodzącym słońcu. — Moja piękna dolina! Moje biedne dzieciaczki! Co będzie...

W tym momencie nóż przeszył jej gardło. Raz jeszcze otworzyła swoje wielkie oczy, po czym głowa opadła jej na pierś i sarna umarła.

Mężczyzna pośpiesznie związał jej nogi, zarzucił ją sobie na ramię i pognął w las. Słońce zniknęło za górami i nastala noc.

Małe sarenki czekały na swoją matkę cały następny dzień, a gdy nie wracała, zaczęły

Świt

Zwierzę, Piękno, Szczęście

Zwierzę, Śmierć, Człowiek,
Okrucieństwo

Głód, Zwierzęta

żałośnie popiskiwać. Doskwierał im głód i pragnienie, a wciąż nie były na tyle duże, by jeść trawę i ziola. Wycieńczone wczołgały się pod krzak jałowca.

— Mamo, mamo, dlaczego do nas nie wracasz? — płakały.

Przypuszczalnie niedługo potem by umarły, gdyby nie znalazła ich pewna chłopka, która przyszła na łąkę narwać kwiatów.

Była to kobieta słusznej postury, a na imię miała Maddli. Jej mąż prowadził gospodę w Hammersbach¹⁰ i był szeroko znany ze swojego pięknego głosu. Potrafił jodłować tak, że jego głos niósł się na kilka mil, i tańczyć tak żwawo i długo, że nawet od patrzenia traciło się dech w piersiach. Sama Maddli była kiedyś wielką pięknoscią. Nie była już całkiem młoda i zdążyła obrosnąć w tłuszcz od stania w kuchni i smażenia kielbas czy pieczenia chleba dla gości oraz od smakowania mocnego i smacznego piwa, które przy tym popijała. Wciąż jednak wyglądała zaskakująco dobrze, a do tego robiła wrażenie tak miłej i serdecznej, że nie dało się jej z miejsca nie polubić. Miała życzliwe brązowe oczy i rozczulający uśmiech, a do tego wypowiadała się tak rozsądnie i z taką swadą, że rozmowa z nią stanowiła prawdziwą przyjemność. Zwykle miała strasznie dużo roboty, gdyż do gospody w Hammersbach przychodziło na odpoczynek wielu ludzi — tak chłopów, jak i turystów — dlatego też rzadko opuszczała dom. Teraz jednak potrzebne jej były kwiaty na dzień przesilenia letniego, wyszła więc na łąkę popołudniem, by nazbierać ich cały kosz. Niosła go w lewej ręce, podczas gdy prawą wrzucała do niego coraz to więcej kwiatów. A tak się złożyło, że przy samym jałowcu rosło sporo dzwonków, po które się schyliła; i wtedy jej wzrok padł na młode sarny, skulone pod krzakiem. Spojrzały na nią dwie pary brązowych, przerażonych oczu. Poza tym sarenki ani drgnęły. Leżały zupełnie bez ruchu, jakby były martwe.

Maddli stała długo, przyglądając się im, ale ich nie głaskała, bo wiedziała, że jeśli człowiek swoimi rękami dotknie młodej sarny, to jej matka już nigdy nie będzie chciała się nią zajmować, a przecież Maddli nie mogła być pewna, czy matka tych dwóch sarenek już nie żyje czy może jedynie oddaliła się na chwilę. Dlatego rozejrzała się uważnie dokoła, żeby zapamiętać to miejsce, po czym udała się z powrotem do domu ze swoimi kwiatami. Jednak gdy nazajutrz wczesnym rankiem wróciła na łąkę, zrozumiała, że sarenki są samotne i porzucone. Leżały, trzęsąc się z zimna i głodu z zamkniętymi oczami i były bliskie śmierci.

— Biedactwa — powiedziała swoim najłagodniejszym głosem i pochyliła się do sarenek. — Nie macie matki? Czyżby ją zastrzelili i zostawili was tu zupełnie same? Biedaczyska!

Wyciągnęła ręce, by je chwycić.

W tej samej chwili sarenki otworzyły oczy i zdjął je przeraźliwy strach. Czy to nie człowiek stał tam przed nimi? Nigdy wcześniej nie widziały człowieka, ale pamiętały, jak to paskudne stworzenie opisywała matka. Miało mieć tylko dwie nogi, zupełnie jak wieśniaczka, która przed nimi stała. Maddli ostrożnie podniosła sarenki z ziemi i wzięła je na ręce. Miała takie małe i zgrabne dłonie; i choć były ogorzałe i szorstkie od pracy, to umiały bardzo delikatnie podnosić i czule pieścić. Głaskała sarenki spokojnie po grzbiecie i mówiła do nich łagodnie. One jednak nie potrafiły przemóc swojego dojmującego strachu. Trzęsły się na całym ciele, a serca waliły im jak młotem. Były przekonane, że zabrano je na pewną śmierć.

Ale Maddli miała wobec nich jak najlepsze zamiary. Czują się niemal tak, jakby została ich matką. Sama miała ledwo jedno dziecko, córkę, ale ta była już dorosła i daleko u obcych ludzi.

Gdy Maddli wróciła do swojego domu w Hammersbach, wiedziała już, gdzie zakwateruje młode. Stary pies podwórkowy niedawno umarł, więc jego buda stała pusta. Wymoszczono ją od razu suchym i pachnącym sianem, na którym miały leżeć sarenki. Wpierw jednak trzeba je było napoić. Ale one zupełnie nie potrafiły pić z miski, tylko maczały pyszczki w mleku, po czym bezradnie prychały.

Co było robić? Nagle Maddli przyszła do głowy pewna myśl. Pobiegnęła do kuchni i wróciła z butelką z kauczukowym smoczkiem, z której piła jej Leni, gdy była dzieckiem. W środku było ciepłe mleko. Ledwo wetknęła ją do pyszczka jednej z sarenek,

Zwierzęta, Człowiek,
Dobro, Opieka

Opieka

¹⁰Hammersbach — miejscowość i gmina w Niemczech, w kraju związkowym Hesja. [przypis edytorski]

ta zaczęła pić tak łapczywie, że już po chwili w butelce nic nie zostało. Druga sarenka była równie pojętna, a Maddli śmiała się, odsłaniając wszystkie swoje piękne białe zęby. Myślała pewnie, że teraz już będzie mogła wykarmić swoje małe podopieczne.

Wkrótce jednak okazało się, że sarenki w ogóle nie tolerują krowiego mleka, ani koziego, o które Maddli się dla nich postarała. Dostawały straszego bólu brzucha i z każdym dniem słabły i mizerniały. Wtedy to ktoś poradził Maddli, żeby spróbowała im podać mocną kawę i herbatę rumiankową. Podobno w ten sposób udało się wyżywić inne małe, osierocone sarenki.

Pomogło! Po jakimś czasie zwierzątka nabrały sił, a ich spojrzenie pojaśniało. Zaczęły przechadzać się po podwórzu i wachać trawę i kwiaty, choć ich głosy wciąż były słabe i przypominały popiskiwanie jakiegoś małego ptaszka.

Na podwórzu, gdzie stała psia buda, był też duży przeszklony pawilon. To tam siedzieli ludzie, którzy przybywali do Hammersbach napić się kawy lub zjeść posiłek, i nierzadko zbierał się ich spory tłum. Głośno rozmawiali, śmiali się i śpiewali, i często panowała tam spora wrzawa. Sarenki trzęsły się z przerażenia, słysząc te wszystkie obce odgłosy i wczolgiwały się do budy tak głęboko, jak tylko się dało. Nigdy nie wyzbyły się strachu przed ludźmi, a jedyną osobą, do której miały zaufanie, była Maddli. Gdy przychodziła z butelką, by je nakarmić, wyciągały szyje, a potem pozwalały się jej głaskać, a nawet nosić po podwórzu. Prostowały wtedy wszystkie swoje cztery nogi i wystawiały w powietrze. Ale gdy widziały, że zbliża się ktoś obcy, szeptały jedna do drugiej:

— Spójrz na tego potwornego człowieka! Myślisz, że idzie tu, by nas zaszlachtować?

Minęło lato, a małe sarenki coraz gorzej się czuły w psiej budzie. Chybotwały się na swoich chudych nóżkach, jakby nie były do końca trzeźwe, i w końcu w ogóle już nie chciały wychodzić na podwórze. Leżały cicho i nieruchomo na swoim słomianym posłaniu.

— Słuchaj — powiedziała któregoś wieczora jedna z sarenek, gdy wszyscy mieszkańcy Hammersbach udali się już na spoczynek — pamiętasz naszą prawdziwą matkę? Nie tę, która daje nam butelkę ze smoczkami, ale tę, z której piersi piłyśmy, tę, która z taką lekkością skakała po łące?

— Oczywiście, że ją pamiętam — odpowiedziała druga. — Zobaczysz, któregoś dnia tu po nas wróci! A wtedy znów ruszymy w góry, na naszą łąkę i będziemy tam sobie chodzić wśród kwiatów i motyli.

— Ach, taka jestem zmęczona! — poskarżyła się pierwsza. — Nie mam już siły się podnieść, chce mi się tylko spać i spać.

Zamknęła oczy i spuściła głowę, a wkrótce potem obie sarenki spały głęboko.

Nazajutrz rano, gdy Maddli przyszła z butelką, sarenki w ogóle nie chciały pić. Odwracały głowy i opadały bezwładnie na posłanie.

— Teraz to już naprawdę nie wiem, co robić — westchnęła Maddli. — Nie przyjmują mleka i nie chcą pić kawy ani rumianku. Pewnie jest tak, jak mówią, że z setki sarenek, które ludzie próbują wykarmić, tylko jednej udaje się przeżyć. Wszystkie one tęsknią za samotnością wśród gór, a rosną silne i zdrowe wyłącznie wtedy, gdy piją mleko własnej matki.

I tak też było. Najpierw umarła jedna, a zaraz po niej druga sarenka.

Maddli uroniła nad nimi kilka łez i pochowała je na łące za domem.

Poza tym nikt nie smucił się z powodu ich śmierci. Przecież to były tylko dwie małe sarenki.

KURY

Nikt nigdy nie widział piękniejszego kurnika. Można by pomyśleć, że to dom zbudowany dla ludzi — taki był duży i przestronny.

Miał wycementowaną podłogę, okna sięgały aż do ziemi, a między nimi znajdowały się niewielkie drzwiczki, przez które kury wychodziły na ogrodzony wybieg, żeby pogrzebać w trawie.

Wnętrze podzielono na dwa poziomy. Wyższy składał się z wielu małych sypialni. Tam kury mogły bezpiecznie spędzać noce i nie bać się nieproszonych gości, takich jak szczury, myszy i inne szkodniki. Na podłodze dolnego pomieszczenia znajdowały się gniazda

Zwierzęta, Człowiek, Strach

Zwierzę, Śmierć

wyłożone słomą, więc bardzo wygodnie i przyjemnie zносиło się tam jaja, a wszystko było świetnie utrzymane i lśniło czystością, jak się patrzy.

Ten wielki kurnik zamieszkiwało bez mała sto kur wszystkich możliwych ras i rozmiarów, a całym zgromadzeniem rządziło pięć kogutów, nie licząc Fedora, rosyjskiego koguta-miniaturki, który biegał dookoła ze swoją drobniutką kurką Minką i mówił po rosyjsku.

Najpiękniejszy z kogutów nosił dumne imię Aleksander Wielki¹¹. Nie był już szczególnie młody, ale zachował swój majestatyczny chód i budzącą respekt sylwetkę. Jego szyję okalał najdelikatniejszy kołnierz błyszczących zielonych piór, poniżej którego dominował inny, subtelny, miodowobrazowy kolor, w dole, przy nogach, coraz ciemniejszy. Do tego Aleksander Wielki w sposób wręcz rozczulający i młodzieńczy zarzucał swoim małym czerwonym grzebykiem.

Gdy lato miało się ku końcowi, a pszenica była zżęta, całe ptactwo wypuszczano na pole, by wydziobało resztki ziarna. I tak pewnego pogodnego jesienno-go dnia na ściernisku zaroilo się od przeszczęśliwych kur i kogutów, którym pozwolono chodzić po tym raj i najeść się do syta.

Aleksander Wielki był w swoim żywiole. Dreptał niespiesznie na czele kurzej karawany i pogdakiwał wyniosłe.

— Oto i ja, Aleksander Wielki we własnej osobie! Rządę całym kurnikiem, całym polem i całym światem! — oznajmił, po czym zadarł głowę i zapiał na całe gardło.

Nagle jednak zamilkł. Jastrząb, który go wytropił, runął nań szybko jak strzała. Nie pomogło, że kogut miotał się i wydzierał. Jastrząb porwał go i odleciał do swojego gniazda w wysokich górach. Cóż, taki los może spotkać nawet Aleksandra Wielkiego!

Ponieważ najpiękniejszy kogut w kurniku tym samym marnie zginął, trzeba go było zastąpić. Pewnego dnia młoda córka gospodarzy, która zarządzała kurnikiem, pojawiła się tam z innym kogutem na rękach.

Był to kogut rasy leghorn¹², bardzo duży. Nazwano go Goliat¹³. Jego kolor przypominał mieszankę ubitych jaj i gęstej śmietany, a nogi wydawały się osłonięte kolczugą, żółtą jak musztarda. Najwspanialszy był jednak grzebień — przeogromny i płomienście czerwony. Spadał mu z czubka głowy jak jakiś hełm to na jedną, to znów na drugą stronę. Oczy koguta były pomarańczowożółte i miały jednocześnie rozszerzone i dostoyny wyraz. Z miejsca dawał po sobie poznać, że odczuwa wyższość nad wszelkim innym stworzeniem.

Kogut stanął pośrodku cementowej podłogi kurnika i zapiał. I to jak! Nawet głos Aleksandra Wielkiego wydawał się wątły jak u kogucika w porównaniu z donośnym pianiem Goliata.

Kury zebrały się w grupki i gapily w niemym osłupieniu na to nowe objawienie. Koguty wstały i podeszły do Goliata. Jeden z nich miał nawet tyle śmiałości, że też zaczął pisać, ale po miażdżącym „Kukuryku”, jakie zaprezentował Goliat, jego zabrzmiało dość pospolicie i cienko i przyjęte zostało chichotami wśród kurzych gromadek.

— Co za klasa! Jest niesamowity! — szeptała jedna kura do drugiej. — A jaki ma kolor, jaką postawę! No i te nogi, wprost idealne!

— I ten grzebień! — westchnęła największa z kur leghornów i przytknęła oczy, jakby zupełnie zauroczona jego nieopisaną urodą.

Mała Minka zastygła w bezruchu, stała w rogu i przyglądała się Goliatowi. Wtedy Fedor zbliżył się do niej i powiedział po rosyjsku bardzo szybko i zdecydowanie:

— Ani mi się waź patrzeć na tego osiłka! Jeśli tylko zauważę, że się na niego gapisz, to wydziobię ci ślepią. Zapamiętaj to sobie!

Fedor miał pioruny w oczach, taki był wściekły, ale mała Minka prędko schowała się za nim. Trzęsła się z przerażenia i szlochała:

— Jest straszny! Wprost ohydny! Mam nadzieję, że mój pan zechce mnie przed nim bronić. O, w nieszczęsny czas przybył tu zakłócić spokój naszego domu!

— Uspokój się — odpowiedział mały Fedor. — Uspokój się, głuptasko! To nie wiel-

Zwierzęta, Ptak, Władza

Ptak, Uczta

Ptak, Pycha, Śmierć,
Porwanie

Zazdrość

Głupota, Władza

¹¹Aleksander Wielki a. Aleksander III Macedoński (356–323 p.n.e.) — król Macedonii z dynastii Argeadów. [przypis edytorski]

¹²leghorn — najbardziej rozpowszechniona rasa kur znoszących jajka. [przypis edytorski]

¹³Goliat — biblijny olbrzymi wojownik filistyński, pokonany przez Dawida. [przypis edytorski]

kość zapewnia władzę. Głupi jest ten tam wielki potwór, w mig to spostrzegłem, a przy mnie możesz się czuć bezpieczna. Co by nie było, ty jesteś moja. Jesteś moją małą sło-
dziutką Minką!

— Ach, mój Fedorze — zagdakała Minka.

— Ach, moja Minko! — odpowiedział Fedor i tak podreptali razem na drugi koniec kurnika.

Jednak od tej pory w kurniku przestało być spokojnie. Dzień po dniu i godzina po godzinie Goliat zdobywał sobie serca kur, i choć kurze serce nie za wiele jest warte, pozostałe koguty i tak nie wytrzymały, widząc, że kury marzą wyłącznie o Goliacie, że są roztargnione, wykonując swoje obowiązki, i że z idiotycznym wręcz podziwem przyglądają się wszystkiemu, co Goliat robi. Tak, wystarczyło, że się gdzieś pojawił albo otworzył dziób, by zapać, a już kury podnosiły głowy, mrugały oczami i wyglądały jeszcze głupiej niż zwykle, trzęsąc się z zachwytu.

Trudno było stwierdzić, którą z kur upatrzył sobie Goliat. Wszystkim okazywał tyle samo uwagi, choć właściwie przejmował się wyłącznie sobą, a zwłaszcza swoim wielkim grzebieniem. Ani na chwilę o nim nie zapominał, za to porządnie się namęczył, zarzucając nim raz w tę, raz we w tę, to stawiając go jak koronę na głowie, to znów opuszczając jak sztandar.

— Jest jak sztandar, pod którym się walczy — powiedziała niemiecka kurka-miniaturka i zamrugła oczami. — Gdy widzę nad moją głową ten krwistoczerwony grzebień, wtedy myślę: „Wszystko, wszystko dla ojczyzny!” — wykrzyknęła i zapłakała.

— To śmieszne, że jesteście zazdrośni o Goliata! — powiedziała szwedzka kura do szwedzkiego koguta, który dreptał podenerwowany tam i z powrotem po kurniku, potrząsając swoim pierzastym kołnierzem. — Wszyscy moglibyście zostać wzorowymi, zacnymi i miłymi ojcami rodziny, ale Goliat to geniusz! A z geniuszem nie należy się porównywać! Geniusz zjawia się, gdy się tego najmniej spodziewamy, napawa nas lękiem i budzi zachwyty.

— Oj, już ja w tobie wywołam ten lęk! — wrzasnął kogut i tak wściekle zaczął dziobać kurę, że ta rozgdakała się, płacząc i zawodząc.

Wśród kur była jedna szwedzka kurka, którą nazywano Szarą. Nigdy nie grzeszyła urodą, a upływający czas raczej tego nie zmienił. Była mała i drobna i miała rzadkie, jakby wytarte upierzenie, bładę, przekrzywiony grzebyk i długie, chude nóżki. Żaden z kogutów nie zwracał na nią uwagi. Od chwili, gdy w kurniku pojawił się Goliat, Szara nie oderwała wzroku od jego dumnej figury.

— Przecież widzę, że mnie kocha! — popiskiwała z kąta, gdzie stała, wlepiając wzrok w koguta. — Choć skrywa to pod maską obojętności, a ja nie zamierzam jako pierwsza okazywać mu mojej sympatii.

Więc gdy Goliat, przechodząc obok, nawet nie odwrócił głowy, by spojrzeć na Szarą, ta aż trzęsła się z emocji.

— Przechodzi tu! Udaje, że mnie nie widzi! Ale ja odgaduję twe myśli, o najdumniejszy z kogutów! Nieszczęśniku, który nie potrafisz się przemóc i zniżyć się do tego, by okazać mi swoje uczucia! Cierpię z tobą! I kocham cię okrutnie, okrutnie!

Szara stroszyła swoje wyliniałe piórka.

Najbardziej jednak z obecności Goliata cieszyły się wszystkie białe kury, które należały do tej samej rasy, co on. Wszystkie leghorny były lśniaco białe, z lekką domieszką żółci, z którą wyraźnie kontrastował jaskrawy czerwony grzebyk. Gdakały jedna przez drugą, a tematem ich rozmów niezmiennie pozostawał Goliat.

— Ma wszystko, czego można chcieć od koguta, a nawet więcej — stwierdziła jedna z kur. — Wystarczy, że się pokaże, a już mam lepszy humor! I jakim władczym spoj-
rzeniem omiata całe nasze kurze stadko! Aż chce się być jego niewolnicą i służyć mu z oddaniem na wszystkich drogach kurzego życia!

— A jaki ma głos! — zachwycała się inna kura. — Czyż nie cudowny?! Można by pomyśleć, że to krowa ryczy!

— Chyba przeziębiona krowa! — wtrąciła trzecia kura. — Nawet te najmocniejsze tony zdają się skrywać jakąś tajemnicę, gdy pieje.

— Tak, to wielkie szczęście należeć do jego krewnych — odezwała się mała i drobna biała kurka. — Mamy jak on śnieżnobiałe pióra i ognistoczerwone grzebienie. Poza tym

Próżność

Zazdrość

Miłość niespełniona

Uroda

jest coś w naszym charakterze, co wyraźnie odróżnia nas od tych głupich i gnuśnych szwedzkich czy niemieckich kur. My się na niego bez przerwy nie gapimy i nie okazujemy mu naszego podziwu. My się z nim przekomarzamy, śmiejemy się i prowadzimy z nim pogawędki przez cały długi dzień. Czy może być coś przyjemniejszego od naszych skromnych spotkań towarzyskich, gdy przechadzamy się po podwórzu i skubimy trawkę?

— A jaki ma dowcip! — wykrzyknęła inna kura. — Kilka dni temu, gdy znalazł robaka, wypuścił go z dzioba, wykrzykując: „Czy kto widział coś podobnego?! Myślałem, że to kielbasa”.

— Hi! Hi! Ki! Ki! — zaśmiały się wszystkie kury.

— Ja zaś najbardziej sobie cenię jego wyjątkową rycerskość — odezwała się jedna gruba, biała kura. — Niepodobna wyobrazić sobie, by skubnął choć krztynę jedzenia, które nam podano, jeśli najpierw nie ustąpi miejsca damom. Przecież nie zawsze udaje się dobiec jako pierwsza i dostać to, co najlepsze; ale Goliat woli poczekać pięć minut, niż pozwolić, by jakaś biedaczyna została bez posiłku. Kilka dni temu, gdy młoda pani gospodyni rozsypywała ziarna, naprawdę wszyscy rzucili się do niej w dość ordynarny sposób, by jak najszybciej się najeść. Goliat jednak stał i rozglądał się za mną. „Pani Zuzanno”, powiedział, jak to on, nieśpiesznie i z czułością, „pani Zuzanno. Proszę tu podejść, to pomogę pani znaleźć kilka ziaren”. Po czym szarmancko przerzucił swój grzebień z jednej strony na drugą.

Największa z białych kur nie odezwała się słowem. Ostatecznie zdawała sobie sprawę, że to ona zajmuje pierwsze miejsce w sercu Goliata. O, gdyby tylko pozostałe kury wiedziały, gdyby wiedziały, co od niego usłyszała na osobności!

Ta największa biała kura miała na imię Blanche i na swój sposób przypominała Goliata. Jednak, będąc kurą, miała całkiem odmienny charakter. Była leniwa i dość głupia, jakkolwiek wyjątkowo zgrabna i wprost oślepiająco biała. Nie miała przyjaciółek wśród pozostałych kur i zwykle chodziła sama; zносиła duże i smaczne jaja, choć nie lubiła ich wysiadywać, stąd też pani gospodyni często zabierała jej jaja i podkładała jakiejś innej kurze, o silniejszym matczynym instynkcie.

I tak nadszedł pewien jesienny dzień. Właśnie przestało padać, ale niebo wciąż było zasnuwane wielkimi, ciężkimi chmurami.

Blanche dopiero co zniosła jajo i postanowiła poleżeć sobie jeszcze przez chwilę na słomie, w swoim wygodnym gnieździe. Tuż obok stał Goliat i szeptał jej do ucha czułe i pokrzepiające słowa.

— Słodziutka jesteś, Blanche! Nikt inny w całym kurniku, ba, nikt na całym świecie nie jest taki słodziutki jak ty. Wiem, najdroższa, że znoszenie jaj może być uciążliwe, ale, jak by nie patrzeć, twoje jaja są znane nawet w dalekim Göteborgu¹⁴. Jestem dumny, widząc, jakie są wielkie i ciężkie! A teraz wstawaj, to przejdziemy się trochę, zanim znów zaczniesz padać.

Blanche wciąż leżała bez ruchu, spoglądając na Goliata.

— Czy wiesz — powiedziała powoli — czy ty w ogóle wiesz, jaki jesteś piękny? Skąd, oczywiście, że nie masz o tym pojęcia!

Goliat wstał i zarzucił grzebiem.

— Ach, ten twój grzebień! Jest taki dokuczliwie powabny! — powiedziała, po czym lekko dziobnęła Goliata w jego duży czerwony grzebień, zwisający tuż przy niej.

Popłynęło kilka kropli krwi, a Blanche aż zamlaskała dziobem. Nic tak bardzo nie smakuje kurom jak mięso.

— Jeszcze kąsek! Tylko małe kąsek! — zagadkała kura i tym razem głębiej wbiła swój dziób.

A wtedy Goliat wszczął alarm — tak przeraźliwy, że zbiegły się wszystkie kury.

— Co to? Co tu się dzieje? — gdały jedna przez drugą.

Ale gdy tylko spostrzegły krew, kapiącą z grzebienia, i zorientowały się, że Blanche już posmakowała wybornego koguciego mięsa, rzuciły się na Goliata, szarpały go i targwały, i prędko i łapczywie pożarły cały jego wielki czerwony grzebień.

Śmierć, Morderstwo,
Zwierzęta, Krew

¹⁴Göteborg — szwedzkie miasto położone nad cieśniną Kattegat, stolica regionu Västra. [przypis edytorski]

Kogut nie próbował się dłużej bronić. Pociemniało mu przed oczami. Zakolysał się i padł, poraniony i zakrwawiony, jak bohater na polu bitwy.

Gdy grzebień był już do cna zjedzony, kurom zrobiło się jednak trochę wstyd. Po cichutku wyszły z kurnika, pogdakując na pół gardła. Jednak kiedy znów zaczęło padać, wróciły do pomieszczenia, choć ustawiły się długim rzędem przy oknach, skąd nie było widać Goliata. Ten dogorywał w głębi, tuż przy gnieździe Blanche.

O zachodzie słońca kogut już nie żył. Przyszła więc pora na podsumowanie jego sche-
dy.

— Jednak, jak by nie patrzeć, straszny był z niego bufon — odezwała się szwedzka kura. — Chyba się ze mną zgodzisz? — dodała, zwracając się do koguta.

— A co ja mówiłem? — wykrzyknął kogut. — Jeśli chodzi o mnie, to *nigdy* go nie tolerowałem! Ma za swoje!

— Kto by pomyślał, że jest taki wrażliwy? — szepnęła Blanche. — Ledwo musnęłam ten grzebień. Nawet go nie dotknęłam, a już polala się krew!

— To nasza rasa — zagdakały chórem wszystkie leghorny. — Taka jest nasza rasa. W naszych żyłach krew płynie szybciej i obficie niż u głupich i ociężałych Szwedek. Żyjemy szybko, za to pełnią życia. Nie czułyście, jaką miał słodką krew?

Biedna Szara stała w rogu kurnika i aż trzęsa się z żalości.

— Ja *wiem*, dlaczego Goliat zmarł! — pisnęła. — Nie chciał już żyć, bo nigdy mu nie dałam poznać, że go kocham. A Blanche była zazdrosna. Chciała wymusić na nim uczucie, którego nie mógł jej dać. Biedny, nieszczęsny Goliat.

Za to Fedor i Minka biegali po podwórzu cali i zdrowi.

— A nie mówiłem! — odezwał się Fedor. — Szczęśliwy ten, kto nigdy nie lypnął okiem na tego potwora. Już po nim, rozdarły go na strzępy wszystkie te jego adoratorki.

— Odkąd padł, nawet na niego nie spojrzalam! — zagdakała Minka.

— I niech tak pozostanie! — zgromił ją Fedor.

— Ma się rozumieć! Ma się rozumieć! — przytakiwała Minka, drepcząc za swoim małżonkiem.

— Przecież ty jesteś moja! Jesteś moją małą słodziutką Minką! — powiedział Fedor o wiele łagodniej niż zwykle.

— Ach, mój Fedorze! — zapiszczała Minka, po czym szczęśliwa para weszła do kurnika.

ŁABĘDŹ

Było sobie kiedyś miasteczko — wręcz idealne. Miało ratusz i szpital, kilka dużych szkół i wiele okazałych budowli, zarówno starych dworów, jak i wysokich, nowoczesnych domów. Posiadało też bardzo rozległy park miejski, do którego ludzie przychodzili z rodzinami na niedzielny spacer, w parku zaś był staw, na którym leżała niewielka wyspa. Stał na niej domek. Latem mieszkaly w nim łabędzie. Gdzie przebywały zimą, tego doprawdy nie wiem. Najpewniej w jakiejś szopie w parku, bo to tutejszy ogrodnik sprawował nad nimi pieczę. Ale gdy tylko powietrze się ocieplało, a na wierzbach przy stawie pojawiały się pierwsze puszyste kotki, wystawiano domek dla łabędzi i ptaki opuszczały swoją zimową kwaterę.

Wszyscy mieszkańcy miasteczka byli zachwyceni jego nienaganną prezencją. „Na całym świecie nie ma miasta tak wspaniałego jak nasze!”, uśmiechali się dumnie. „Tak malowniczo położonego! Tak zadbanego i czystego! A nasz park! Jest niezrównanie piękny ze swoim czarującym stawem czy może jeziorkiem, jak zwał, tak zwał. Nie mówiąc o pawilonie dla łabędzi! Trudno powiedzieć, w jakim stylu go zbudowano. Czy naśladuje hinduską świątynię, dalekowschodnią pagodę¹⁵ czy gotycki kościół? Jedno nie ulega wątpliwości — jest doprawdy zachwycający. A te cudowne łabędzie, sunące po wodzie! Więc choć w wielu miejscach na świecie żyją łabędzie, to nigdzie takie jak nasze! Są tak śnieżnobiałe i tak królewskie, że od samego patrzenia człowieka ogarnia podniosły nastrój”.

I tak wraz z nastaniem wiosny ludzie ruszali nad staw, ustawiali się w długich rzędach na okalających go ścieżkach i podziwiali łabędzie.

¹⁵pagoda — buddyjska budowla sakralna o kształcie wieży. [przypis edytorski]

Oba mieszkające na wyspie łabędzie były dziećmi dzikich ptaków, które swego czasu schwytano na jednym z wielkich jezior Szwecji, a następnie podcięto im skrzydła, po czym żyły i umarły w niewoli, tam, gdzie teraz znajdowali się ich potomkowie. Obecnie mieszkające w parku łabędzie nie widziały ze świata nic więcej niż staw i szopę, w której je zamykano na zimę. Im również, gdy były małe, podcięto skrzydła, więc ledwo dawały radę przelecieć w poprzek jeziora, co i tak robiły wyjątkowo rzadko. Liczono na to, że urodzą się im małe, i że z czasem spacerowicze będą mogli podziwiać całe łabędzie stadko. Okazało się jednak, że jakieś okropne i wrogie zwierzęta, to jest szczury wodne, każdego lata zjadały ich jaja.

Człowiek, Ptak,
Okrucieństwo

Zwierzęta, Konflikt, Walka

Miały norę po jednej stronie wyspy i tam czaiły się na ptaki.

Łabędzia mama, wysiadując jaja, widziała ich dzikie, roziskrzzone ślepie, które gapiły się na nią z wody — tam, gdzie pływały szczury.

Opuszczała powieki, żeby na nie nie patrzeć, ale gdy znów ostrożnie otwierała oczy, one wciąż tam były. Podciągały wargi i pokazywały swoje odstręczające siekacze, uśmiechały się z przekąsem i mówiły: „A kuku, łabędzia mamo! Dobrze te twoje jaja? Nie chciałabyś nas poczęstować?”. I wdrapywały się na wyspę przednimi łapami.

Ani za dnia, ani nocą łabędzica nie miała spokoju, gdyż żyła w ciągłym strachu przed żarłocznymi szczurami. Niekiedy jednak robiła sobie krótką drzemkę, a wtedy szczury rach-ciach wyskakiwały na brzeg i zjadały jaja. Gdy się budziła, ku swojej rozpaczy odkrywała, że jaja zniknęły i słyszała jedynie szyderczy śmiech gryzoni, które, przepływając obok, wykrzykiwały: „Dzięki za posilek!”.

A jednak pewnego lata łabędzicy udało się wysiedzieć jaja, z których wykluły się pisklęta. Jednak wtedy stała się rzecz jeszcze gorsza, bo szczury zaatakowały młode, zagryzły je i zjadły ze smakiem.

Gdy matka i ojciec łabędziątek sunęli dokoła po stawie, wznosząc wysoko swoje dumne szyje, szczury płynęły za nimi i piszczały cienkimi, nieprzyjemnymi głosami:

— Nie do wiary, jak się krygujecie! Że to w dobrym tonie mieć taką długą szyję i tak dumnie odwracać głowę? Hi, hi, hi! Jakkolwiek bądź dzieci już nie macie! Zrobiłyśmy z nimi porządek, a smakowały doprawdy wybornie. Ach tak, kłaniacie się gapiom na brzegu!? Na nas nikt nie zwraca uwagi, ale mniejsza o to! I tak jesteśmy od was silniejsze, i będziemy wam uprzykrzać życie tak bardzo, jak tylko się da — powiedziały i dały nura w piach.

Ale i ich godzina wybiła.

Ogrodnik zaczął się zastanawiać, dlaczego jaja łabędzi i ich młode zawsze giną, więc polecił starannie zbadać sprawę.

I tak to zgotowano szczerom prawdziwą krwawą łaźnię. Ich gniazda obrócono w perzynę i wyrzucono, a wszystkie szczury zatłuczono łopatami i motykami.

Ojciec łabędzi stał i przyglądał się temu ze spokojem.

— Dobrze im tak! — powiedział, skręcając swoje duże i ciężkie ciało.

Za to łabędzią matką owładnęła dzika żądza zemsty. Rozpostarła szeroko skrzydła, wyciągnęła szyję, otworzyła dziób i zaczęła pomstować i przeklinać bandytów, którzy zgładzili jej młode.

Zemsta, Przekleństwo

— Pozabijać ich! — wykrzykiwała, trzepocząc skrzydłami. — Niech żaden z tych żalonych bandziorów się nie wywinie!

Koniec końców nastała cisza, a łabędzie na powrót odnalazły spokój. Wiosną łabędzica złożyła cztery wielkie i piękne jaja, a we właściwym czasie wyjrzały z nich cztery pisklęta. Wicie pewnie, że pisklęta łabędzi nie od razu są tak pięknymi ptakami, jakimi się z czasem stają. Z wyglądu podobne są raczej do szarżółtych, niezdarnych kaczek. Ale zarówno matka, jak i ojciec byli zachwyceni młodymi. Ledwo wyszły z jaj, a już pływały za swoimi rodzicami, łapały komary i muchy i skubały trawę i szuwały przy brzegu. Szybko też rosły, o wiele szybciej niż małe dzieci, a rodzice ledwo nadążali odpowiadać na wszystkie ich pytania.

— Jak nazywa się to morze? — zapytało jedno z piskląt.

— Myślę, że to ocean — odpowiedziała matka. — A na pewno jedno z większym morz, jakie istnieje.

— Dlaczego oni wszyscy tam stoją i się na nas gapią? — zapytał drugi z łabądków,

Piękno, Próżność

odwracając głowę w stronę ścieżki okalającej staw, gdzie zebrał się spory tłum ludzi, by obserwować łabędzie.

— Podziwiają nas — odpowiedziała matka, wyciągając szyję. — Jesteśmy najpiękniejszymi ze wszystkich ptaków, więc ludzi cieszy nasz widok.

— Jesteśmy piękne! — mówiły do siebie pisklęta. — Musimy więc wyglądać dostojnie i pozdrawiać gapiów skinieniem głowy, tak jak to robi matka.

— Spójrzcie na ojca — powiedziała łabędzica — jak stoi na głowie i łowi kijanki.

Wszystkie młode odwróciły się w tę stronę, gdzie ich ojciec wykonywał swoją sztuczkę. Dawał nura i znikał, tak że ponad wodą sterczał tylko jego zadek — jak biały górski szczyt.

— Czy to nie jest wyjątkowo piękne? — powiedziała z zachwytem łabędzica. — Czy można sobie wyobrazić większy powab i większą odwagę?

Wtedy jedno z młodych pozwoliło sobie odrzec:

— Moim zdaniem to wygląda bardzo śmiesznie!

— Słucham? — oburzyła się łabędzica i zadarła głowę. — Śmiesznie? To, co robi twój ojciec, nie może być śmieszne. Jest królewskim ptakiem.

Po czym łabędź z łabędzicą kilka razy opłynęli dookoła staw, robiąc dostojne zwroty i dając się podziwiać ludziom na brzegu.

„Moje dzieci wciąż jeszcze są małe i nie tak piękne, by na nie patrzeć”, pomyślała łabędzia mama. „Ja zaś wciąż jestem młoda i urodziwa, dlatego więc nie miałabym pozwolić, by mnie podziwiano tak długo, jak tylko się da”.

Pewnego dnia pod domek łabędzi podpłynął ogrodnik. Towarzyszył mu jakiś inny mężczyzna. Siedzieli w łódce i przyglądali się ptakom.

— Jutro podetniemy im lotki¹⁶ — powiedział ogrodnik. — Nie ma co zwlekać.

— Co ten pan powiedział? — zapytało matkę jedno z młodych, gdy mężczyźni odpłynęli. — Co to znaczy, że chcą nam podciąć botki¹⁷?

— Ten pan nie powiedział „botki”, tylko „lotki”. Słuchajcie uważnie — odpowiedziała matka.

— No a co to znaczy?

— Po prostu coś, co robią z naszymi skrzydłami. Nie bardzo to potrafię wyjaśnić, ale to jest niezwykle zdrowe i zapobiega swędzeniu skóry, które sprawia, że ma się ochotę wzbić w powietrze i latać, co przecież jest zupełnie niepotrzebne.

Najmniejszy łabędź, ten sam, który wyśmiewał ojca, zadarł głowę i spojrzał w błękitne letnie niebo.

— No może, choć myślę, że cudownie by było polatać sobie tam wysoko, w chmurach.

— Bzdury wygadujesz! — zraniła go matka. — Nie wiesz, co mówisz.

Nazajutrz pojawił się ogrodnik ze swoim pomocnikiem, żeby podciąć skrzydła młodym łabędom, choć nie było to takie łatwe, bo maluchy zupełnie oszalały ze strachu. Szamotały się, piszczały i krzyczały:

— Chcą nas zamordować! Ratunku! Pomocy!

Nic nie pomogło napominanie ojca i zachęty matki. Młode wciąż uciekały i biegały dookoła tak szybko, że nie dało się odróżnić, które jest które.

Skutek był taki, że udało się podciąć skrzydła tylko dwóm łabędom, choć ogrodnik był przekonany, że podciął je wszystkim trzem.

Im dłużej trwało lato, tym bielsze i piękniejsze były młode. Dwóm starszym zaczęło się nawet podobać, że dzieci rzucają im z brzegu chleb i sucharki.

— Ale mamy dobrze! — mówiły do matki. — Mieszkamy w zamku i codziennie możemy sobie pływać po niebieskim morzu, a te piękne, ładnie ubrane dzieci przychodzą i karmią nas słodkim chlebem. Więc staramy się jak najzgrabniej wyginać szyje i dobrze się zachowywać.

Lot

Ptak, Przemiana, Piękno

¹⁶lotka — tu: długie, sztywne pióra na tylnej krawędzi ptasich skrzydeł, tworzące ich powierzchnię nośną, niezbędną do lotu. [przypis edytorski]

¹⁷botki — w tekście oryginalnym jest tutaj gra słów: (szwedz.) *stäck*a oznacza podcinanie skrzydeł lub lotek, a (szwedz.) *späck*a to faszzerowanie, zwłaszcza boczkami. [przypis tłumacza]

— Ach, śliczne z was dzieciaki — powiedziała łabędzica do młodych — i widzę, że robicie się coraz bardziej podobne do mnie. Spójrzcie tam, to hrabina ze swoimi dziećmi. Wyprostujcie szyje i płońcie jedno za drugim!

Za to najmłodszy łabędź był jakby zupełnie inny. Kto wie, czy nie dlatego, że nie podcięto mu skrzydeł.

Pewnego letniego dnia, gdy pływał z matką i siostrami po jeziorze, powiedział nagle:

— Strasznie tu nudno, matko! Nie chcę tu zostać. Chcę gdzieś wyjechać.

— Co to za fanaberie? — zdziwiła się łabędzica. — Masz tu wszystko, czego tylko można chcieć.

— To prawda, ale musi mama pamiętać, że spędziłem tu całe moje życie. Całe życie.

— Nie masz jeszcze nawet pół roku — oburzyła się. — A mówisz o całym życiu?

— Tak, bo to jakby nie patrzeć całe *moje* życie.

— Co za skaranie boskie mieć takie przemądrzałe dziecko — powiedziała matka i popłynęła przed siebie jak strzała.

Dwa pozostałe łabędki natrudziły się bardzo, by za nią nadążyć, za to najmłodszy nawet nie ruszył się z miejsca; został sam na brzegu. Kołysał się na wodzie i czuł się nad wyraz niepocieszony.

Ojciec spał kawałek dalej z głową pod skrzydłem. Głowa rodziny nie może przecież spędzać czasu na bezsensownych spacerach.

A łabędzica krążyła w tę i z powrotem, w tę i z powrotem, wzdłuż brzegu. Między drugą a czwartą w parku było mnóstwo ludzi i przyjęło się, że wtedy łabędzie pływały gdzieś przy ścieżce, witając swoich znajomych.

Ale najmłodszy łabędek odwrócił się plecami do spacerowiczów.

— Ach, głupi są wszyscy i nie chcę się im kłaniać — mówił do siebie. — Mam zmitrężyć życie na wylawianiu z wody okruchów chleba, a potem gramolić się na tę nieszczęsną wysepkę i spać w jakiejś idiotycznej pagodzie?

I tak coraz bardziej trzymał się z dala od reszty.

Wieczorem, gdy młode już spały, łabędzica skarżyła się łabędziowi na najmłodsze dziecko.

— On w ogóle się nie odzywa i nie odpowiada, jak się o coś pyta. Naprawdę zaczynam myśleć, że ma nie po kolei w głowie.

— Ach — westchnął ojciec, przysypiając — przesadasz. — Dzieci zawsze mają dość osobliwe pomysły! Doprawdy, dawno już zapomniałem, jakie myśli chodziły mi po głowie, gdy sam byłem młody. Ale śpijmy już!

Minęło lato i nadeszła jesień.

W nocy zaczęły się przymrozki, więc nastał czas, by zabrać łabędzie ze stawu.

Pewnego pogodnego poranka, gdy powietrze było lekkie i przejrzyste, a słońce świeciło jasno, choć nie grzało, ogrodnik wraz z pomocnikiem przyплыnęli na wyspę i zabrali się za wylapywanie łabędzi, żeby je przenieść do ich zimowego lokum.

— Nie róbcie scen, tylko idźcie po dobroci! — powiedziała łabędzia mama i wsiała do łodzi.

Ojciec i obie córki zrobili to samo. Ale najmłodszego łabędka dopadł paniczny strach. Czyżby chciano go wsadzić do więzienia na całą zimę, a potem, gdy przyjdzie wiosna, znów czeka go to samo: staw, park, wysepka i pagoda? O nie, *nie* zniesie tego!

Chciał się z tego wyrwać — wydostać się stąd, za wszelką cenę! Tak gwałtownie trzepotał skrzydłami, że ogrodnik musiał go wypuścić. Pognał przez park i wskoczył do przepływającego obok strumyka, pędząc w stronę morza. Zrobiło się wielkie poruszenie. Dziewczynki, chłopcy i mężczyźni pobiegli za nim, krzycząc:

— Łapać zbiega!

Nadbiegł komisarz policji w pełnym umundurowaniu i białych rękawiczkach i zakomenderował:

— Rozpiąć linę nad strumieniem! Prędko, moi panowie! Rozciągać linę!

Od razu przerzucono linę z jednego brzegu na drugi. Łabędź próbował nurkować, ale wtedy obniżono ją tak, że wpiła mu się w szyję, a gdy wspiął się wysoko w górę, znów ją podciągnięto, by nie mógł uciec. Ptak myślał, że potrafi wyłącznie pływać. Nagle jednak spojrział w niebo i zobaczył tam, wysoko w górze, całe stado dzikich łabędzi, kierujących się na południe. Wtedy rozpostarł skrzydła i — nie do wiary — te skrzydła mogły go

Obcy, Samotnik

Dzieciństwo, Rodzina

Strach, Ucieczka, Wolność

Ptak, Lot, Wolność, Radość

unieść. Powoli poszybował w górę, po czym pognął przed siebie ponad wzburzoną wodą, zamazując łopocząc skrzydłami i wyciągając szyję.

Ludzie stali z rozdziawionymi ustami i wpatrywali się w niebo. A łabędź tylko wydał z siebie głośny krzyk radości — i zniknął w chmurach, podążając w stronę morza.

PTAKI

Tak właściwie miała na imię: Mimmi, Mimmi Sylvian, ale zwykle, choć już nie była młoda, nazywano ją „panną Mimmi od ptaków”, bo wszędzie, dokąd szła, ciągnął się za nią ptasi ogon.

Zresztą sama przypominała ptaka — wrone! Była drobna i dość niskiego wzrostu, jak jakaś nastolatka, miała długie, wąskie stopy i długie, chude ręce z palcami zakrzywionymi niczym ptasie pazury.

Nawet twarz miała jak u ptaka, z chudym, mocno haczykowatym nosem, głęboko osadzonymi oczami o wypukłych powiekach i rozbieganym ptasim spojrzeniu.

Na małej okrągłej głowie tak latem, jak i zimą nosiła jedwabny, przylegający do włosów czepek, a na spacerach zawsze zakładała czarny szeroki kołnierz, opadający fałdami na ramiona. Gdy szła drobnymi krokami, lekko pochylona do przodu — a dochodząc do rynsztoków, robiła nad nimi niewielki skok — nie dało się na ten widok nie pomyśleć o wronie.

Kiedyś, dawno temu, była oczkiem w głowie rodziców, a kiedy zmarła jej matka, została ulubienicą swojego bogatego ojca i rozpieszczaną przez niego córeczką.

Miała też brata, jednego z tych kawalerów, których, pożałuj Boże, dość wielu jest na tym świecie i którzy mają wyjątkową zdolność przepuszczania pieniędzy i wpędzania w kłopoty swoich rodzin.

Wskutek tego najpierw ucierpiał ojciec, a gdy ten zmarł, panna Mimmi, która z finansów pojmowała tyle co mały ptaszek, posłusznie kreśliła swoje nazwisko na wszystkich dziwnych dokumentach, które podsuwał jej brat.

Koniec wszystkiego był taki, że brat gdzieś przepadł, a panna Mimmi na stare lata miała do dyspozycji tak skromne środki do życia jak stara wrona zimą.

Niekiedy zgłaszała się gdzieś po pomoc, ale zawsze przychodziła za późno. Zwykle uprzedził ją ktoś bardziej przedsiębiorczy i energiczny, a żadna prywatna osoba nie miała na tyle odwagi, by zaferować jej wsparcie, bo panna Mimmi była bardzo dumna i na wszystkie pytania dotyczące jej sytuacji materialnej odpowiadała:

— Dziękuję! Niczego mi nie trzeba.

To akurat była prawda, że panna Mimmi prawie niczego nie potrzebowała, nie więcej niż ptaszek.

Nigdy nikomu nie pozwoliła wejść do małego pokoiku na poddaszu, gdzie mieszkała. Skądinąd nie za wiele było tam do zobaczenia, poza czystym łóżkiem i kilkoma skromnymi meblami. To tutaj gotowała sobie swój codzienny kubek kawy i zjadała swoje sucharki, a wychodziła stamtąd tylko po to, by odwiedzić lub choć pozdrowić jedyne stworzenia, z którymi przestawała, czyli ptaki.

W czasach gdy jeszcze posiadała dużo pieniędzy, największą radością panny Mimmi było to, że może je rozdawać, i doprawdy spore sumy przechodziły przez jej chude palce. Teraz, gdy nie miała niczego, jej największym zmartwieniem stało się to, że nie ma już czego rozdawać; naprawdę nie umiała powiedzieć „nie” biedakowi. Więc nic nie mówiła i tylko odwracała głowę, wzdychając. A ponieważ niczego już nie mogła dać ludziom, pragnęła przynajmniej dzielić się tym, co jej zostało, z ptakami — i taki był teraz sens jej życia.

Najpierw miała kanarka i bardzo go kochała. Kanarek był jasnożółty, mizerny i chudy, za to śpiewał naprawdę niebiańsko, tak przynajmniej uważała panna Mimmi. Pozostali mieszkańcy domu, w który mieszkała, twierdzili, że ptak potwornie krzyczy i raz po raz ślali do niej prośby, by zabrała kanarka z otwartego okna, gdzie siedział w klatce i robił raban, i przeniosła do najciemniejszego kąta pokoju, by go uciszyć. To byłoby dla panny Mimmi zbyt bolesne, gdyż nie miała wątpliwości, że jej ptaszek doznaje nieskończonych rozkoszy, siedząc w otwartym oknie, skąd widzi niebo i słońce. Najwyraźniej przypominał sobie wówczas swoje pochodzenie, czasy, gdy jego przodkowie latali swobodnie

Kobieta, Ptak, Starość

Rodzina, Przemiana,
Upadek, Bieda

Brat, Podstęp, Pieniądz

Dom

Ptak, Dobro, Opieka

Ptak, Śpiew

po palmowych lasach Wysp Kanaryjskich¹⁸, a cała ziemia przypominała kwietny ogród, w którym ptakom wolno było siadać, gdzie tylko chciały.

Gdy jednak któregoś dnia panna Mimmi otrzymała kolejny kąśliwy liścik od sąsiadów: „Proszę zabrać tego potwornego ptaka, drze się tak, że pękają uszy!” — wstała, drżącymi rękami ściągnęła klatkę z parapetu i przestawiła na stół przy swoim łóżku.

Kanarek momentalnie zamilkł, bo trudno doprawdy mieć zapał do wysławiania pieśnią cudów nieba i ziemi, gdy zostało się postawionym w głębi ciasnego i ponurego pokoju. Przeskakiwał tylko w panice z patyka na patyk i spoglądał na swoją panią, jakby chciał powiedzieć: „Czy naprawdę nie można by mi sprawić tej małej przyjemności? Co w tym złego, że ucieszyłem się, znów widząc słońce, które przez całą zimę chowało się za murem naprzeciwko? Ach, doprawdy, czy życie musi być takie przykre?”

Panna Mimmi została w ciemnym kącie pokoju, by dotrzymać kanarkowi towarzystwa i pocieszyć go dobrym słowem.

I tak w życiu ptaka przyszedł pewien osobliwy dzień. Zaczął się krzątać i w pośpiechu wic sobie małe gniazdko.

Panna Mimmi szybko odgadła jego plany, więc by mu pomóc, chwyciła cienką koldrę w swoje chude palce i zaczęła wysupływać z niej watolinę. Koniec końców kanarkowi ze słomek, włosów i waty udało się zbudować niewielkie gniazdko, w którym złożył kilka małych jaj, i teraz zaczął je wysiadywać. Widać było, że jest szczęśliwy i czuje się ważny, i że pewnie rozmyśla o swojej spełnionej przyszłości, gdy już przestanie być sam, a będzie miał pod opieką kilka małych rozkosznych pisklaków, którymi będzie się opiekować i z którymi będzie mógł sobie porozmawiać.

Mijały jednak dni i tygodnie, a z jaj nic nie wychodziło.

Początkowo ptak był w dobrym humorze, a gdy jego pani podchodziła do klatki, mówił:

— Musimy mieć cierpliwość, panienko! Musimy mieć cierpliwość! Cierpliwość jest gorzka, ale jej owoce słodkie!¹⁹

Jednak z biegiem czasu kanarek stawał się coraz bardziej pośepny, a jego oczy zdawały się pytać: „Czy panna Mimmi naprawdę myśli, że coś z tego będzie? Zaczynam mieć dość”.

I tak któregoś ranka panna Mimmi zastała gniazdo zniszczone, a pod nim rozbite jajka. Nie umiała stwierdzić, czy ptak sam to zrobił. Jak by jednak nie było, teraz siedział cichy i rozżalony na drugim końcu klatki i raczej nie miał ochoty na pogawędki.

„I widzi panienka! Na nic się to zdało” — to wszystko, co wydawał się mówić.

Odtąd zrobił się cichszy niż do tej pory, aż któregoś dnia panna Mimmi znalazła go w klatce martwego.

Przypuszczalnie bardzo mu to jego życie doskwierało. Pani wyplakała po nim wiele drobnych, krągłych łez, a potem poszła go pochować w rogu cmentarza św. Jana²⁰. I odtąd nigdy już nie chciała mieć ptaszka w klatce.

— Jeśli nie można mu darować nic więcej, to można mu przynajmniej pozwolić zachować wolność! — oświadczyła pewnym głosem i wstawiła klatkę pod łóżko.

Jej pierwszymi przyjaciółkami wśród wolnych ptaków zostały jaskółki.

Było lato, pierwsze po śmierci kanarka. Panna Mimmi, dla której dokoła nigdy nie było wystarczająco schludnie i czysto, nie umiała pojąć, że choć szoruje i sprząta, to i tak parapet jej okna zawsze jest brudny.

Któregoś ranka spojrzała w górę i wtedy zobaczyła jaskółkę. Siedziała z przekrzywioną główką i patrzyła na nią z góry.

— Ach, przepraszam szanowną panienkę! — powiedziała. (Panna Mimmi bardzo dobrze rozumiała język ptaków). — Naprawdę nic na to nie mogę poradzić! Uważamy, jak tylko się da! Ale nasze nieszczęsne pociechy są tak małe, że nie wiedzą, co robią.

¹⁸ *Wyspy Kanaryjskie* — archipelag i jeden z regionów Hiszpanii, położony na Oceanie Atlantyckim; w rzeczywistości nazwa wysp, wbrew powszechnej opinii, nie pochodzi od słowa „kanarek”, ale od łacińskiego określenia psa „*canis*”. [przypis edytorski]

¹⁹ *Cierpliwość jest gorzka, ale jej owoce słodkie!* — znany aforyzm, którego autorstwo przypisywane jest Jeanowi-Jacques’owi Rousseau (1712–1778). [przypis edytorski]

²⁰ *cmentarz św. Jana* — historyczna nekropolia obok kościoła św. Jana w sztokholmskiej dzielnicy Norrmalm. [przypis edytorski]

Ptak, Dom

Ptak, Śmierć

Ptak, Niewola, Wolność

Swoją drogą, czy mogę je paniące przedstawić? No już, maluszki! Wystawcie mi tu głowy i przywitajcie się ładnie!

Panna Mimmi zobaczyła cztery młode jaskółki podobne do czterech słoików na półce, które z wysiłkiem odwróciły się i wyjrzały na zewnątrz. Wtedy ona skłoniła się głęboko i uśmiechnęła się:

— Dzień dobry, moje młode panny i kawalerowie! — przywitała się. — Jakże wam mija poranek?

— Jesteśmy głodne! — odpowiedziało jedno z piskląt, rozdziawiając szeroki dziób.

— Przerażliwie głodne! — dodało drugie.

— Ojciec i matka dali nam na śniadanie ledwie kilka marnych komarów! — zapisało trzecie.

— A co innego mają do roboty niż przynoszenie nam jedzenia? — powiedziało czwarte z lekkim wyrzutem w głosie.

— Ach, prawda, wybaczcie — zaszczebotała jaskółcza mama, która siedziała, lekko kołysząc skrzydłami. — Powinam pomóc mężowi łapać muchy i komary dla maluchów — wyjaśniła i już jej nie było.

Panna Mimmi przesiedziała cały dzień, patrząc, jak para jaskółek lata w tę i z powrotem z owadami dla swoich piskląt.

Te rozdziawiały szeroko dzioby i wyglądało to niemal tak, jakby otwierały połowę głowy. Ich apetyt był nienasycony. Pannie Mimmi aż żal się zrobiło jaskółczych rodziców, którzy nie mieli ani chwili wytchnienia, tylko bez ustanku gonili owady i przynosili je maluchom pod połacią dachu.

— A nie chcieliby państwo wlecieć do mojego pokoju, by wylapać muchy? — zaproponowała wreszcie. — Tyle ich tu mam, że nawet połowa powinna wystarczyć. Pewnie przyleciały ze stajni na podwórzu. Zapraszam! Okno jest otwarte, a droga wolna.

Trochę to trwało, zanim jaskółki się zdecydowały.

— Czy na pewno można jej zaufać? — szeptały do siebie.

Ostatecznie jednak zebrały się na odwagę. Szybko jak strzały wpadły do pokoju, po czym zaraz z niego wyleciały.

Niedługo potem zorientowały się, że w tym miejscu mogą się czuć bezpieczne i od tej pory panna Mimmi zaczęła, rzec by można, dzielić z nimi obowiązki domowe. Pisklęta jadły i jadły, i z nastaniem lata były już tak duże jak ich ojciec i matka.

— Teraz muszą nauczyć się latać — powiedziała któregoś dnia jaskółcza mama. — Rozmawialiśmy już o tym z młodymi, ale twierdzą, że się im nie spieszy i że to może być niebezpieczne, no i mają tysiąc innych wykrętów. Tymczasem trzeba zacząć je uczyć, bo jesienią, gdy będziemy opuszczać kraj, muszą to potrafić.

I tak rozpoczęły się lekcje latania.

— Patrzcie na nas! My, my potrafimy latać! Nie ma nic łatwiejszego, gdy się ktoś urodził ze skrzydłami. Patrzcie! Nie bądźcie takie strachliwe! No dalej, w powietrze!

Panna Mimmi słyszała, jak pisklęta, jedno przez drugie, głośno protestują.

— Nie chcemy! O wiele przyjemniej jest siedzieć na brzegu gniazda i czekać, aż mama z tą przyniosą nam jedzenie. Czy to aż tak duży kłopot? Chyba możecie to dla nas zrobić? Ale mama jest okropna, że nas stąd wypycha!

Jednak protesty na nic się zdały. Jaskółczy rodzice mieli teraz tylko jeden cel, a mianowicie nauczyć swoje dzieci latać. Te zaś, gdy tylko spostrzegły się, że skrzydła je niosą, z miejsca zrobiły się odważniejsze. Nie minęło parę dni, a latały tak samo szybko jak mama i tata i panna Mimmi nie umiała już odróżnić starych jaskółek od młodych.

I tak któregoś ranka obudził ją czarujący szczebiot jaskółczej mamy.

— Ależ pięknie pani śpiewa! — powiedziała, gdy ptak uciął. — Jaki tytuł nosi ta kompozycja?

— Ach, tak sobie śpiewałam, co mi akurat przyszło do głowy — odpowiedziała jaskółka. — Bo widzi moja panna, my już niedługo ruszamy w podróż, więc muszę jakoś dać upust całej tej mojej tęsknocie za południem. Przecież wkrótce zrobi się tak zimno i ponuro, że już nie da się tu mieszkać. Dlatego odlatujemy do południowych krajów, gdzie przez całą zimę można bujać w powietrzu i gdzie śnieg spada tylko po to, by zaraz stopnieć. Nie pojmuję doprawdy, jak panna Mimmi może chcieć zostać tutaj, w tej beznadziei.

Głód, Jedzenie, Ptak

Ptak, Lot, Szkoła

Podróż, Śpiew, Tęsknota

— Taka już moja doła! — westchnęła panna Mimmi. — Jak niby miałabym stąd uciec, skoro nie mam skrzydeł?

Jaskółka odwróciła głowę i zakołysała ogonem. Nie umiała tego zrozumieć, więc nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— To ludzie nie latają tak jak my, ptaki? — zapytała, zerkając z góry na pannę Mimmi. — Wyruszamy w najbliższą niedzielę — dodała i aż zadygotała z radości na całym ciele.

I tak, gdy przyszła niedziela, jaskółki odleciały.

Ich gniazdo opustoszało, a wkrótce nadeszły sztormy, mgły i śnieg, które zmusiły starszą panią do zamknięcia okna.

Ale gdy ziemię już przykryła biel płatków i zaświeciło zimowe słońce, wszystkie wróble z podwórza zebrały się, by poszukać czegoś do jedzenia.

Panna Mimmi zobaczyła to ze swojego okna i rzuciła im kilka kawałków drożdżowego placka. W ptasim zgromadzeniu od razu zrobił się ruch. Wróble rzuciły się jeden przez drugiego, by pochwycić okruchy ciasta, dziobały się i klóciły jak uliczni chłopcy, którym ktoś cisnął garść miedziaków.

Panna Mimmi musiała pójść po kolejny kawałek. Od tego dnia wszystkie wróble w porze śniadania spotykały się pod jej oknem, by dostać to, czym się z nimi dzieliła. Wkrótce była dobrą znajomą całego stada. Gdy tylko pokazała się na podwórzu, wróble od razu ją okrążały, skubały za spódnicę, a nawet wskakiwały jej na ręce i ramiona.

— Co dziś dostaniemy? Co nam dasz? — trajkotały wszystkie naraz — Z drogi, szczeniaku! — krzyczał jeden do drugiego, a każdy próbował podejść jak najbliżej panny Mimmi.

Ona zaś uśmiechała się i broniła przed ich natarczywą zachłannością, a jednocześnie z każdym dniem kroiliła dla nich coraz to większe kromki, sama zadowolając się absolutnym minimum.

Tymczasem zima okazała się bardzo sroga i pewnego ranka panna Mimmi usłyszała wyraźnie, jak ktoś puka do jej okna.

— Proszę wejść! — powiedziała w półśnie, ale pukanie powtórzyło się, tym razem jeszcze mocniejsze.

Panna Mimmi otworzyła oczy, ostrożnie wstała z łóżka i podeszła do okna zobaczyć, co to mogło być. Któż to dał radę wspiąć się aż do jej okna na strychu, żeby zapukać?

Wtedy w świetle jutrzeńki zobaczyła trzy czy cztery sikory bogatki, które swoimi małymi dziobami stuknęły o parapet. Ale nie było tam ani okruszka jedzenia.

— Wystroiliśmy się najpiękniej, jak umialiśmy — oświadczyły, spoglądając na pannę Mimmi. — Żółta kamizelka, biały kołnierzyk, wszystko do siebie pasuje tak zgrabnie, że lepiej nie może. Kto by się jednak spodziewał takich okrutnych mrozów! Marznąć tak parszywie, można się nabawić podagry w nóżkach i kolki w boku! Będziemy wdzięczne za najmniejszy kąsek.

Zatem panna Mimmi musiała pójść do sklepu po słoninę, którą pokroiła na małe kawałeczki i dała ptakom. Te rzuciły się na jedzenie łapczywie i widać było, jakie są wygłodzone, więc panna Mimmi miała od tego poranka na utrzymaniu również sikory.

Aż tu nagle pojawił się kolejny gość. Gil. Początkowo był sam, zadzierał głowę i spoglądał zdziwiony, jak sikory pozwalały się bez cienia zażenowania karmić pannę Mimmi; wkrótce jednak przyprowadził ze sobą kolejne, a ponieważ starsza pani wiedziała, że gile lubią owoce leśne, kupiła na targu za parę *öre* kilka gałęzi zwiędłej jarzębiny. Odtąd każdego ranka w oknie panny Mimmi robiła się wrzawa jak na zebraniu sufrażystek²¹. Roilo się tam od sikor i gili, a w dole na podwórzu stado wróbli krzykami dopominało się o jedzenie. Chcąc dogodzić tak wielu ptakom, panna Mimmi aż się cała pociła. Biegała w tę i z powrotem — zupełnie jakby urządzała elegancki podwieczorek dla wielu gości.

Potem wraz z wiosną i słońcem powróciły jaskółki. Choć tylko matka i ojciec. Pzdrowili pannę Mimmi głośnymi okrzykami radości.

— Witajcie z powrotem! — powiedziała, dygając. — A gdzie są wasze młode?

Zima, Ptak, Jedzenie

Strój, Zima, Głód

²¹*sufrażystka* — członkini ruchu walczącego na przełomie XIX i XX w. o równouprawnienie kobiet, ze szczególnym uwzględnieniem przyznania im praw wyborczych. [przypis edytorski]

— Cóż! Pobrały się i założyły własne gniazda — odpowiedziała mama-jaskółka. — Nie mają już dla nas czasu.

— Zastanawiam się, czy gdy je spotykamy, w ogóle nas jeszcze poznają — dodał ojciec. — Przed paroma dniami przeleciało tuż obok mnie kilka jaskółek i słyszałem wyraźnie, jak jedna pytała drugą: „Czy to nie nasz stary ojczulek?”. Na co tamta odpowiedziała: „Phi! Phi! Nic mnie to nie obchodzi! Teraz mam ważniejsze sprawy na głowie”.

I tak jaskółki zaczęły szykować sobie gniazdo i składać jaja na kolejny lęg. A panna Mimmi przechadzała się po ogrodzie i przyglądała się, jak jedyny rosnący tam krzak bzu wypuszcza liście i pąki i wreszcie pewnego słonecznego dnia cały pokrywa się cudownie pachnącymi wiechami. Zaś głęboko w jego wnętrzu zbudowała sobie gniazdo para gajówek.

Samica siedziała na jajach, a samiec przycupnął wśród gałęzi i wspierał ją, śpiewając najpiękniejsze pieśni. W połowie długiego trełu nagle przerwał. Dostrzegł pannę Mimmi, która stała jak zaczarowana i słuchała.

— Spójrz tylko, pani żono! — odezwał się samiec gajówki. — Widzisz ją, jak się gapi? Okropieństwo, oczy ma jak u jakiegoś starego kocura! Myślisz, że zamierza nas zjeść?

Samica siedząca na jajach w milczeniu przyglądała się panie Mimmi.

— Nie wiem — szepnęła. — Ale wygląda przerażająco! Mam nadzieję, że zaraz sobie pójdzie!

Ona jednak nie odchodziła. Stała zupełnie bez ruchu i mówiła do ptaków.

— Oczywiście, że nie zamierzam was dotykać — powiedziała swoim cienkim, drżącym głosem. — Za to z niezmierną radością słucham pańskich śpiewów. Doprawdy pomyśleć by można, że pracował pan w operze.

Samiec gajówki nie był zupełnie niewrażliwy na pochlebstwa, więc na nowo i z tym większym zapałem rozpoczął swe trele i pasaże.

Gdy skończył, panna Mimmi zaklaskała lekko w dłonie.

— Brawo! Brawo! — pochwaliła go. — *Da capo*²²! Jeszcze raz, jeśli można prosić!

A wtedy samiec po raz trzeci rozpoczął swoją arię.

Potem za każdym razem, gdy widział, że zbliża się panna Mimmi, odkasływał i szycował się do tego, by zaśpiewać dla niej najpiękniej, jak potrafił — i za każdym razem jednakowo ją zachwycał.

Po niedługim czasie panna Mimmi stała się dobrą znajomą gajówek mieszkających w krzaku bzu. Pomagała samcowi łapać drobne robaki i muchy dla samicy, która siedziała na jajach, a gdy wreszcie pojawiły się pisklaki, jako pierwsza mogła je podziwiać. Były to szkaradne, małe i nieopierzone stworzenia z dużymi głowami, ślepyimi oczami i żółtymi dziobami, zawsze szeroko rozdziawionymi w nadziei, że dostaną coś do jedzenia. Ale pani gajówka twierdziła, że to najrozkoszniejsze pisklaki na świecie, więc i panna Mimmi tak mówiła.

Gdy nastała łagodna pora roku, do zadań starszej pani doszło zajmowanie się wieloma innymi ptakami. Gołębie, które całą zimę spędziły zamknięte na jakimś strychu, teraz przeniesiono do gołębnika i latały po całej okolicy.

Panna Mimmi wysypywała im na parapet groch i każdego ranka o stałej porze zlatywały się ze wszystkich stron, by zjeść swój posiłek z jej ręki. Były wśród nich gołębie najróżniejszego koloru i wielkości, jedne śnieżnobiałe z czerwonymi dziobami i czerwonymi obwódkami wokół oczu, inne czarno-białe z pojedynczymi zielonymi plamkami na skrzydłach. Były i gołębie o przepięknie połyskującej barwie, wręcz nieopisanej, oscylującej między błękitem a różem, która zmieniała się pod wpływem światła i cienia. Wszystkie jednak miały ten sam teatralny sposób chodzenia i poruszania się. Dreptały, stawiając drobne kroczki, i przy każdym stąpieniu potrząsały głowami.

— Jesteśmy tak dobrze wychowane, tak elokwentne — mówiły. — My nie latamy dokoła jak popadnie i nie wykrzykujemy jak jaskółki. Szybujemy elegancko i z gracją, a gdy się przechadzamy, to robimy do z godnością i dbamy o postawę. Ponadto jesteśmy nad wyraz łagodne. Ach, tak barrrdzo barrrdzo łagodne — gruchały, wywracając swoimi okrągłymi oczkami. — Słyszała pani pewnie, jak ludzie raz po raz mówią, że ktoś ma

²²*da capo* (wl.) — od początku, jeszcze raz; tutaj jako instrukcja w odniesieniu do zapisu muzycznego. [przypis edytorski]

gołębie serce? Doprrrawdy możemy się spokojnie przechadzać i być dumne z tego, że służymy za wzór dla ludzkości.

W rzeczywistości jednak gołębie były dość porywcze i pazerne, więc panna Mimmi musiała starannie pilnować, by te najmniejsze i najsłabsze też coś skubnęły, bo inaczej przeganiała je reszta, z furią i bezwzględnie wydziubując wszystko dla siebie.

— Byłem pierwszy! — wykrzykiwał jeden przez drugiego. — Kto pierwszy, ten lepszy! Jakaś sprawiedliwość musi być! Co racja, to racja! Nie zamierzamy się dzielić!

A gdy już wyjadły wszystkie ziarna, dreptały dalej, przewracając oczami i gruchając:

— Jesteśmy barrrdzo mądrre, wytworrrne i łagodne!

Czasami panna Mimmi wychodziła na spacer, a ponieważ mieszkała w parafii św. Jana, często mijala ten kościół. Wówczas przystawała i spoglądała w górę na wieżę, w której mieszkały kawki, a one zerkały na nią.

— Czy to może być jakaś stara kawka? — pytały jedna drugą, po czym dodawały z namysłem: — Jest za duża! Tak, o wiele za duża.

Ale ponieważ nadal tam stała, kilka z nich zleciało z wieży, by lepiej się jej przypatrzeć. W podskokach zbliżyły się do panny Mimmi, szaro upierzone, z czarnymi jak węgiel głowami i mądrymi, połyskującymi oczami.

— Co tu robisz? — zapytały i porozsiadały się na kamieniach w pewnej odległości od niej. — Dlaczego chodzisz tu sama wokół kościoła? Dlaczego nie ma przy tobie męża i dzieci? I dlaczego nosisz taki kołnierz, w którym wyglądasz jak ptak?

Ale panna Mimmi tylko się uśmiechnęła i spojrzała na nie serdecznie.

— Masz dla nas coś do jedzenia? — zapytały kawki. — Bardzo lubimy ziarna, żyto,

owies i jęczmień. Nie ma nic lepszego! Czy znajdziesz w swoim woreczku takie pyszności? Na te słowa panna Mimmi pospieszyła do sklepiku, gdzie można było kupić jedzenie dla ptaków, po czym rozsypała je na kamieniach wokół kościoła. A wtedy, słowo daję, to dopiero zrobiła się wrzawa.

Niczym jakaś czarna chmura wszystkie kawki rzuciły się z wieży i opadły na ziarna. Krzyczały i darły się zapalczywie, dziobały się po karkach i kłóciły. Nie minęło kilka minut i po ziarnach nie było śladu, a panna Mimmi została tego dnia przyjaciółką wszystkich tych czarnych nieokrzesanych ptaków.

Odtąd nigdy już nie wybierała się w stronę kościoła św. Jana bez woreczka z ziarnem, kawki zaś rozpoznawały ją nawet ze szczytu kościelnej wieży.

— Jest i stara i jej błogosławione żarełko! — krzyczały do siebie.

Ledwo otworzyła torebkę, w której miała rożki z ziarnem, a już wszystkie ptaki były przy niej. Wskakiwały jej na buty, trzepotały skrzydłami i krzyczały:

— Szybko, szybko! Nie możemy się doczekać!

Ta czarna postać, otoczona rojem ciemnych ptaków, przedstawiała dość osobliwy widok. Chwilę później po jedzeniu nie było już śladu, podobnie jak po kawkach i pannie Mimmi.

A gdy nadeszło lato w całej swej krasie, starszej pani zdarzało się czasem wybierać na dalsze wyprawy — bywało że i na Djurgården²³. Gdy tam docierała, wchodziła w najgęstsze zarośla, między brzozy, czeremchy i topole, rozsiadała się na trawie, gdzie lodygi kwiatów pięły się wysoko w stronę światła, zamykała oczy i słuchała ptasich śpiewów.

Wczesnym latem odbywały się tutaj najprawdziwsze koncerty. Ptaki śpiewały jeden przez drugiego, każdy na swoją modłę i według panny Mimmi oddawały tym cześć cudowi życia.

Powietrze było łagodne, a nawet jeśli powiało, to wietrzyk też był delikatny i ciepły i głąskał ją po policzkach, jakby chciał powiedzieć: „Czy to ty, stara przyjaciółko? Witam na łonie przyrody! Dobrze tu. Można sobie posiedzieć w spokoju i posłuchać ptasiego śpiewu”. Po czym odlatywał.

Panna Mimmi godzinami siedziała tak i słuchała. Wokół niej latały zięby i jaskółki. Wysoko na czubku jakiegos smukłego świerku drozd dawał upust emocjom, wyśpiewując najradośniejsze melodie, a kawałek dalej, wśród gałęzi brzozy siedziała kukulka — choć

Ptak, Jedzenie, Kłótnia

Natura, Muzyka

²³ *Djurgården* — (szwedz.) zwierzyniec, wyspa w Sztokholmie, dawne królewskie tereny łowieckie, a obecnie popularne miejsce spacerów. [przypis edytorski]

nie dało się jej dostrzec — i skandowała swoje „kuku”, robiąc raz dłuższe, to znów krótsze przerwy.

Zdaniem panny Mimmi lato było najpiękniejsze w takich właśnie chwilach — i tak rok za rokiem.

Nie minęło wiele czasu, a ptaki na wyspie Djurgården przyzwyczyły się do niej; skądinąd nigdy nie przychodziła tam z pustymi rękami. Siedziała zatopiona w zaroślach i krzakach, a one przylatywały i jadły ziarenka i okruchy chleba prosto z jej ręki. Zdarzało się nawet, że któryś usiadł jej na ramieniu lub głowie i stamtąd, niczym ze sceny, odśpiewywał swoją arię. Otaczał ją trzepot skrzydeł, piski i świergoty, ptaki fruwały w tę i z powrotem między gałązkami. Ona zaś siedziała w bezruchu, jakby była babką ich wszystkich, dzielącą z nimi smutki i radości.

Po przesileniu letnim w lesie robiło się ciszej. Wówczas ptaki miały mnóstwo pracy przy swoich młodych.

Lato mijało, a wkrótce po nim przychodziła jesień, gdy ptaki śpiewające odlatywały, a gałęzie drzew rozwiewał zimny silny wiatr. Panna Mimmi coraz rzadziej docierała aż na Djurgården. W końcu nadciągały pierwsze białe płatki śniegu. Wówczas zamykała się w swoim niewielkim pokoiku i mogła już tylko gwarzyć z wróblami na podwórzu i ptakami, które zostały na zimę.

Mawiano, że jest głuchoniema, i nie było w tym nic dziwnego. Tak rzadko rozmawiała z ludźmi, że koniec końców niemal zupełnie straciła mowę. Za to język ptaków rozumiała doskonale, zresztą im nie musiała nic odpowiadać.

I tak mijały miesiące i lata, a panna Mimmi niewiele się zmieniała. Nie miała na świecie nikogo, kto przysparzałby jej trosk, a jej własne potrzeby stawały się coraz to skromniejsze, więc na nic nie musiała już tracić sił. Panna Mimmi była teraz bardzo stara. Pewnego dnia obudziła się tak zmęczona, że pomyślała, iż już się nie podniesie. Nazajutrz było tak samo. Właśnie nadeszła wiosna i przez na wpeł otwarte okno wskoczył do środka wróbel. Spojrzał na nią i zapytał:

— Jak się miewa panna Mimmi?

— Raczej marnie! — odpowiedziała.

— A czy nic nie możemy dla pani zrobić? — chciał wiedzieć ptak.

— Możecie. Bądźcie tak miłe i zawołajcie jaskółki — rzekła przyjaźnie.

Jaskółki były jej ukochanymi ptakami.

Wróbel wyskoczył przez okno, a niedługo potem do pokoju wleciał z impetem pan jaskółka.

— Wi-wi! Jak się panna Mimmi miewa? — zapytał i usiadł przy zagłówku łóżka. — Rozumiem, że to nic poważnego?

— Nie wiem, doprawdy — odpowiedziała z wolna panna Mimmi. — Ale czuję, że już nie dam rady ustać na nogach. Kto wie, czy nie pora mi umierać.

— Jeśli tak, to nie będzie już panna Mimmi musiała wstawać i chodzić — powiedział i przekrzywił swoją małą główkę. — Bo wtedy wyrosną pannie skrzydła i będzie mogła latać. A to, szczerze powiedziawszy, o wiele przyjemniejsze.

— Tyle że do nieba jest tak daleko! — westchnęła staruszka i spojrzała na cienkie pasmo wiosennych chmur ponad dachami domów.

— Racja! — zaszczebotał pan jaskółka. — I to właśnie jest najcudowniejsze! Chyba nie chciałaby panna Mimmi, żeby się obniżyło i przykryło ją jak parasol? Gdyby tylko panna wiedziała, co to za uczucie: rzucić się w przestworza i wiedzieć, że nie da się osiągnąć ich kresu! Można jedynie lecieć, coraz dalej i dalej, i wzbijać się w górę w nieskończoność, i opadać w dół w nieskończoność. Nawet gdyby zaprzęć całą moc swoich skrzydeł, to i tak przemierzy się ledwie fragmencik tego wielkiego firmamentu.

— Tylko że ja nie potrafię — westchnęła staruszka.

— Nasze młode też tak mówią, ale tylko za pierwszym razem. Potem nie mogą już wysiedzieć w spokoju i bez przerwy chcą latać — odpowiedział jaskółczy ojciec. — Proszę tu sobie spokojnie leżeć, a ja zaśpiewam pannie Mimmi i opowiem, jak cudownie jest tam wysoko ponad chmurami.

Tak oto staruszka leżała zupełnie bez ruchu, a pan jaskółka, który siedział u jej wezłowia, zaczął swój trel.

Człowiek, Zwierzęta,
Przyjaźń

Lot

Śpiewał o tym, jak łatwo jest latać, i jakie małe i nic nieznaczące wydaje się wszystko na Ziemi, gdy się ją widzi z góry. Śpiewał o powietrzu, które unosi jak morskie fale, i o blasku słońca, które świeci i grzeje. Z każdą chwilą śpiewał z coraz większym zapalem. Staruszka zamknęła oczy. Wydało się jej, że teraz i ona niespiesznie szybuje w górę. Dokoła robiło się coraz jaśniej i jaśniej, po czym nagle spłynął na nią osłepiający blask, a wtedy rozpostarła ramiona i uśmiechnęła się.

— Odwieczna światłość! — powiedziała powoli.

Pan jaskółka zorientował się, że w pokoju zapanowała jakaś osobliwa cisza i zamilkł.

— I jak się panna Mimmi teraz czuje? — zapytała, spoglądając w dół na poduszkę.

Ale ona nie odpowiedziała.

Umarła.

W ciągu dnia przyleciały wszystkie ptaki z podwórza, żeby popatrzeć na pannę Mimmi z parapetu. Wróble tłoczyły się i popychały.

— Była z niej doprawdy wytworna kobieta! — ćwierkały jeden przez drugiego. — Taka serdeczna i szczodra. I nigdy nas nie zraniła, ani nie wyśmiała, choć nazywają nas ulicznikami wśród ptaków. Ach, kto nam teraz będzie dawał okruchy chleba, kto się z nami przywita w mroźny zimowy poranek?

Przydreptały też gołębie, przewracając swoimi okrągłymi oczkami i gruchając niemrawo.

— Była taka łagodna, taka łagodna — szeptały między sobą. — Jak gołębica; i miała gołębie serce. A grrroch od niej był wprrrrost wyborrrny! Rozpływał się w dziobie! Ach, gdyby tylko wciąż mogła mieć to szczęście i nas karmić, nas, takie piękne i dobre gołębie!

A gdy pannę Mimmi złożono w trumnie i wyniesiono na podwórze; postawiono ją na chwilę pod krzakiem bzu, w którym mieszkała gajówka.

— Zmarła? — zapytał malutki ptaszek, ostrożnie wystawiając główkę zza gałązek. — Ach, zmarła? Mimo to raz jeszcze dla niej zaśpiewam, bo tylko ona naprawdę umiała docenić moją muzykę.

Powiedziawszy to, gajówka zaczęła piosenczkę tak piękną, jakiej nie słyszano jeszcze nigdy. Śpiewała aż do utraty sił, a jej ostatnie słowa brzmiały:

— Śpij smacznie, o najdroższa, ty, która jednego pragnęłaś, naszego szczęścia! Za wszystko dziękujemy, o najmilsza, najukochańsza, o najpiękniejsza z ludzkich córek!

I tak powieźli pannę Mimmi od ptaków w drogę, a za trumną ciągnął długi skrzydlaty kondukt. Na jego czele leciały wróble, potem gołębie, a najwyżej ze wszystkich szybowaly jaskółki. Gdy słońce zaczęło się zniżyć, jaskółki wciąż krążyły nad grobem z przesywającym świstem. Po czym odleciały długim sznurem na zachód. Słońce zniknęło i nastala noc.

BANICI

W głębi lasu, u podnóża góry, leżało jezioro. Rzadko pojawiał się tam jakiś człowiek, a rośliny i zwierzęta wiodły szczęśliwe życie w niezmaconym niczym spokoju. Ze skał z wielkim impetem spadał dół wodospad, przez co powietrze miało tam wyjątkową świeżość, która utrzymywała się nawet w najgorętsze letnie dni. Przez wiele stuleci nic nie przeszkadzało rosnąć sosnom, więc teraz niektóre z nich były naprawdę potężne i wyciągały swoje korony wysoko ku niebu. W dole stały świerki, dęby i dzikie jabłonie, a wszystkie one darzyły stare sosny wielkim szacunkiem.

— Nasz wzrok sięga bardzo daleko — mówiły sosny — więc możecie być pewne, że jeśli tylko zobaczymy, że do naszego lasu zbliża się coś niebezpiecznego lub wrogiego, od razu wam o tym doniesiemy. Możecie stać spokojnie i cieszyć się pięknem lata.

Tak więc wszystkie drzewa rozparły się wygodnie na boki, ile się dało. Brzozy stały z rozpuszczonymi włosami i z wolna kręciły głowami.

— Ładnie nam w tych opadających swobodnie pasmach — uśmiechały się. — Nie bez powodu nazywa się nas szlachciankami lasu. Żadne inne drzewo nie ma kory tak aksamitnie gładkiej i tak białej jak my, a nasz zapach jest niezwykle kojący. Wśród konwalii znalazłyśmy całe rzesze adoratorek. Rosną w kępach u naszych stóp, wydychając swój wonny zachwyty nad tym, że mogą być aż tak blisko nas.

Śmierć

Las, Drzewo

Próżność, Drzewo

Słońce drżało na brzoźowych listkach tysiącem świetlnych refleksów, a wiatr lekko podwiewał kołyszące się gałęzie. Za to tęgie dęby o ciemnozielonym listowiu stały niewzruszone.

— Nie łatwo jest żyć — pomrukiwały. — Gdy nadchodzą wichury i śnieżyce, trzeba nadstawić pleców i nie ulegać. Wiele już razy omal nie przygięło nas do ziemi, ale temu, kto szczerze postawił sobie za cel odniesienie zwycięstwa, w końcu się to udaje. A teraz możemy się już czuć bezpieczne, mając korzenie głęboko w ziemi. Niestraszne nam żadne burze. Przeciwności dodały nam siły, więc tylko śmiejemy się z wichur.

Tuż obok rosły niewielkie osiki. Wszystkie drzewa dygotały. Trzęsły się nieustannie — wiało czy nie.

— Skąd u was ta strachliwość? — zapytały dęby. — Nie możecie stać w spokoju i jak reszta drzew cieszyć się pięknym lata?

Ale osiki pokręciły głowami i zatrzęsły się całe aż do podstawy pnia.

— Naprawdę nic na to nie poradzimy. To trochę tak, jakbyśmy zawsze spodziewały się jakiegoś nieszczęścia lub przykrej niespodzianki. I bądźcie pewne, że któregoś dnia coś się wydarzy, choć nie możemy powiedzieć, co. Ale *coś* na pewno się stanie!

Ich liście zdrząły jak młode i niespokojne serduszka.

Zaś ciemne świerki stały niewzruszone i przyglądały się osikom.

— Któregoś dnia wszyscy umrzemy — powiedziały spokojnie. — Przecież to wiadomo od początku. Ale nie trzeba sobie od razu marnować życia nieustannym zamartwianiem się o to, co ma nadejść. Zachowajcie spokój! Całkowity spokój! Wdychajcie to łagodne powietrze i pochłaniajcie jak najwięcej cudownego słonecznego światła, a nade wszystko cieszcie się tą chwilą, która jest.

— Jestem dokładnie tego samego zdania — powiedziała dzika jabłoń, cała w kwieciu. — Tak się cieszę, że znów przyszło lato, że aż zakwitłam na wszystkich gałęziach. Wiem, moje jabłka raczej nie będą najsmaczniejsze, a może zdarzyć się i tak, że burzowe ulewy postrącają kwiaty i w ogóle nie wydam owoców, ale póki co nie martwię się na zapas. Teraz mam jedno zadanie: kwitnąć, a gdy moje różowe pąki lśnią na tle wodospadu, to doprawdy aż radość patrzeć.

Cała jabłoń roiła się od pszczoł odurzonych winnym aromatem. „Cóż za obfitość! Cóż za błogosławiony zbytek!”, myślały. „Bezpłatna konsumpcja i to doprawdy sowita! A im więcej się pije, tym jakby więcej zostaje”.

Na trawie aż mieniło się od kwiatów — konwalii, wyki, pierwiosnków, siódmaczka, maruny i jaskrów — a wszystkie one rozmawiały ze sobą i się śmiały. Motyle, trzepocząc skrzydełkami, przelatywały z jednego kielicha na drugi.

— Wszystkie jesteście takie słodkie, słodkie i oszalamiające! — szeptały. — A każdy inny! Jeden jest błękitny jak niebo, inny żółtozłoty. Dlaczego? Jeden jest długi i smukły, drugi z kolei mały i krągły. Skąd to się bierze?

— Gdybyśmy to wiedziały... — zaśmiały się głośno kwiaty. — Tak już zostałyśmy stworzone.

— Ach, to doprawdy czarujące! — wykrzyknęły motyle, kręcąc piruety w powietrzu. — Gdyby tak dało się orzec, który z was jest najpiękniejszy. Ale to niewykonalne.

Tymczasem w gęstwinie liści gruchały niemrawo leśne gołębie.

— Prawda, że nam tu dobrze! Czego nam trzeba więcej? — mówiły. — Dokoła pachnie las. Słońce sączy się przez gałęzie i nikt na całym świecie nie mąci tego szczęścia! Wkrótce będziemy mieć gniazdo pełne młodych, które podzielą naszą radość i będą sobie latać swobodnie w leśnej gęstwinie i bawić w cho-cho-chowanego! Frrru!

Głęboko wśród sosen stało duże mrowisko. Było prawie tak wielkie jak snop siana, gdyż mrówki już od wielu długich lat je budowały. Miliony ich pełzły w górę i w dół, w tę i z powrotem, wśród małych suchych igielek, nieustannie zajęte tym, by mrowisko stawało się jeszcze większe.

— Nie szczędźmy sił! — wołały, zachęcając się nawzajem do roboty. — Nie pracujemy dla siebie samych! Pracujemy dla przyszłości tego miejsca. Czy to ma jakieś znaczenie, że setki tysięcy mrówek padną tu i umrą, skoro mrowisko będzie coraz większe?! A będzie! Stanie się czymś niesamowitym, sięgnie wysoko aż do chmur! Nie możemy sobie pozwolić na odpoczynek, ani za dnia, ani w nocy. Dla nas liczy się tylko praca i krzątanie. Nie mamy czasu na siedzenie na gałęziach i śpiewanie całymi godzinami jak leniwe ptaki.

Strach

Pszczoła

Kwiaty

Owad, Praca, Dziedzictwo,
Czyn, Społeczeństwo,
Społecznik

My musimy coś osiągnąć, zostawić po sobie jakieś dzieło, zadbać o to, by, gdy wkrótce padniemy nogami do góry, nasze imię wciąż żyło!

I mrówki pognały dalej, jak rzeka małych pelzających owadów.

Po trawie biegly zające, pędząc dziko przed siebie; nagle jednak przycupnęły, by w spokoju spałaszować jakiś liść, który akurat znalazły.

— Wspaniale tu wśród zieleni! — mówiły, poruszając noskami. — Nie ma nic lepszego od beztroskiego biegania wśród ziół i traw! Śnieg stopniał, a ziemia jest tak przyjemnie ciepła i miękka. Gdyby nie lisy, świat byłby wprost idealny! A tak, cóż, trzeba mieć oczy i uszy otwarte, żeby zejść z drogi szelmie, gdy pojawi się w okolicy!

Na samą myśl o lisie zając dał susa i schował się pod krzakiem dzikiej róży. W wodospadzie tańczyły ryby. Polyskiwały w słońcu jak srebrne świetliki, a czasem nawet łosoś wyskakiwał z pluskiem z wody i zakreślał w powietrzu długi łuk, goniąc pędzące w dół fale. Zaś w najgorętszej godzinie dnia, gdy wszystkie rośliny i zwierzęta robiły sobie krótką południową drzemkę, w górze na skałach pojawiała się huldra²⁴. Była olśniewająco piękna. Rozpuszczała swoje długie złote włosy, pozwalając zwiewnej sukni opaść na ziemię, po czym z krzykiem rzucała się w wodospad i jak strzała pędziła w dół po spienionych wodach. Gdy się pojawiała, ptaki milkły, a kwiaty zamykały kielichy — jak wtedy, gdy nastaje wieczór. Wszystkie zaś leśne zwierzęta wpełzały głęboko pod krzaki. Widział ją tylko orzeł, szybujący wysoko nad wodospadem. Zastygał w powietrzu jak kropla i z zachwytu trzepotał skrzydłami.

— Ach, precudna królowo lasu, pozdrawia cię król przestworzy! — wykrzykiwał.

Huldra jednak kontynuowała swoją zabawę, żeglując w dół wodospadu. W końcu siadała na skale, wymachując nogami nad wodą. Zaplatała włosy w gruby warkocz, śpiewając przy tym tak pięknie, że słuchały jej wszystkie ptaki, a żadne drzewo nie miało odwagi zaszeleścić. Ale gdy tylko cienie zaczynały się wydłużać, huldra odchodziła i znikła w górach.

Gdy kończył się letni dzień i przypelzała krótka noc, z wodospadu wstawały mgły, a wraz z nimi zjawiały się elfy, by zatańczyć swój taniec z woalami. Sunąc powolnie w księżycowym świetle, zawiąły nad wodą i zaczynały wic się i skręcać w najbardziej osobliwy sposób. Unosiły się i opadały, rozchodziły się i schodziły w tajemnicze kręgi, a wtórował im kos siedzący na szczycie pobliskiej sosny.

— To piękne, piękne! — śpiewał. — Nie wiem, jak to wyrazić! Aż krztuszę się ze wzruszenia! Cóż za noc! Zorza wieczorna wciąż stoi na niebie, a na wschodzie już delikatnie świta! I jak pięknie pachną kwiaty i zioła, i jaki tu panuje spokój! To właśnie jest mój kraj, cudowniejszego nie znajdziesz na Ziemi!

Gdy tylko zaczynało świtać, elfy znikwały, a mgły odpływały, sunąc po tafli wody. Za to kos wciąż siedział na czubku sosny wpatrzony w gwiazdę poranną, która zapaliła się w pobliżu wschodzącego słońca. Śpiewał coraz to pełniejszym głosem: „Spokój, błogosławiony, cudowny spokój!”.

*

Wtedy to, pewnego letniego dnia, na drodze przy wodospadzie pojawiło się dwóch mężczyzn. Jeden był właścicielem okolicznych ziem. Nazywał się Hans Brask. Drugi, inżynier Nils Ljune, był jego przyjacielem. Przybył na prowincję, do dworu, w którym mieszkał Brask, i tak już od kilku dni przechadzali się po okolicy i robili przegląd majątku.

Młodzi mężczyźni zatrzymali się przy wodospadzie.

— Naprawdę cię na to stać? — zapytał inżynier, wskazując na spienione wody.

— Co masz na myśli? — zdziwił się Hans Brask.

— Całą tę wodę? Całą tę niewykorzystaną energię, która się tu marnuje?

— Prawdę powiedziawszy, nigdy się nad tym nie zastanawiałem — odpowiedział Hans Brask. — Jest taka piękna!

— W rzeczy samej — zgodził się inżynier. — Tyle, że to bardzo kosztowna przyjemność. Pomyśl tylko o wszystkim, co ta woda mogłaby napędzać!

²⁴huldra — istota mityczna ze skandynawskich wierzeń ludowych, kobiecy demon uważany za leśny odpowiednik trolla. [przypis edytorski]

Czarownica

Las, Człowiek

Człowiek, Natura, Piekło,
Pieniądz

— Na przykład? — zapytał Brask.

— Po pierwsze powinienes założyć tu tartak, a wówczas wodospad stanie się twoim pokornym sługą. Może napędzać maszyny, zaopatrywać cię w światło elektryczne i robić dla ciebie wszystko, co tylko będziesz chciał. No a ten las! Takie drzewa! Mają już swoje lata! A każde jedno doskonale się nada na maszty. Przyszedł czas, by odpłaciły się za swoje długie i beztrioskie życie.

Hans Brask nie odpowiadał. Ale słuchał. A inżynier mówił dalej, gdy tymczasem ruszyli w dalszą drogę i zniknęli na leśnej ścieżce.

Wodospad nie usłyszał, o czym rozmawiali. Huczał tak głośno, gnając w dół w słonecznym blasku, i tak mu się spieszyło, by spuścić po skałach swoje wzburzone wody, że zupełnie nie zwracał uwagi na ludzi. Za to stare sosny w lesie i rosłe dęby wszystkiego nasłuchiwały.

— Ten mężczyzna, który tak długo mówił, nie jest nam życzliwy — szepnęła jedna sosna do drugiej. — Zobaczycie, to początek naszej zguby. Bo czy nie powiedział, że czas już, byśmy się odpłaciły za swoje długie i beztrioskie życie?

— Powiedział — przytaknęło inne drzewo.

— Patrzył na nas z podziwem, a jednocześnie osądzał i stwierdził, że nadajemy się na maszty. Kto wie, jak długo jeszcze dane nam będzie żyć!

Drzewa szeptały jedne do drugich i wkrótce cały las szumiał. Wszystkich ogarnął lęk. Gałęzie kołysały się, a liście trzęsły. Zniknął gdzieś błogi, letni spokój.

— Od dawna już spodziewamy się, że spadnie na nas jakieś nieszczęście. Ale to? Co to takiego? I skąd przychodzi?

Powietrze poruszało się dziwnie, zrobiło się tak jakoś parno i groźnie, jak przed burzą. Zające siedziały i strzygły uszami.

— Czyżby szykowano tu polowanie? — pytały, trzęsąc górną wargą.

— Czy będą do nas strzelać?

— Lepiej bierzmy nogi za pas!

Rozpierzchły się i pochowały w najgęstszych zaroślach.

Nawet kwiatom zdało się, że drzewa przekazują sobie szeptem jakąś złowrogą tajemnicę. Spoglądały z niepokojem w oczach na gałęzie nad swoimi głowami, a gdy przyleciały motyle, wywijając fikołki w powietrzu, nie miały najmniejszej ochoty na figle.

— Nie możecie choć na chwilę się uspokoić? — zapytały z wyrzutem. — Czasami chyba wolno pomyśleć o czymś poważnym.

Mrówki niczego nie spostrzegły. Tak żarliwie pracowały.

— Nie dla nas samych! — powtarzały, biegnąc przed siebie z igliwem i drobnymi paticzkami — Nie dla nas! Ale dla tego miejsca i dla przyszłości. I dla wszelkiej współpracy! Nasze mrowisko będzie czymś wyjątkowym. Nikt jeszcze takiego nie widział!

W południe, gdy huldra przyszła wykąpać się w wodospadzie, w pierwszej chwili i ona niczego nie zauważyła.

Wodospad huczał równie gromko i gnał w dół jak zwykle.

Ale gdy już usiadła na krawędzi skały, by zapleść swoje złote włosy, pomyślała, że las jest jakiś dziwnie zaszępiiony.

— Co to stało się z moim lasem? — zawołała i puściła zajęczka swoim złotym grzebieniem. — Kto to widział, by smuć się w taki cudowny dzień?

Lecz sosny tylko głośno wzdychały, dęby mruczały coś ponuro, a osiki trzęsły się tak mocno, że szeleściło w całych zaroślach.

Huldra wstała.

— Odpowiedzcie mi! Dlaczego mój las się nie cieszy, gdy przychodzi królowa.

Huldra chwilę czekała.

Wówczas najwyższa sosna w lesie pochyliła się i szepnęła:

— Nasz koniec jest przesądzony. Wkrótce znikniemy z powierzchni Ziemi.

— Bzdury! — zdenerwowała się huldra. — Nikt nie odważy się podnieść ręki na moją własność. Dość mam waszych smutnych min i tych zbędnych lęków! — krzyknęła i rzuciła swój grzebień do wodospadu, w którym przepadł jak złota rybka. — Następnym razem, liczę na to, że przywitacie mnie z radością! — powiedziała i odeszła w góry.

Wieczorem przyleciał drozd. Kołysał się wysoko na czubku najwyższej sosny i rozglądał po okolicy. W lesie panowała jakaś dziwna cisza. Nie ta zwyczajna i przyjemna,

Las, Strach,
Niebezpieczeństwo

o której ptak mógł śpiewać i śpiewać bez końca. Tym razemcisza była jakaś osobliwa i nieprzyjemna, jak kiedy się obawia jakiegoś nieszczęścia.

— Dlaczego las milczy? — zapytał drozd kilkoma przeciągłymi, fletowymi gwizdami.

Wokół wciąż zalegała grobowa cisza i tylko osikowe zarośla nie przestawały drżeć — jak zawsze. Drozd przez chwilę nasłuchiwał, po czym zaczął śpiewać rzewną i ponurą pieśń żalobną. Nie wiedział, dlaczego musi tak śpiewać, ale czuł, że coś się wydarzyło i że zbliżała się jakaś tragedia.

*

Z początkiem jesieni do lasu zaczęli ściągać ludzie. Nie kilku, wręcz przeciwnie, było ich wielu i od razu zabrali się do tego, by ujarzmić wodospad.

— Jeszcze czego! — wykrzyknęły fale, pędzące z hukiem w dół góry. — Ktos chce nam odebrać wolność? Wbić nas w jakieś koryto?

Burzyły się, miotały i rzucały na ręce robotników, wierząc, że uda się ich wystraszyć. Ale to nic nie pomogło. Wodospad wciśnięto w koryto, tak jak kazał inżynier, i wkrótce woda płynęła już tylko jednym zwartym strumieniem — drogą, którą wytyczyli jej ludzie.

Potem przystąpiono do wycinki lasu, by zrobić miejsce dla dużego tartaku. Rosłe drzewa, jedno po drugim, padały na ziemię. Przy pierwszych uderzeniach siekiery wysokim pnem wstrząsało, a wszystkie gałęzie dygotały z bólu, ale wkrótce drzewo uświadamiało sobie swoją bliską śmierć i za każdym kolejnym ciosem już tylko cicho wzdychało, żegnając się z życiem. Wtedy przez całe jego jestestwo przechodził gwałtowny huk, po czym zwałało się ciężko ziemię. Gdy zapadała noc, leżało jak wojownik, który padł na polu bitwy; jednak nikt nie nadchodził, by opatrzyć jego rany. Czuło, jak siły życiowe z wolna je opuszczają; leżało bez ruchu, patrząc w gwiazdy.

Przez pień przebiegało lodowate zimno, gałęzie unosiły się jeszcze, jakby wciąż próbowały żyć, jednak prędko opadały. Jeszcze jeden powolny spazm i wszystko się kończyło. Dumne drzewo, które widziało jak przez Ziemię przelatywał wiek za wiekiem, było martwe.

Osikowe zarośla zostały bezlitośnie wycięte. Drobne gałązki krzyczały głośno i zawodziły, ale już po krótkiej chwili wszystkie ich roztrzęsione listki przestały drżeć, a martwe drzewa leżały na stosach w rozkopanej ziemi.

Wiosną wszystko nabrało jeszcze większego rozpędu. Na plac budowy zwożono wielkie transporty kamieni i drewna, nie kielkowały tam już teraz ani trawa, ani kwiaty. A któregoś dnia do mrowiska podeszło dwóch robotników. Przez ostatnie półrocze konstrukcja urosła i wyglądała naprawdę dostojnie.

— Patrz tylko! — powiedział jeden z mężczyzn do swojego towarzysza. — Czy może być coś głupszego i mniej pożytecznego od tych paskudnych żyjatek, które biegają w kółko, zbierając śmieci na swoje mrowisko?! Skoro mają tu zamieszkać robotnicy, to przecież istnieje ryzyko, że mrówki powchodzą im do domów. Spalmy je!

Mrówki nie rozumiały, co powiedzieli mężczyźni. Przerwały na chwilę swoją gorliwą pracę, po czym pognały dalej.

— Najwidoczniej nas podziwiali — wołały jedne do drugich. — A raczej nasze dzieło, bo przecież pracujemy wyłącznie dla dobra tego wszystkiego.

Ale robotnicy spalili i mrówki i to wszystko, i po wieloletniej, gorliwej pracy nie został najmniejszy ślad. Mrowisko! Przecież nie jest warte więcej niż jakiegokolwiek ludzkie dzieło. Spuścizna kilku milionów żyć! Nie ma o czym mówić!

Ponieważ ludzie uczynili z siebie panów i władców, a las coraz bardziej się przeredzał, z czasem uciekły stamtąd wszystkie zwierzęta. Zające i lisy, gołębie i drozdy, wszystkie, biegnąc lub szybując, udały się w inne strony, szukając miejsca, gdzie mogłyby żyć w spokoju.

Nocą cały pochód wychodźców ze spustoszonego lasu ruszył przed siebie.

Tartak był już gotowy, podobnie jak otaczające go robotnicze domy. Wczesnym rankiem gwizdek parowy obwieszczał rozpoczęcie pracy. Któregoś razu o świcie dwóch mężczyzn szło przez plac. Zdało im się, że widzą kobiecą postać, ukrytą do połowy za kilkoma brzożami, które pozostawiono przy jednym z budynków. Była tak piękna, że aż stanęli

Człowiek, Natura, Walka

Drzewo, Las, Śmierć

Człowiek, Głupota,
Okrucieństwo

Zwierzęta, Ucieczka

z wrazenia, by na nią popatrzeć, ale jej twarz okazała się blada jak ściana, a oczy płonęły jakimś dzikim blaskiem. Gdy spostrzegła mężczyzn, zacisnęła pięść i im pogroziła, jednocześnie spluwając w powietrze.

I niemal w tej samej chwili zniknęła.

— Co to za kobieta? I gdzie się podziała? — zapytał jeden z robotników.

Ogarnęło go jakieś bardzo nieprzyjemne uczucie.

— Rozumiesz chyba — odpowiedział jego towarzysz. — Zwykli ludzie nie rozpluwają się ot tak w okamgnieniu. To musiała być huldra.

— Huldra? — zaśmiał się pierwszy z mężczyzn. — Naprawdę taki z ciebie dzieciak, że wierzysz w te zabobony, w te stare bajki?

— Więc jak wyjaśnisz to, co przed chwilą widziałeś?

— W ogóle nie zamierzam tego wyjaśniać — odpowiedział mężczyzna. — Ja wierzę tylko w to, co widzę. Tam stoi tartak. I w to wierzę. Słyszysz, gwizdek już drugi raz wzywa do pracy.

Zabobony, Realista

SĄSIEDZI

Wysoko na jednej z gór stała stara sosna. Czas źle się z nią obszedł, była spróchniała i pusta w środku, sękata i tylko wysoko na jej czubku wciąż rosły zdrowe gałęzie. Ale choć jak nic miała już kilkaset lat, to jednak nie chciała umrzeć. Kto wie, czy nie dlatego, że z miejsca, w którym rosła, rozciągał się precudowny widok. Góra, porośnięta starymi i młodymi drzewami, krzakami i wysokimi kołyszącymi się kwiatami, opadała skalnymi półkami ku wodzie. Daleko w dole leżało jezioro, ciągnące się na odległość dobrych kilku mil. Niczym szeroka rzeka pluskało przez zarośla, gdzie lasy przechodziły w zielone łąki i znów w zagajniki, a cypłe i półwyspy wcinały się w pofalowaną taflę. Po jeziorze pływało mnóstwo małych wysepek, przypominających porozrzucane bukiety, a w dali na horyzoncie majaczyło pasmo błękitniejących gór, które w zachodzącym słońcu zlewały się z chmurami na niebie.

Góry, Drzewo

Natura, Piękno

Ludzie, mijając to stare drzewo, zawsze przystawali, wykrzykując:

— Cóż za wyjątkowy widok!

Jednak już po chwili ruszali dalej.

I tylko pewna sowa, która mieszkała na tym pustym drzewie, zawsze siedziała, wpatrując się w panoramę, która się stamtąd rozciągała.

Ptak, Mądrość

To była mądra i sędziwa sowa, która od wielu lat miała tam swoją dziuplę. Zdaje się, że nigdy nie wyszła za mąż, wiodła skromne i samotne życie w górach. Była nakrapiana i szarobrazowa, co upodabniało ją do pnia drzewa i chroniło tak, że ten, kto przechodził obok, nie zauważał jej. Poza tym była cicha jak cień. Nie śpiewała i nie pohukiwała. Tylko raz w nocy wydawała z siebie przesywający krzyk, zanim bezgłośnie unosiła swoje lekkie skrzydła i odlatywała do lasu, by tam schwytać jakieś pisklę lub szczura.

Ptak, Noc, Księżyc

Jednak przez większość czasu siedziała nieruchomo na drzewie, wpatrzona w dal. Za dnia nie widziała niczego zbyt wyraźnie, za to gdy zapadał zmrok, jej oczy rozbłyskiwały jak dwa okrągłe węgliki, a wtedy zamierała w bezruchu i wlepiła wzrok w las i jezioro, a już szczególnie w księżyc, gdy nadchodziła jego pora i pokazywał się na niebie. Kiedy tak całymi godzinami wpatrywała się w to rozświetlone ciało niebieskie, jej oczy robiły się jeszcze większe i okrągłejsze niż zwykle. Zakrzywiony dziób przestawał się poruszać, gdy sowa w skupieniu kontemplowała to, na co patrzy, a bywało, że obracała głowę zupełnie dokoła, jakby chcąc odpocząć od swoich rozmyślań.

W tym samym drzewie co sowa mieszkał też mały samiec myszarki leśnej²⁵. Miał swoją kryjówkę przy korzeniu sosny, gdzie wykopał sobie dość przestronną norkę.

Pierwszego dnia, gdy się tam sprowadził, sowa go spostrzegła. O zmierzchu postawiła swoje odstające uszy, popatrzyła w dół i zapytała:

— Co to za psoty? Za czym tu tak skrobiesz?

Myszarka bardzo się przeraził. Zwinął się w kłębek i odpowiedział swoim cieniutkim, piskliwym głosem:

— Przepraszam! Naprawdę nie wiedziałem, że w tym drzewie ktoś już mieszka! Pomyslałem, że urządzię sobie tutaj, przy korzeniu, w sam raz przestronną norkę. I będę się

²⁵myszarka leśna — gatunek małego gryzonia z rodziny myszowatych. [przypis edytorski]

cichutko sprawować, naprawdę bardzo cichutko! Ale jeśli zawadzam, to natychmiast się stąd wyniosę.

Sowa przez chwilę siedziała cicho, spoglądając w dół na to malutkie płochliwe zwierzątko.

— A czy wiesz, że myszarki są moim pożywieniem? — zapytała sowa, przewracając oczami. — Mogłabym cię w te pędy schwytać i zjeść, to byłaby najprostsza rzecz na świecie. Choć na moje oko wyglądasz na tak znikomo małego, że chyba szkoda fatygi, a ponieważ już zacząłeś się tu urządzać, to proszę bardzo, możesz zostać. Radzę jednak cicho się sprawować, bo nie chcę, by mi przeszkadzano w moich filozoficznych rozmyśleniach!

— Pokornie dziękuję! Pokornie dziękuję! — zapiszczał myszarka, kuląc się tak bardzo, jak tylko potrafił. — Obiecuję nigdy nie robić kłopotów. Ale to miejsce jest wyjątkowo przyjemne! Taki mech dokoła drzewa, taki idealnie wyżłobiony pień, a do tego tuż obok płynnie strużka! Oglądałem już wiele mieszkań, ale żadne z nich nie dorównywało temu. Pozwolę sobie zapytać, czy długo już mieszkasz w tym dostojnym drzewie, czy może i ty jesteś tu nowa?

Sowa nie odezwała się ani słowem. Obróciła głowę dookoła, zmrużyła swoje żółte oczy i przeleciała bezszelestnie na czubek wysokiego świerka.

— Dobry Boże, co za bufonka! — wymamrotał myszarka i czmychnął do swojej norki, by dokończyć jej urządzenie.

Zdarzyło się, że pan myszarka, gdy już się na dobre zadomowił w swoim mieszkanku, stał któregoś dnia w kuchni i zjadał niewielkiego ślimaka. Przykucnął na tylnych nogach, trzymając go między łapkami, a jego tycki języczek łapczywie wylizywał ze skorupki to, co w niej jeszcze zostało. Wtedy nagle zrobiło się tak ciemno, że myszarka przestał widzieć cokolwiek.

Zaskoczony, obrócił się i o mały włos nie zemdlął na widok sowy, która zasłoniła wejście do norki. Jej wielkie i miękkie ciało wypełniło otwór niemal w całości, a okrągłe nieruchome oczy świeciły jak płomień. Myszarka wypuścił z łapek ślimaka, a jego niewielkim korpusem wstrząsnął dreszcz przerażenia.

— Doprawdy! — powiedziała przeciągle sowa. — Ależ się musiałeś wystraszyć. Bo wyglądasz, jakbyś miał dostać apopleksji!

— Przepraszam! — zapiszczał myszarka i siląc się na uśmiech, pokazał wszystkie swoje małe i ostre zęby. — Ale nie byłem świadomy twojej obecności. Czemu zawdzięczam tę wyjątkową wizytę?

— Ach, chciałam tylko zobaczyć, jak mieszkasz — odpowiedziała sowa jakby od niechcenia. — Wygląda na to, że dość wygodnie się tu urządziłeś.

Sowa kręciła swoją okrągłą głowę i rozglądała się dokoła.

— Tak, to przeurocze miejsce! — pośpieszył z odpowiedzią myszarka. — Trudno o przytulniejsze! Proszę tylko spojrzeć! Tutaj mam spiżarkę z półkami na ziarna, żółędzie, ślimaki i inną żywność. A tam, w głębi norki, zapas suchej trawy. Mogę się tam wślizgnąć i położyć wygodnie w ciepélku, choćby w lesie szalała najgwałtowniejsza burza.

Biegał po norce, podczas gdy jego chudy ogon wirował, kreśląc za nim zamasytę koła.

— Choć jak dla mnie jest tu zdecydowanie za ciemno — powiedziała sowa. — Gdy się mieszka tak, jak my, w najlepszym miejscu w całej okolicy, nie należy się izolować od widoku.

— Nie do końca rozumiem, co chcesz powiedzieć — rzekł myszarka, kuląc się przed sową. — Widoku? Jakiego widoku?

— Jakiego widoku? — wrzasnęła sowa i nastroszyła się. — Otóż tego, który mamy tuż pod naszym nosem: jeziora, lasu, gór, całej tej rozległej przestrzeni, otwartej i wielkiej, ciągnącej się daleko jak okiem sięgnąć.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział myszarka, spoglądając wystraszony w górę, na swoją wielką sąsiadkę — ale ja nic nie widzę. Jestem tak mały, że ledwo sięgam do połowy rosnącej tu dokoła trawy. Poza tym przez cały dzień nic tylko biegam i biegam, szukając pożywienia, więc wieczorem jestem zmęczony i wczesnie kładę się spać. A do tego w przeciwieństwie do ciebie nie posiadam tej niezwykłej umiejętności widzenia w ciemnościach.

Sąsiad

Dom

— Ale przy świetle księżyc to już chyba widzisz, co? — wykrzyknęła pogardliwie sowa. — Bo księżyc, który wypełnia całe niebo i cały las swoim srebrnym blaskiem, to zauważyłeś, prawda?

Myszarka zamrugał oczami i koniec końców wydukał:

— Tak, zauważyłem, że w niektóre noce jest bardzo jasno, niemal jak za dnia, i wszystko robi się białe, białe jak mąka.

— Czyżbyś miał na myśli księżycowy blask? — zapytała sowa, spoglądając na małego myszarkę tak płomiennym wzrokiem, jakby chciała go zjeść.

— Tak, tak mi się zdaje, że chodzi o księżycowy blask! — odpowiedział przerażony.

— Zdaje się! — oburzyła się sowa. — To nie wiesz, co widziałeś, a czego nie? To musiał być właśnie księżyc, ten wielki, świecący kształt, który czasem jest wąski jak sierp, czasem jest go pół i przypomina rozpołowione jabłko, a czasem jest okrągły jak ser. Prawda, że widziałeś księżyc?

— Rzeczywiście, zdaje mi się, że tak — odpowiedział myszarka drżącym głosem, kuląc się jeszcze bardziej. — To znaczy, myślę, że widziałem, choć nie za dobrze pamiętam.

— Jesteś ostatnią ciemną! Słowo daję! — krzyknęła sowa i zatrzepotała skrzydłami, aż myszarka zadrżał ze strachu. — Nie potrafisz ani myśleć, ani się wysławiać! Pomyślałam, że skoro już jesteśmy sąsiadami, to złożę ci wizytę, ale to będzie ostatni raz! Doprawdy nie mogę trwonić mojego cennego czasu na przestawanie ze stworzeniem tak durnym, jakim zdajesz się być.

I powiedziawszy to, sowa oddaliła się.

Jeszcze nie doleciała do czubka drzewa, gdzie miała swoje gniazdo, a myszarka już wypadł z norki. Potrzebował powietrza, bo o mało nie udusił się z przerażenia. Teraz biegł w tę i w tę po trawie tylko po to, by uspokoić swoje wzburzone nerwy. W końcu wpadł z powrotem do norki, rzucił się na swój stos siana i już po chwili zasnął głęboko.

Tego wieczora przypadała pełnia księżyc, a ponieważ niebo było bezchmurne, cała okolica promieniała światłem. Widać było nawet odległe góry. Sowa siedziała na gałęzi na czubku sosny i obserwowała okolicę.

— No proszę! Znów tu jest! — powiedziała sama do siebie, gdy księżyc wyłonił się z wody niczym wielka czerwona tarcza.

Ciałem sowy wstrząsnął nagły dreszcz, ale zaraz potem ptak znów znieruchomiał i tylko wpatrywał się w dal.

— Co to może być...? — zastanawiała się sowa. — Dlaczego się pojawia, a potem odchodzi? Czy mieszka w wodzie, z której wzbija się w niebo, czy może w niebie i stamtąd zanurza się w wodę? Czasami się zjawia, a czasami go nie ma. I jak szybko potrafi latać! Jeszcze przed chwilą stał nad tamtymi trzema świerkami po drugiej stronie przepaści, a teraz wisi już wysoko na niebie. Czasami jest blady i wygląda, jakby go mdliło. Za to dziś wieczór jest czerwony i jakiś zdenerwowany. — Sowa zaśmiała się głucho i przeskoczyła na koniec gałęzi. — HUUU-hu! HUUU-hu! — krzyknęła przenikliwie. — Nie myśl sobie, że ktoś się tu boi!

Ale od razu obleciał ją strach, że księżyc za złe jej weźmie te krzyki, więc szybko schowała się między gęstsze gałęzie, spośród których, przekrzywiając głowę, oglądała promienie tańczące na wodzie.

Całą noc siedziała, wpatrując się w nieboskłon.

— Czym to wszystko właściwie? — zastanawiała się sowa, wytrzeszczając swoje wielkie oczy. — To niebieskie powietrze tam w górze, a na nim te wszystkie malutkie, migoczące kropeczki i to świecące coś, co leci ciszej od sowy z morza do nieba i znika za lasem. Jaki jest tego sens? A te wszystkie czarne lasy i jeziora, i wyspy? Po co leżą tam zupełnie bez ruchu? Ach! Znów powietrze płonie tak niezwykle — powiedziała i raz jeszcze się wzdrygnęła podczas gdy nad wierzchołkami lasu zapłonęło kilka cichych błyskawic. — Co to oznacza? Jak to rozumieć? Wszystko to jest takie zadziwiające! I nie pojmię się tego, choćby nie wiem ile główkować.

Sowa nastroszyła pióra i znów usadowiła się tak, by móc obserwować niebo i ziemię.

A myszarki już nie odwiedzała.

— Może mi być szczerze wdzięczny, że daję mu spokój i że go nie zjadłam! — pochwaliła samą siebie sowa. — Ale nie zamierzam już marnować energii na gadanie o tym

Księżyc

Księżyc

Niebo

nierozumnym stworzeniu! — powiedziała i poszybowała przy zmierzchu nad samą głową myszarki, by zapolować na małe ptaszki.

Aż tu pewnego dnia wewnątrz drzewa zapanował wyjątkowy niepokój. Sowa słyszała wyraźnie, jak skrzypi coś i łomocze w dole przy korzeniu. Zupełnie jakby przyszli stolarze, którzy teraz przybijali coś młotkami i piłowali w pniu sosny.

„Co to, u licha?”, pomyślała sowa, wytrzeszczając oczy.

A ponieważ łomot wciąż przybierał na sile, zleciała z drzewa i zajrzała do norki, z której dochodził hałas. Wtedy zobaczyła małego pana myszarkę, który właśnie z zapalem wbił zęby w duży kawałek kory, najwyraźniej odgryzionej z drzewa. Gdy spostrzegł obecność sowy, z przerażenia wypuścił łup, choć nie zdołał nic powiedzieć. Skądinąd nie było takiej potrzeby, bo sowa od razu zaczęła krzyczeć, bardzo rozeźlona:

— Czy wolno mi spytać, co tu się wyrabia? Niezłe urządzasz widowisko! Przecież obiecałeś być cicho, a teraz skrobiesz tu i drapiesz jak szalony! Z jakiej przyczyny?

Pan myszarka, załękniiony, podniósł wzrok na sowę i dygocząc na całym ciele i trzęsąc wąsami, splótł swoje małe łapki.

— Stokrotnie przepraszam, jeśli przeszkodziłem ci w rozmyślaniach — powiedział ulegle. — Naprawdę starałem się być cichutko, jak tylko się dało, ale sprawy tak się mają, że ja... — Zawstydzony spuścił wzrok. — A więc... Z całym szacunkiem dla obietnicy, zaręczyłem się i zamierzam tu niedługo urządzić wesele. Chciałem więc poszerzyć nieco mieszkanko, by uczynić je choć odrobinę wygodniejszym dla mojej przyszłej żony. Powinna przecież mieć tu własny kącik, w którym mogłaby się zaszyć i odetchnąć, gdy prace domowe zbyt ją wymęczą. Sypialnię też trzeba trochę powiększyć, no i oczywiście pomyśleć o pokoju dziecięcym, na przyszłość, w razie gdyby...

— W razie gdyby w waszym domu zaroilo się od młodych! — wrzasnęła sowa. — Ach tak, więc to była ta nasza umowa o przestrzeganiu ciszy. Nie dość, że sam biegasz w tę i z powrotem jak oszalały, to jeszcze ściągniesz tu teraz jakąś pannę myszarkę, oczywiście tysiąc razy gorszą od ciebie samego! A już wkrótce zaroi się tu od małych myszek, których krzyki i harce będą musiała znosić dzień i noc. Pokorne dzięki! Nie ścierpię tego!

Pan myszarka zwinął się w kłębuszek. I tylko jego ogon od czasu do czasu poruszał się spazmatycznie po ziemi.

— Wybacz! — popiskiwał, kając się. — Obiecuję odwołać cały ten remont mieszkanka. Choć, gdybyś tylko знаła moją miłutką narzeczoną... Bardzo jest małomówna, ani piśnie! Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby otwierała pyszczek kiedy indziej, niż by coś zjeść. A co się tyczy dzieci, to póki co jeszcze ich nie ma; i doprawdy nikt nie wie, czy w ogóle się pojawiają, choć oczywiście zawsze ma się nadzieję zobaczyć dziedzica swojego nazwiska i...

— Swojej głupoty! — przerwała sowa.

— W rzeczy samej! — zgodził się pan myszarka.

— No więc, daję ci jeszcze chwilę na zastanowienie się — oznajmiła sowa. — Wszystko zależy od tego, jak się zachowasz. I proszę mnie nie prowokować! — dodała, strosząc pióra — bo wówczas może się to dla ciebie skończyć katastrofą!

Powiedziawszy to, oddaliła się, podczas gdy mały pan myszarka z łomoczącym sercem siedział bez ruchu, odprowadzając ją wzrokiem.

Od tego momentu zachowywał jednak największą ostrożność. Ledwo odważył się ruszać i nigdy nie zabierał się za poszerzanie norki, gdy sowa była w domu. A choć stare ptaszysko nastawiało uszy, by nie umknął mu choćby najcichszy odgłos z parteru, musiało przyznać, że przy korzeniu drzewa zawsze panowała cisza jak makiem zasiał. Za to o zmierzchu, gdy sowa leciała do lasu na polowanie, pan myszarka przystępował do pracy.

Wygryzał otwory w ścianach, by powiększyć pomieszczenie, znosił do środka trawę i wrzosy, by pozatykać ewentualne pęknięcia i szczeliny, i w ogóle dokładał wszelkich starań, by uczynić wszystko tak przestronnym i pięknym, jak tylko potrafił, by godnie przyjąć swą młodą wybraną, która wkrótce miała się pojawić w jego domu.

Ale gdy tylko sowa wracała do domu, pan myszarka wpelzał do swej kryjówki i leżał tam spokojnie i nieruchomo, zupełnie jak martwy.

Wreszcie nadszedł dzień zaślubin.

Przyjęcie odbyło się w domu panny młodej, więc w norce u stóp sosny było, jeśli to w ogóle możliwe, jeszcze ciszej niż zwykle. Ale tego samego dnia wieczorem młoda para

Dom, Przemiana, Rodzina

Ślub

przybyła do siebie. Skradali się ostrożnie, szepcząc najciszej jak się dało, byle tylko sowa ich nie usłyszała, gdyby tak się złożyło, że już wróciła z polowania. A jednak, choć zachowywali największą ostrożność, sowie i tak zdało się, że słyszy jakieś osobliwe chrobotanie w norcie i nagle, ni stąd ni z owąd, pojawiła się w otworze wejściowym.

Młoda para stała właśnie pośrodku podłogi, spleciona w uścisku i wpatrzona w siebie bez pamięci.

Początkowo nie zauważyli obecności sowy, jednak gdy ta wściekłym „huuu-hu” dała o sobie znać, rozdzielili się i trzęsąc się ze strachu, odwrócili w stronę niespodziewanego gościa.

Sowa nic nie powiedziała, za to wbiła wzrok w drobniutką pannę młodą tak ostro, że świeżo upieczony małżonek uznał za swój obowiązek interweniować.

— Moja żona! — powiedział, rozkładając jedną ze swoich malutkich i chudych łapek.

— Moja kochana żonka!

Sowa nadal wpatrywała się w pannę młodą, która skuliła się i schowała za swojego małżonka.

— Zapewne jesteście teraz bardzo szczęśliwi!? — odezwała się wreszcie szyderczym tonem.

— Bezgranicznie! — odpowiedział pan myszarka.

— Ach tak, bezgranicznie! — zapiszczała malutka panna młoda.

— A wiecie, co słyszałam? — ciągnęła dalej sowa, wskakując do norki. — Wiecie, co słyszałam? Że najlepsze, co się może przytrafić żyjącym stworzeniom, to umrzeć w najszcześniejszej chwili swojego życia.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał niespokojnie pan myszarka.

— To, co właśnie powiedziałam — odparła sowa. — Że najszcześniejszy los to zakończyć życie w chwili, gdy dało nam maksimum szczęścia, które ma do zaoferowania. Wszystko, co przychodzi potem, zdaje się jedynie marnością. A ponieważ wy dwoje właśnie doświadczyliście bezgranicznego szczęścia, chcę wam zrobić tę przysługę i pozwolić wam umrzeć, zanim szara codzienność i wszystkie jej troski i smutki sprawią, że zapomnicie o tej błogiej chwili.

Sowa przysunęła się bardzo blisko pary myszarek.

— Co masz na myśli? — wykrzyknął pan myszarka. — Nie chcesz chyba...

— Zjeść was! — przerwała mu sowa. — Tak, taki właśnie mam zamiar! Tym samym oddam i wam, i sobie samej największą możliwą przysługę. Uwolnię się od wszystkich przyszłych kłótni i niepokojów w moim zacisznym domu, wam zaś podaruję największe szczęście, jakie może przypaść komukolwiek w udziale. Pozwolę wam pożegnać się z życiem w jego najpiękniejszym momencie!

Sowa prędko pochyliła się do przodu i mocno chwyciła pannę młodą w pasie.

— Ach, tylko nie ją, nie ją! — krzyczał pan myszarka, padając na kolana. — A jeśli już musi zginąć, to i mnie nie oszczędzaj! Nie mógłbym bez niej żyć. Niech więc podzielę jej los!

— Tak właśnie będzie — wymamrotała sowa, przelękając ostatni kawałek małego zwierzęcia, po czym chwyciła mocno pan myszarkę i wsadziła go sobie do dzioba.

To były ledwie dwa małe kąski, które nie obciążyły zbyt wiele ani jej żołądka, ani sumienia.

Sowa bezgłośnie wleciała na najwyższą gałąź sosny, gdzie usiadła i patrzyła na księżyc w pełni, który właśnie wynurzył się z morza i sunął w górę po niebie. „Czy to znów on?”, pomyślała. „Skąd przybywa, i dokąd zmierza?”.

Nie poruszała się i niemal nie oddychała.

— Ach, gdyby to się dało pojąć! — wymamrotała. — Myślę i myślę, a jednak nie potrafię tego rozwikłać. Jaki to wszystko właściwie ma sens?

Sowa nadal siedziała bez ruchu na drzewie, wpatrując się w dal. I jeśli nie jest dziś martwa, to wciąż tam jeszcze siedzi.

Szczęście

Dar

LUDZIE

CHŁOPIEC, KTÓRY MIAŁ IDÉE FIXE²⁶

Była sobie kiedyś biedna chłopska rodzina. Mieli tylko jedno dziecko, małego chłopca, któremu dali na imię Anders.

Ponieważ nie posiadali służby, za to wciąż mieli mnóstwo pracy, mały Anders przez większość czasu musiał się zajmować sam sobą.

Zanim nauczył się chodzić, leżał w wózku, który wystrugał dla niego ojciec, a który matka stawiała pod topolą na podwórzu przed domem. Spędzał tam większą część dnia i spoglądał w górę, na drzewo. A gdy widział, jak listki podrygują na wietrze i wirują na swoich cienkich ogonkach, wymachiwał z radości rączkami i wierzgał nóżkami. Jego oczy miały kolor letniego nieba, były świetliście błękitne. Miał też najkształtniejsze usteczka na świecie, które zwijał w trąbkę ze zdziwienia, jednocześnie przekrzywiając główkę, by popatrzeć na wszystko, co latało w powietrzu. Na przykład dwa motyle, które tuż nad nim tańczyły najrozkoszniejszy balet, albo na polującą jaskółkę. Zdarzało się też, że na brzegu wózka siadała mała zięba. Przekrzywiała główkę i spoglądała na Andersa swoimi malutkimi zaciekawionymi oczkami, a on patrzył na nią. Ale wystarczyło, że zamachał rączkami, a zięba ploszyła się i odlatywała. Wtedy chłopczyk próbował unieść głowę lekko nad poduszkę i zobaczyć, dokąd odfrunął ptaszek. Oczywiście przylatywały i muchy i sadowiły się na kołderce, którą przykryty był Anders. Matka zawczasu rozsypywała na niej trochę cukru, żeby nie siadały na twarzy chłopczyka, Anders zaś obserwował uważnie ich lot, to, jak zacierały rączki i jak mlaskały, zajadając się cukrem. A kiedy w pobliżu nie było ani ptaków, ani owadów, które mógłby obserwować, wtedy leżał i patrzył na sunące po niebie letnie chmury i jakby rozmyślał nad wszystkim, co dzieje się dokoła.

— Tylko traci siły, gdy tak leży i wypatruje sobie oczy — mówiła matka i zarzucała swój fartuch na wózek tak, jak się przykrywa płachtą kłatkę z kanarkami, gdy się nie chce, by za głośno popiskiwały.

Ale mały Anders reagował zupełnie inaczej. Gdy za sprawą matki robiło się ciemno, zaczynał przeraźliwie krzyczeć. I krzyczał tak długo, aż nie zabrała fartucha, a wtedy on uspokajał się i pogodniał, i znów zaczynał wymachiwać rączkami, spoglądając w górę drzewa.

Gdy Anders miał ledwie sześć lat, posłano go, by pasł gęsi na pagórku za chatą. Rósł tam niewielki laszek, tuż obok niewielkiego stawu w którym ptaki mogły sobie popływać, jeśli miały ochotę. Anders przychodził tam wczesnym rankiem, zabierał chleb, trochę sera i butelkę kwaśnego mleka i spędzał na wzgórzu prawie cały dzień, podczas gdy jego rodzice szli do pracy we dworze.

Któregoś wieczora, gdy wracając do domu, przechodzili obok miejsca, w którym przebywał Anders, ojciec zatrzymał się i popatrzył. Pod krzakami przy stawiku leżała sterta patyków i gałęzi, powiązanych skrawkami sznura w tak nietypowy sposób, że ojciec zapytał zdziwiony:

— Co to za dziwactwa?

Anders nie odpowiedział. Leżał tylko i grzebał ręką w trawie, a na słowa ojca zrobił się cały czerwony na twarzy.

— Pytam, na co ci te śmieci?

— Pomyślałem, że zbuduję sobie aeroplan! — odpowiedział z wolna Anders, nie podnosząc wzroku.

— Że co niby? Aeroplan? — przeraził się ojciec. — Latać chcesz? Jak jakieś skrzydlate paskudztwo? Wróble latają i sroki, i jastrzębie, i gołębie, ale chłopcy stąpają po ziemi na dwóch nogach i nie mają takich szalonych pomysłów, żeby się wzbić w powietrze. Wyrzuć mi te śmieci do stawu, a na przyszłość daruj sobie takie głupoty!

Anders posłuchał rozkazu, choć zrobił to niechętnie, a ojciec nie domyślał się nawet, ile go to kosztowało.

I tak znów upłynęło dobrych kilka lat. Chłopiec skończył dwunasty rok życia i latem

Dziecko, Dzieciństwo,
Samotność, Zwierzęta,
Ptak, Owad, Lot

Dziecko, Praca

Lot

Nauczyciel

²⁶*idée fixe* (fr.) — obsesyjne opanowanie umysłu przez konkretną ideę, pomysł lub przekonanie. [przypis edytorski]

wypasał krowy w lesie. Zimą zaś chodził do szkoły i uczył się, a nauczyciel był z niego zadowolony. Chwalił, że jest pojętny, pilny i pracowity. I mówił, że kto wie, czy i z niego nie będzie kiedyś dobry nauczyciel!

Teraz, gdy przyszło lato, szkoła była zamknięta. Mimo to Anders często zabierał ze sobą książki do lasu. Choć nie te same, które czytał w ciągu roku szkolnego — tyle wiedział nawet jego ojciec.

Te pełne były osobliwych ilustracji i zaszyfrowanych tekstów, a gdy ojciec Andersa próbował je czytać, nie rozumiał ani krzty.

— Co to za dziwne książki? — zapytał Andersa. — Mam nadzieję, że to nic podejrzanego i że nie zamąca ci w głowie? Skąd żeś wytrzasnął tę „mondrości”?

Więc Anders wyjaśnił, że pożyczył te książki z plebani, co uspokoiło rodziców.

— Napisane jest w nich, jak wszystko się ze sobą łączy w całość, i co zrobić, by się ze sobą łączyło. I to wszystko jest bardzo ciekawe! — powiedział Anders.

— Nie należy nad tym za dużo rozmyślać, synu! — powiedziała matka z nieszczęśliwą miną. — Pilnuj tylko, by krowy się nie zgubiły, a ja będę ci dawać szczerze jedzenia do tobołka...

Pogłaskała Andersa po głowie, ale gdy już ruszyli dalej z ojcem, poskarżyła się zatroskana:

— Trudno zmiarkować, co też chodzi po głowie naszemu Andersowi. Zawsze miał coś takiego dziwnego w oczach! Jakby widział rzeczy, których inni nie potrafią dostrzec.

I westchnęła ciężko na myśl o swoim osobliwym synu.

Czas płynął. Anders miał już siedemnaście lat. Ukończył naukę i przestał uczęszczać do szkoły. Teraz miał chodzić na służbę do dworu i pomagać ojcu na roli. Jednak któregoś dnia oświadczył mu, że pragnie iść na termin do stolarza. Łatwo przychodziło mu budowanie wszystkiego, co tylko sobie wymyślił, więc ufał, że może być z niego zdolny snycerz²⁷.

Najpierw ojciec w ogóle nie chciał o tym słyszeć. W końcu *on sam* od zawsze pracował na roli, podobnie jak jego ojciec i dziad, więc nie znajdował żadnego racjonalnego powodu, dla którego i jego syn nie miałby tego robić.

Za to matka wzięła stronę Andersa, mówiąc, by pozwolić mu przynajmniej spróbować. I tak to chłopak trafił na nauki do stolarza w Västerås²⁸.

Tam okazał się być chłopakiem chętnym do nauki i pracowitym i już po niedługim czasie majster zaczął mu powierzać całkiem odpowiedzialne zadania. Wieczorami zaś, aż do późnej nocy, Anders czytał swoje techniczne książki, a gdy tylko nadarzyła się wolna chwila, od razu zabierał się za niewielki model maszyny latającej, który co rusz poprawiał i ulepszał.

W warsztacie miał towarzysza, który nazywał się Olle Finson. Był to chłopak porządny i robotny i Anders bardzo się z nim zaprzyjaźnił. Pewnego wieczora, gdy Olle zjawił się znienacka w jego pokoju, spostrzegł, że Anders szybko coś przed nim chowa, coś, co stało na stole.

— Co to takiego, że nie możesz mi tego pokazać? — zapytał Olle.

Anders wahał się kilka dobrych chwil, po czym odrzekł:

— To coś, nad czym rozmyślałem, odkąd w ogóle zacząłem myśleć. Nie zamierzam jednak mówić ci, co to, bo nie chcę, byś się ze mnie naigrawał.

— Jakże bym śmiał? — powiedział Olle. — Jeśli się na tym nie poznam, to się nie poznam, choć wtedy zawsze przecież możesz mi wytłumaczyć.

— No to patrz! — powiedział Anders i ostrożnie zdjął płachtę ze swojego modelu. — Buduję aeroplan. Jestem pewien, że *da się* latać. Tak pewien, jak tego, że można chodzić. I nie poddam się, zanim nie wyglówkuję, co i jak trzeba zrobić.

— Maszyna latająca! — wykrzyknął Olle i klasnął w dłonie. — Wielkie nieba! Ale jak niby coś takiego stworzyć?

— Usiądźże, to ci wytłumaczę — powiedział Anders i podsunął Ollemu krzesło.

²⁷snycerz — artysta-rzemieślnik rzeźbiący w drewnie, tworzący dekoracyjne figury oraz użytkowe zdobienia mebli, ram, drzwi czy balustrad. [przypis edytorski]

²⁸Västerås — miasto w środkowej Szwecji, ośrodek administracyjny regionu Västmanland. [przypis edytorski]

No i zaczął tłumaczyć. Zwykle raczej nie był gadatliwy, teraz jednak mówił z niezwykłą łatwością. Oczy mu błyszczały, gdy formułował swe myśli tak precyzyjnie i jasno, że jego towarzysz aż rozdziawił usta i słuchał z zapartym tchem.

— Wzbic się w powietrze i lecieć to żaden problem — powiedział Anders. — Ale widzisz, trudność polega na tym, jak *sterować* maszyną, jak mieć pewność, że wytrzyma każdą pogodę i będzie się wznosić i opadać tak, jak się jej każe. Tego jeszcze nie potrafię zrozumieć i pewnie dopiero za wiele lat mi się to uda. Ale, że się uda, tego jestem pewien! — Po tych słowach uderzył pięścią w blat tak mocno, że cały stół się zatrzęsł. — Nie poddam się, zanim nie rozwiklam tej zagadki!

Od tego dnia Olle stał się powiernikiem przyjaciela. Anders wytrwale pracował nad swoją maszyną, a gdy tylko coś w niej ulepszył, dzielił się tym z Ollem. Cieszył się, że ma kogoś, z kimś może porozmawiać o tym, co bez przerwy zaprzętało jego myśli. Olle nie rozumiał pewnie aż tak dużo, jak sądził Anders, za to słuchał wszystkiego z uwagą i zainteresowaniem. A gdy przytakiwał z zapalem, mówiąc, że coś jest jasne, albo zwyczajnie siedział z szeroko otwartymi oczami i słuchał, Anders czuł, że to pomaga mu kontynuować pracę i że ma w koledze wsparcie i otuchę.

Wtedy to właśnie Anders postanowił wykonać swój model w większej skali. W tym celu zbudował szopę w lesie za miastem, w której składował potrzebne materiały. Każdej niedzieli i gdy tylko znalazł wolną chwilę, gnał tam i pracował nad swoją maszyną. Często też zabierał ze sobą Ollego.

I tak pewnego dnia aeroplan był gotowy. Wyglądał niczym wielki ptak z rozpiętymi skrzydłami.

— Popatrz! — powiedział Anders. — Cały czas myślałem o ptakach. Bo to one najlepiej latają, więc skoro i my mamy latać, to musimy się uczyć od nich. Podejdz i stań tu obok mnie. I mocno się trzymaj! — dodał i wszedł na deskę, od której odchodziły dwa wielkie obciążone płótnem skrzydła. — Teraz! Raz, dwa, trzy!

Ale maszyna ani drgnęła. Anders zmarszczył brwi i zawołał:

— No to uważaj, Olle! Tylko trzymaj się mocno, żeby się nie przewrócić!

Jednak wciąż nie ruszyli się z miejsca. Olle wybuchł gromkim śmiechem, za to Anders spochmurniał i zmarkotniał tak, że aż strach było patrzeć.

— Wciąż wiem za mało — powiedział jakby do siebie. — Trzeba tę sprawę dogłębnie zbadać, jeśli ma się udać.

Tymczasem stolarz, u którego pracowali, zaczął nabierać podejrzeń wobec swojego czeladnika. Pomyślał, że Anders knuje coś, o czym mu nie mówi, więc pewnego dnia zakradł się za nim do szopy w lesie. Nagle stanął naprzeciw chłopaka, który pochylony nad swoją pracą nawet nie zauważył, że ktoś do niego podszedł.

— Nad czym się tu tak męczysz? — zapytał szorstko majster.

— Ach, to coś, z czym się zmagam dla własnej przyjemności — odpowiedział Anders i cały poczerwieniał na twarzy.

— A wolno spytać, co to będzie? — zapytał ponownie stolarz.

— Oczywiście. Postanowiłem zbudować maszynę latającą, taką, która będzie unosić ludzi w powietrzu, jak skrzydła unoszą ptaki — odpowiedział Anders.

— Ach tak? No piękne plany — zaszydził stolarz. — Więc ja ci powiem, że to diabelskie sztuczki i masz przestać się nimi zajmować! Nie przystoi, by prosty chłopski syn miał tak wybujałe myśli. Czy widział kto coś podobnego? Maszyna latająca! Czytałem, ma się rozumieć, o różnych zwariowanych ryzykantach, którzy majstrowali takie wynalazki, licząc, że zaskoczą nimi świat. Ale prędzej czy później zawsze spotykała ich kara i lądowali na ziemi, jak wróble pod gradem śrutu. Zostaw tu te graty i idź do domu ubrać się, jak należy. W niedzielny wieczór porządni ludzie powinni jednak wyglądać choć trochę schludnie i przyzwoicie!

Anders nie miał wyboru, musiał wracać. Postanowił jednak jak najprędzej postarać się o inną pracę. Chciał się dostać do jakiegoś warsztatu mechanicznego, w którym nauczyłyby się tego, czego potrzebował, by z powodzeniem pracować dalej i urzeczywistnić swoje marzenie.

I tak pewnego dnia, gdy stolarz zszedł na dół do warsztatu, Anders wypowiedział służbę. Postanowił ruszyć do Sztokholmu, by tam spróbować szczęścia.

— Proszę cię bardzo! — odpowiedział majster. — Na co mi pracownik, któremu roją

Przyjaźń

Maszyna, Lot, Ptak

Rozczarowanie

Szaleniec, Zdrada

się jakieś tam maszyny latające. Jeszcze trochę i całkiem odbierze ci rozum. Bo bzik już masz i nawet twój dobry przyjaciel i towarzysz Olle to mówi.

— Powiedziałeś tak? — zapytał Anders Ollego, który stał obok i heblował jakąś deskę.

Olle milczał. Mrużył tylko oczy i strugał, ile wlezie.

— Powiedziałeś, że mam bzik? — powtórzył Anders.

— Pamiętasz przecież, co stało się tamtego dnia, gdy mieliśmy wypróbować twoją maszynę — powiedział Olle, przerywając pracę. — Ale nie spojrzaj na Andersa, patrzył jedynie na hebel i przeciągał po nim palcem wskazującym. — Trudno rzec, że byłeś wtedy przytomny na umyśle, skoro chciałeś, żeby ta maszyna wzbiła się w powietrze.

— Więc powiedziałeś o mnie, że mam bzik? — Anders ponowił pytanie; miał bardzo poważną, niemal uroczystą minę. — A więc żegnaj, Olle, jeśli zechcesz podać mi rękę!

Olle wyciągnął dłoń na pożegnanie, choć nie podniósł wzroku, za to z nosa skapnęło mu coś mokrego, co czym prędzej wytarł.

I tak Anders odszedł z ciężkim sercem, prawie tak ciężkim jak tamtego dnia, kiedy jego aeroplan nie chciał się wzbić w powietrze. To miał być przyjaciel? Olle, któremu zwierzał się ze wszystkich swoich najszybszych myśli i któremu zdradzał wszystkie swoje plany?

Skoro na tym ma polegać przyjaźń, to on już nigdy nie chce mieć przyjaciół!

Tymczasem w warsztacie majster rozmawiał z Ollem.

— Nie ma co, odważny i uparty czort! Nie zapanujesz nad takim.

— Tak, prawda, że to rzadki oryginał — powiedział Olle, heblując tak, że leciały wióry. — Ale pomysł z maszyną latającą to było czyste szaleństwo, choć, jakby nie patrzeć, to jednak sympatyczny i dobronuduszny chłopak. Nigdy nie powiedział o nikim złego słowa i chętnie dzielił się wszystkim, co miał.

— Cóż — odparł stolarz. — Wielu jest miłych i skromnych chłopaków, i takich, którzy nie mają chorych pomysłów. Więc niech sobie idzie, skoro tak chce!

Tym sposobem Anders trafił do warsztatu mechanicznego, gdzie zaczęło się dla niego zupełnie nowe życie. Przyglądał się wszystkiemu i przysłuchiwał z wielką ciekawością. Nic nie umykało jego uwadze. Wszystko dokładnie badał i próbował zrozumieć — ludzi i książki, przyczyny i skutki; a wszystkiemu, co robił, przyświecała tylko jedna, ukochana przez niego i coraz bardziej pochłaniająca go idea: jak najlepiej skonstruować maszynę latającą? Obecnie większość czasu spędzał w samotności, bo zaczął odczuwać odrazę i stał się podejrzliwy wobec przyjaciół.

Jednak już niebawem koledzy zaczęli go podziwiać, a brygadziści ze zdziwieniem stwierdzili, że chwytą wszystko w mig i ze wszystkiego wyciąga prawidłowe wnioski, choćby mu coś tylko raz powiedzieć. Nie miał łatwo, ale nie dbał zbyt o to, że chodzi głodny albo marznie, byle tylko jego praca szła naprzód.

Z czasem zorientowano się, że Anders buduje aeroplan. Wtedy koledzy powiedzieli, że jeśli komuś ma się to udać, to tylko jemu. Bo, jakby nie patrzeć, jest swego rodzaju geniuszem i nigdy nie wiadomo, co jeszcze może wymyślić. Brygadziści z kolei mrugali do siebie porozumiewawczo i mówili, że Anders jeszcze ich kiedyś rozślawi. Byle go tylko zostawić w spokoju, bo to, co naprawdę istotne, wymaga czasu.

A czas płynął. Anders ukończył szkołę techniczną, został inżynierem i miał ręce pełne najróżniejszej roboty, wciąż jednak myślał o swojej maszynie. Widział ją w snach, szybującą po niebie. Przesiadywał do późnej nocy, rozmyślał, robił szkice i lepił gliniane modele. I nieustannie coś ulepszał — aż do dnia, gdy położył dłoń na wielkiej kartce z własnoręcznie wyrysowanym projektem i powiedział do siebie głośno:

— Teraz już wiem, jak to zrobić, brakuje mi tylko pieniędzy; i to dużo! Ale skąd je wziąć?

Potrafił jednak tak dobrze opowiedzieć o swoim pomysle i tak głęboko wierzył w jego powodzenie, że i inni zaczęli w nie wierzyć, więc koniec końców pozyskał środki, których potrzebował, by zlecić budowę aeroplanu.

W dniu, w którym maszyna miała wzbić się w powietrze, nieprzebrane rzesze ludzkie zebrały się, by obejrzyć to wydarzenie. Ogromne tłumy ścigały na pole Gärdet²⁹ pod Sztokolmem, skąd miała wystartować latająca maszyna

²⁹ Gärdet — obecnie dzielnica w pln.-wsch. części Sztokholmu. [przypis edytorski]

Przyjaźń, Rozstanie

Samotnik, Marzenie, Lot,
Maszyna

Lot

Stała tam już i czekała. Wyglądała jak wielki, martwy ptak z wiotkimi skrzydłami; a ludzie przeciskali się, by stanąć najbliżej, jak tylko się dało, i obejrzeć ją z niewielkiej odległości.

— Cóż za niezwykły twór! — mówili, szturchając się nawzajem. — Można pomyśleć, że zestrzelili jakiegoś wielkiego orła! Że też trafia się śmiałek, który ma odwagę wzbić się w powietrze na takim dziwnym cielsku!

Wtedy jeden ze stojących z przodu towarzyszy Andersa odwrócił się i powiedział:

— Człowiek, który kazał to zbudować, wiedział zapewne, co robi. Jeszcze chwila i zobaczycie, jak mknie swoją maszyną prosto do nieba.

W końcu pojawił się sam Anders. Wychudł bardzo z powodu nerwów i nadmiernej ekscytacji i był teraz zupełnie błądy na twarzy.

Przywitano go wiwatami i oklaskami, a i on pozdrowił publiczność, choć myśłami był już zgoła gdzie indziej. Cała jego uwaga skupiona była na aeroplanie. Gdy przez jakiś czas przygotowywał osprzęt, wśród widzów, którzy z wyczekiwaniem spoglądali w jego stronę, zaległa zupełna cisza. A potem, tak... Anders zajął miejsce za sterem, gdzie miał siedzieć w czasie lotu, po czym, już po chwili, martwy ptak jakby ożył! Rozpostarł skrzydła, oderwał się od ziemi i nieśpiesznie poszybował w górę.

Cały wielki tłum wydał okrzyk radości, a część chłopców pognąła co sił w nogach za maszyną, by zobaczyć, dokąd leci. Ta jednak nie osiągnęła jeszcze pięćdziesięciu metrów wysokości, gdy zawisła nieruchomo w powietrzu. Widać było, jak Anders dziarsko uwija się tam w górze, ale aeroplan nic sobie z tego nie robił. Zaczął chybotać się w przód i w tył, niczym jakiś pijaczyna.

Potem maszyna zatrzęsała się, jakby ją coś okropnie przeraziło; wreszcie plasnęła, wiotka jak zestrzelony ptak, prosto do kanału, uchodzącego do zatoki Värtan³⁰.

Anders poczuł wysoko nad głową bryzg wody i odruchowo zaczął płynąć. Mimo wszystko chciał ratować życie.

Ale gdy znów stanął na lądzie — przybity z powodu wstydu i hańby, które go teraz czekały — niemal pożałował, że nie pozwolił się zabrać falom.

Gdy maszyna zaczęła szwankować, wielu ludzi krzychało głośno ze strachu, a kiedy runęła w dół, zapadła przeraźliwa cisza. Sądono, że się rozbije i Anders zginie.

Gdy jednak wyczołgał się na brzeg, ociekając wodą jak mokry pies, ludzie zaczęli się śmiać. Najpierw dzieci, a potem dorośli — pięćdziesięcioro, setki, tysiące osób wybuchły gromkim śmiechem. W końcu Andersowi wydało się, że cała równina Ladugårdslätten³¹ się śmieje. Miał ochotę zapaść się pod ziemię lub, jeszcze lepiej, odlecieć; ale pozostało mu tylko przemaszerować między wszystkimi tymi bezlitośnie śmiejącymi się ludźmi.

W ślad za nim pomknęło więcej chłopców niż biegnie za paradą wojskową, a gdy wreszcie Anders wsiadł do dorożki i ruszył z kopyta — zupełnie jakby chodziło o życie — jadąc, musiał przedzierać się przez gęste szeregi ludzi, którzy stali wzdłuż drogi i się śmiali.

— Dobrej podróży! Pozdrów od nas księżyc i wszystkie planety! — pokrzykiwali niektórzy.

— Doprawdy niezły lot! Tylko coś cię zmoczyło! Tam wysoko w górze musi niezłe padać! — wrzeszczeli inni.

Anders siedział, zakrywając rękami oczy, ledwo żywy z żalu i rozpacz, a gdy już dotarł do domu, dobrze pozamykał wszystkie drzwi i padł jak długi na łóżko, gdzie przeleżał bez ruchu całych dwadzieścia godzin.

Jak on się teraz pokaże ludziom, skoro musi przyznać, że cała jego praca na nic się nie zdała, a wszystkie powierzone mu pieniądze zostały zmarnowane. Niestety rzeczywistość okazała się o wiele gorsza, niż się tego spodziewał. Patrzono na niego jak na przestępcę albo szaleńca. A najbardziej przemądrzali twierdzili, że taki finał dało się przecież przewidzieć.

— Zawsze był z niego niezły oryginał — mówili jego towarzysze. — Czy nie brzmiał jak człowiek niespełna rozumu, gdy objaśniał nam te swoje pomysły!

Odwaga

Upadek, Katastrofa

Kłęska, Hańba, Śmiech

Zdrada, Samotność

³⁰Värtan — zatoka Morza Bałtyckiego położona w archipelagu sztokholmskim na północ od miasta. [przypis edytorski]

³¹Ladugårdslätten — dawniej równina na terenie Gärdet a. Ladugårdsgärdet, obecnie dzielnicy w płn.-wsch. części Sztokholmu. [przypis edytorski]

— *Osobiście* nigdy mu nie wierzyłem — zapewniał jeden solennie od drugiego i nawet ci, którzy kiedyś najbardziej go wspierali i przymilali mu się, teraz, patrząc mu prosto w twarz, mówili, że od początku wiedzieli, że to będzie fiasko.

A gdy, słysząc to, zrozpaczony powiedział:

— Przecież należeliście do tych, którzy wróżyli mi sukces i wierzyli we mnie...

Oni, potrząsając głowami, stwierdzili oziębłe:

— Czyżby? Nic takiego nie pamiętamy.

— Dobrze umieć tak wszystko zapomnieć — rzekł strapiiony i odszedł.

Można więc zrozumieć, że nikt już nie dawał mu pieniędzy na to, by dalej próbował zbudować swoją maszynę latającą. Odtąd chodził jak wyrzutek, z którym nikt nie chce mieć do czynienia. A pewnego dnia zginął. Niektórzy twierdzili, że odebrał sobie życie, inni, że wyjechał na południe, by szukać szczęścia w innych krajach.

Niczego nie zapomina się tak szybko jak człowieka, jeśli ten przestaje się pokazywać, więc nie minęło wiele dni, a Anders został zapomniany jak kamień, który opadł na dno morza i nad którym przetaczają się bałwany fal, niespokojne i wzburzone, nie pytając o to, co cicho zatoneło.

Mijały miesiące i lata. I tak, któregoś dnia w gazetach można było przeczytać o Szwedzie, który nazywał się Anders Bengtson. Wynalazł maszynę latającą, zbudował ją i wypróbował — i okazała się być czymś wyjątkowym i innym od wszystkiego, co na tym polu do tej pory udało się osiągnąć. Najpierw w pojedynkę, a potem z kilkoma towarzyszami, przeleciał całe Niemcy. Latał swoją maszyną przy wietrze i burzy, i ciemną nocą, a ona zawsze okazywała się bezpieczniejsza od okrętów na oceanie. Obecnie planował lot do Skandynawii, dokąd już za kilka dni miał wylecieć z Hamburga³².

— Anders Bengtson! — powtarzali jego byli towarzysze z namysłem. — To chyba musi być *nasz* Anders. Wyjątkowy był z niego chłopak. Zawsze wiedzieliśmy, że któregoś dnia zadziwi świat.

Zaś jego nauczyciele kręcili głowami i mówili:

— Czyż nie mieliśmy o nim zawsze wysokiego mniemania? Na początku mu nie szło, ale to się zdarza każdemu. A teraz, proszę! Teraz wszyscy widzą, na co go stać!

Z niecierpliwością czekano więc, kiedy latająca maszyna wyląduje w Sztokholmie.

I tak któregoś dnia w Västerås stolarz i Olle Finson szli drogą, prowadzącą do lasu. Nagle ujrzeli coś zadziwiającego, lecącego wysoko w przestworzach.

— A to co?! — wykrzyknął majster, zadzierając głowę. — Toż to nie ptak ani chmura! Co to, u licha, może być?

Lecący przedmiot przybliżał się coraz bardziej. Niczym jakieś ogromne ptaszysko sunął, furkocząc, nad wierzchołkami drzew. A jaskółki zataczały wokół niego wielkie kręgi, krzycząc:

— Wi-wi! Uważaj!

Słońce skierowało nań wszystkie swoje promienie, by zbadać, co to właściwie takiego, a delikatne letnie obłoki kołysały się i tańczyły na jego drodze jak fale, które bują się przed łodzią.

Teraz obiekt znalazł się niemal dokładnie nad głowami stolarza i Ollego.

— Zdaje mi się czy ktoś tam siedzi? — zapytał majster, wskazując ręką wysoko w górę. — Ależ tak, słowo daję! Czy to nie jakiś człowiek lata tu sobie w środku dnia? Kto, u licha, może mieć tyle odwagi, by wybrać się w taką podróż?

Olle Finson tak zadierał głowę, że omal nie złamał sobie karku.

— Już wiem! — wykrzyknął po chwili. — To ta latająca maszyna, o której czytaliśmy w gazetach. To maszyna Andersa Bengtsona, który przeleciał morze i dotarł tu aż z Niemiec!

— Kto by pomyślał! — powiedział stolarz, rozdziawiając usta. — No kto by pomyślał...! Kiedy Anders pracował z nami, zawsze miał tę maszynę w głowie. Teraz wreszcie udało mu się ją wysłać w powietrze! Oj tak, bystry był z niego chłopak! W sumie wiedziałem, że mój warsztat to nie miejsce dla niego. Nie był stworzony do rzeczy tak banalnych jak heblowanie desek.

³²Hamburg — miasto w północnych Niemczech na prawach kraju związkowego, położone niedaleko ujścia Łaby do Morza Północnego. [przypis edytorski]

Pamięć, Człowiek

Zwycięstwo, Lot

Falsz

Maszyna, Lot

— Boże wielki! — wykrzyknął Olle, który wciąż stał i gapił się w górę na maszynę, pędzącą na wschód. — Tamtego dnia, gdy Anders po raz pierwszy wypróbował swój wynalazek i nawet nie ruszyliśmy z miejsca, pomyślałem, że choć to kiepska sprawa, przyjdzie jeszcze dzień, gdy będzie miał więcej szczęścia. Bo nie jest z tych, którzy poddają się, napotkawszy przeszkody.

Statek powietrzny szybował coraz dalej na wschód i było go już widać w pobliżu Sztokholmu. Anders miał go oczywiście posadzić na ziemi, gdy tam doleci. By go uhonorować, przygotowano wielki bankiet. I wyznaczono mówcę. Ten chodził teraz w tę i z powrotem po swoim pokoju studenckim z rękami pod połami płaszcza i powtarzał to, co zamierzał powiedzieć. A była to bardzo piękna i chwytająca za serce mowa. Miał mówić o biednym chłopskim synu, o wielkim synu swojej ojczyzny, na którego dziś zwrócone były oczy całego świata. Miał go przywitać w kraju, w którym jednakowoż zawsze — hm, zawsze? (cóż, musi to powiedzieć) — spodziewano się po nim wielkich rzeczy. I choć, co zrozumiałe, to powietrze było obecnie jego prawdziwym żywiołem, to drugim, i kto wie, czy nie cieplejszym, było oddanie, była... Hm... Ta miłość, którą widział w sercu swojego ludu. Bo przecież *musiał* czuć, jak szeroko otwarte są dla niego ramiona wszystkich i jak wszyscy wiwatują na jego cześć, krzycząc: „Witaj, ach, witaj, zacny synu przestworzy!”.

Mówca przerwał czytanie. W oczach miał łzy i musiał wytrzeć sobie nos.

Jednak nie dane mu było wygłoszenie tej tak starannie przygotowanej oracji.

Anders nigdy nie posadził swojej maszyny na płycie lotniska w Sztokholmie. Z otwartych trybun i wzgórz południowej dzielnicy widać było szybujący ku miastu aeroplan. Opadał i wznosił się. Potem zrobił trzy długie okrążenia nad dachem stołecznego zamku, na chwilę zawisł zupełnie nieruchomo, po czym wystrzelił jak strzała w powietrze i odleciał w stronę morze.

DZWONKI

Mały Carl Carlsson pochorował się przed Bożym Narodzeniem. W Wigilię zaczęło mu się nieco poprawiać, ale wciąż musiał leżeć w łóżku, więc choinkę zapaloną w salonie przyszło mu oglądać wyłącznie przez otwarte drzwi.

Na poranne bożonarodzeniowe nabożeństwo³³ też nie pozwolono mu pojechać. Nie, nie mogło być o tym mowy! Jego dwie małe siostrzyczki miały udać się z mamą i tatą do kościoła, pokonując dość sporą odległość z leśniczówki, w której mieszkali, Carl jednak musiał zostać w łóżku i jedynie stara Karin, która dawniej była piastunką jego ojca, a potem opiekowała się wszystkimi *jego* dziećmi, została z Carlem, gdy reszta ruszyła w drogę. W dzień Bożego Narodzenia chłopiec obudził się wcześniej, bardzo wcześnie rano. Wciąż była ciemna noc, gwiazdy plonęły na niebie tak jasno, jakby je kto wypolerował na tę wielką uroczystość, a w lesie panowała podniosła cisza i tylko do czasu do czasu z jakiejś uginającej się gałęzi osuwała się na ziemię śnieżna czapa.

W domu wciąż wszyscy spali i jedynym dającym się słyszeć odgłosem było tykanie dużego ściennego zegara, który szedł i szedł swoim miarowym krokiem, aż w końcu nakręcił się i wybił. Było pół. Tylko pół do której? Zawsze, ale to zawsze, gdy Carl leżał i czekał, aż zegar wybije pełną godzinę, wybrzmiewało beznadziejne pół. Jednak coś w powietrzu podpowiedziało chłopcu, że zbliża się ranek.

Nagle Carl nastawił uszu i zsunął niżej koldrę, żeby lepiej słyszeć. Gdzieś z oddali dobiegał dźwięk janczarów³⁴. Podzwaniały coraz bliżej. Teraz słyhać je było naprawdę blisko, na drodze, która biegła w dół wzgórze, aż do miejsca, gdzie stała leśniczówka.

— Dzyń, dzyń, dzyń...

Dzwonków nie było wiele, ale opadały ciężko na końskie grzbiety.

— O, wiem, kto to! — ucieszył się Carl. — Nils Svensson i jego brat, którzy jadą aż z dalekiego Klintenu³⁵.

Wszyscy słyszeli o Nilsie Svenssonie i jego bracie, nie wszyscy jednak wiedzieli, że ten brat ma na imię Lars. Nils i Lars byli synami chłopca, który już nie żył, i mieszkali

Dziecko, Choroba, Święto

Świt

Brat, Kaleka

³³poranne bożonarodzeniowe nabożeństwo — w Szwecji nie ma pasterki, odprawia się natomiast świąteczne nabożeństwo wczesnym rankiem 25 grudnia. [przypis tłumacza]

³⁴janczar — tu: rodzaj niewielkiego dzwonka. [przypis edytorski]

³⁵Klinton — obecnie rezerwat przyrody w szwedzkiej gminie Eksjö w Smålandii. [przypis edytorski]

razem w jego chacie na wzgórzu Klinten, skąd rozciągał się rozległy na kilka mil widok na całą równinę, daleko aż do Vadsteny³⁶. Nils był urodziwym mężczyzną, wysokim i dobrze zbudowanym, z jasnym i przyjaznym obliczem. Lars z kolei był biednym kaleką, ledwo powłóczącym swoimi chudymi, zwiotczalymi nogami. I choć był młodszym z braci i pewnie liczył sobie niewiele ponad dwadzieścia lat, miał twarz starego mężczyzny i udrećzone spojrzenie, świadczące o tym, że życie wymaga od niego nieustającego wysiłku. Ale jego starszy brat troszczył się o niego bardziej niż matka o chorego niemowlaka. Pomagał mu się ubierać i zaprowadzał go w najbardziej nasłonecznione miejsce na całym wzgórzu Klinten, gdzie Lars spędzał długie letnie dni, podczas gdy Nils pracował. Wraz z nastaniem zimy krzesło Larsa stawało tuż przy kaflowym piecu, a Nils wymyślał tysiąc sposobów, by czymś zająć brata.

Raz przynosił mu gazety i książki, to znów pomagał mu w pracy, która polegała na wykonywaniu mebelków do domków dla lalek ze starych pudełek po cygarach. Często jednak Lars długimi tygodniami leżał chory i niezdolny do zajmowania się czymkolwiek, a wtedy Nils praktycznie go nie odstępował. Gotował mu kaszę z masłem, smażył naleśniki i bez przerwy przypatrywał się jego twarzy, by dojrzeć w niej choć mały promyk szczęścia.

Niejedna dziewczyna była chętna wyjść za mąż za Nilsa, jemu jednak żadna nie wpadła w oko.

— Przecież mam Larsa! — odpowiadał tym, którzy zachęcali go do założenia rodziny. — Jest mi bratem, przyjacielem i synem.

Wielu uważało, że to dziwne, żeby taki zdrowy, młody chłopak poświęcał całe życie na zajmowanie się jakimś nieszczęsnym kaleką, choć byli pewnie i tacy, którzy potrafili to zrozumieć.

Ale Lars nie zawsze był tak schorowany jak teraz.

Gdy miał czternaście lat, a Nils osiemnaście, opinie o tym, który z braci jest urodziwszy, były podzielone.

Lars był wówczas smukły i wysoki, miał zdrową cerę i wesołe oczy.

Nils z kolei zaczął się upijać i często wracał do domu dość nietrzeźwy.

Pewnego dnia pojechał na targ i tam porządnie sobie popił.

Wracał do domu przez las, pędząc jak burza. Po drodze spotkał Larsa, więc zatrzymał konie.

— Kogo ja widzę? Mój brat! — wykrzyknął. — Wskakuj na wóz, a zobaczysz jak chyżo nam pójdzie!

Ale Lars nie chciał jechać z Nilssem.

Od razu zmiarkował, że brat jest nietrzeźwy, więc nie ruszył się z miejsca.

— Aha, takiś uparty! — zawołał Nils i zeskoczył z wozu. — Ale, widzisz, życzę sobie, żebyś ze mną pojechał, więc tak będzie!

Powiedziawszy to, wepchnął Larsa na miejsce obok siebie na koźle. Po czym znów poluzował lejce i siekł batem tak, jakby szybkie dotarcie do celu było kwestią życia i śmierci.

Rozpoczęła się szalona jazda.

Wóz przetaczał się gwałtownie z jednej strony drogi na drugą, podskakiwał na kamieniach, taranował gałęzie, zarzucało nim i targało, czasem zjeżdżał tak blisko skraju wzgórza, że cudem tylko nie runął w przepaść; w końcu jednak — łup! Wpadł prosto w drzewo i razem z koniem i braćmi wleciał bezwładnie do rowu i się roztrzaskał. Koń tu i tam się podrapał. Nils wyszedł ze wszystkiego bez szwanku, ale Lars leżał nieruchomo na ziemi, jakby nie żył.

Nils momentalnie wytrzeźwiał. Zaniósł brata do domu i położył do łóżka, ale gdy zawezwano lekarza, ten powiedział, że jest wielce wątpliwe, czy Lars będzie żył. Coś sobie połamał, więc *nawet* jeśli przeżyje, to pewnie nigdy już nie będzie w pełni zdrowym człowiekiem.

Przez cały ten długi czas, gdy los Larsa wciąż był niepewny, Nils siedział przy jego łóżku. Tam też w ciszy obiecał, że jeśli Pan w swojej łaskawości i miłosierdziu zechce pozostawić jego brata przy życiu, to on, Nils, już nigdy nie będzie myślał o własnym szczęściu i zrobi wszystko, by odpokutować swą winę. I szczerze trzymał się tej obietnicy.

Brat, Kaleka, Choroba,
Pijaństwo, Alkohol

Wina, Przysięga

³⁶Vadstena — miasto w środkowej części Szwecji, w regionie Östergötland. [przypis edytorski]

Będąc silnym i zdrowym, żył wyłącznie po to, by czynić bardziej znośnym życie swego młodszego brata, którego przyszłość zniszczył.

„Rozumiem, dlaczego jadą tak wolno!”, pomyślał Carl, który, leżąc, przysłuchiwał się podzwanianiu janczarów. „Nils boi się, że jeśli pojedą szybciej, za bardzo wytrzęsie chorym ciałem Larsa”.

Odgłos dzwonek stopniowo zamilkł i — jako że był wczesny ranek — znów zapadła cisza. Wtedy Carl usłyszał inny dźwięk. Samotny jak dzwonek krowy pasącej się gdzieś głęboko w lesie. Przybliżył się i podzwaniał teraz monotonicznie i smętnie w zimowym powietrzu. Carl wystawił głowę spod kołdry i nasłuchiwał.

— Wiem, kto to! — powiedział do siebie. — To dzwonek Dorothei Ulck. Ma tylko jednego janczara i jednego starego konia i pewnie powozi sama.

I rzeczywiście — na niewielkich niskich saniach, ciągnionych przez starego, wychudłego konia, siedział czarny toból ubrań. Nic więcej nie dało się zobaczyć. Ale to właśnie Dorothea Ulck jechała na poranne nabożeństwo.

Dziś stara i biedna, swego czasu była młoda i bardzo, ale to bardzo piękna. Jej ojcem był bogaty baron Ulck, powszechnie znany ze swojej rozrzutności właściciel okazałej rezydencji o nazwie Hammar, w której zawsze przebywały tłumy gości, tak zimą, jak i latem. Większość z nich ściągnęła do Hammar z powodu beztroskiego życia, jakie tam wiedziono, i hojnej gościny. Ale nie brakowało i takich, którzy przybywali ze względu na Dorotheę, gdyż jej bliskość była jak blask słońca i zapach sosen. Patrzenie na nią i słuchanie jej było czymś niezwykłym. Miała białą, niemal przezroczystą cerę, i choć nigdy nie nosiła kapełusza, nigdy też nie opalała jej słońce, zupełnie jakby cieszyło się z samego patrzenia na nią i nie miało sumienia jej przypiekać. Jej źrenice były szare, a rzęsy długie i czarne; para wyjątkowych oczu, o nieodgadnionym spojrzeniu. Czasem patrzyły dumnie i wyniośle, że aż można się było przestraszyć; a gdy Dorothea się zezłościła, wtedy, tak, wtedy jej oczy stawały się wręcz przerażające. Za to gdy się uśmiechała i je mrużyła, była tak onieśmielającą czarującą, że topniały nawet najtwardsze serca. Ponadto miała wręcz niewyobrażalnie piękne usta i gdy odsłaniała w uśmiechu swoje olśniewająco białe zęby, nie dało się nie przytakiwać i nie godzić na wszystko, czego tylko zapragnęła. Była bardzo smukła i wysoka, a chodziła tak, jakby sunęła w powietrzu nad ziemią. Wiedziała zapewne, że jest panią na Hammar i że mogłaby panować nad sercami wszystkich, którzy tylko pojawią na jej drodze.

To ona rządziła i decydowała o wszystkim w majątku ojca, bo matka odumarła ją we wczesnym dzieciństwie. U jej pasa zawsze wisiał ciężki pęk kluczy i to ona wydawała wszystkim pościel do pokoi gościnnych i obrusy do jadalni. Nigdy jednak nie dało się zauważyć, że się jej spieszy, nawet gdy pewnego razu, w Boże Narodzenie, na Hammar przybyła setka gości. Wszystko szło jej zwinnie i lekko jak w tańcu. A i tańczyć potrafiła jak nikt. Niejeden młody kawaler omal nie wyzionął ducha, tak z nimi tańcowała w wielkiej bawialni w Hammar, żaden jednak nie chciał się poddać, dopóki trzymał Dorotheę Ulck w swoich ramionach. Śpiewać też potrafiła. Miała bardzo wysoki głos. Niechętnie jednak śpiewała przy pianinie dla gości, a tylko wyszywając lub spacerując. Wówczas to czasami można było usłyszeć jej dźwięczny sopran, dobiegający gdzieś z oddali, z głębi lasu.

Uzasadnione są więc domysły, że wielu mężczyzn zabiegało o rękę Dorothei. Wiadomo było przecież, że wniesie spory posąg, lecz nawet gdyby była tylko biedną dziewczyną, i tak wielu by się o nią starało — i to ze względu na nią samą, bo nie miała sobie równych!

Dorothea była jednak dumna i nieprzystępna jak księżniczka Turandot³⁷. Na podobieństwo tej okrutnej władczyni zabawiała się, dając zalotnikom zagadki do rozwiązania, a jeśli sobie z nimi nie poradzili — to do widzenia! Nie miała dla ich smutku i rozpaczycy choćby krzty współczucia, więc gdy tylko wyrzuciła za bramę jakiegoś adoratora, tym radośniej się śmiała i tym weselej płaśała. Ale i jej godzina miała wybić.

Żył wówczas w okolicy pewien młody mężczyzna. Nazywał się Frits Grane. Był synem zarządcy w jednym z pobliskich majątków — biednym jak mysz kościelna. Chciał zostać artystą malarzem, ale mu się znudziło. Potem zapragnął grać na skrzypcach, doszedł jed-

Kobieta, Uroda, Piękno,
Szlachcic, Bogactwo,
Duma, Pozycja społeczna

Pycha

³⁷księżniczka Turandot — tytułowa bohaterka trzyaktowej opery, skomponowanej przez Giacomo Pucciniego (1858–1924). [przypis edytorski]

nak do wniosku, że to zbyt trudne, więc na jakiś czas przystąpił do grupy teatralnej, lecz skłócił się z jej dyrektorem, bo odmówił występowania dłużej niż do pierwszego maja.

Albowiem wówczas to absolutnie *musiał* wyjechać na wieś.

— Kim więc chcesz zostać? — zapytał ojciec. — Nie da się żyć samym tylko powietrzem.

— Człowiekiem! — odpowiedział Frits. — Może tyle wystarczy.

Odtąd spędzał okres letni u swoich rodziców, a przez resztę roku podróżował od majątku do majątku; wszędzie, gdzie zajechał, był mile widzianym gościem. Miał przyjemny dla oka wygląd, ciemne i wesołe oczy, był przystojny i towarzyski. Świetnie tańczył i jeździł konno; można by go raczej wziąć za podróżującego po okolicy księcia niż syna biednego wiejskiego zarządcy.

I tak to Frits Grane przybył również do Hammar, a gdy tylko Dorothea go zobaczyła, z miejsca się zakochała. Trudno powiedzieć, czy on sam to zauważył, w każdym razie nie okazywał jej większego zainteresowania niż wszystkim pozostałym. To ją przypuszczalnie tylko rozzuchwaliło, tak że któregoś dnia zapytała:

— Czy i ty nie chciałbyś porozwiązywać moich zagadek?

— Żebyś się mogła ze mnie śmiać i mnie stąd przegonić? — odpowiedział dumnie Frits.

Wtedy Dorothea pochyliła się i szepnęła mu do ucha:

— Jakby nie było, wybiorę ciebie, gdyż ty jeden zostaniesz moim mężem. Nikt inny.

— Skoro tak, to pytaj! — odpowiedział. — Poproszę o zagadki!

Zatem Dorothea przedstawiła swoje zadania.

— Co to takiego? — zapytała. — Przychodzi, choć nie wiadomo skąd, i zmierza dokądś, choć nie wiadomo dokąd. Może być tak lekki jak powietrze i tak twardy jak kamień, potrafi uszczęśliwić i zniszczyć, kocha się go i nienawidzi. Co to może być?

— Czort wie! — odpowiedział Frits. — Pewnie ptak.

Dorothea śmiała się tak, że łzy ciekły jej po policzkach. I aż klaskała w dłonie z zachwytem.

— Przecież to górski potok! Nie wiedziałeś?

Potem zadawała kolejne zagadki, na które Frits odpowiadał równie niedorzecznie.

Goście tylko czekali, żeby Dorothea wyrzuciła go za drzwi, jak to zrobiła z resztą zalotników, lecz ona — przeciwnie — objęła go za szyję i powiedziała:

— Zostaniesz moim mężem! Podoba mi się, gdy mężczyźni nie potrafią odczytać naszych kobiecych myśli. Wówczas mamy coś wyłącznie dla siebie.

Stary baron Ulck nieszczęśliwie się ucieszył, gdy pojął, kogo wybrała córka; wiedział jednak, że w tej sytuacji opór na nic by się nie zdał. Najrozsądniej było ustąpić.

Rażno zabrano się do szycia ślubnej swyprawy dla Dorothei, bo to miały być całe góry bielizny i kosztownych sukien, a wszystko jak dla prawdziwej księżniczki.

W przeddzień wesela Dorothea i Frits w jednym z pokoi na parterze pakowali kufry, gdyż zaraz po uroczystości mieli wyruszyć w podróż zagraniczną. Dorothea w jeden, Frits zaś w inny sposób. Dość się w tym zaperzyli i w końcu Frits krzyknął rozzłoszczony:

— Głuptasko! Jak można postępować tak bezrozumnie?

Dorothea opuściła ręce i pobladła na całej twarzy. Nagle jednak zapłonęła czerwienią i spoliczkowała Fritsa tak, że aż mu zadudniło w głowie.

Teraz to on zrobił się czerwony, choć nie oddał jej, tylko stał i wlepił w nią wzrok.

— Dziękuję! — rzekł. — Skoro tak poczynasz sobie na dzień przed ślubem, to już wiem, jak będzie potem.

Powiedziawszy to, rzucił się do drzwi, ale Dorothea prędko je zamknęła i zatarasowała własnym ciałem, rozkładając szeroko ramiona.

— Nie odejdziesz! Nie pozwalam! — krzyknęła. — Wybacz mi, ach, wybacz! To się już nigdy nie powtórzy!

Ale on nie posłuchał. Jednym susem wyskoczył przez okno, otwarte na podwórze, i tyle go widzieli.

„Pewnie wróci wieczorem”, pomyślała Dorothea. Ale nie wrócił. „Wróci, żeby zawieźć mnie do kościoła”, pomyślała nazajutrz rano, gdy ubierano ją do ślubu. Ale nie wrócił.

Przez cały miesiąc Dorothea siedziała w sukni ślubnej przy oknie i spoglądała na drogę.

Miłość, Klótnia, Rozstanie

Miłość niespełniona,
Przemiana, Upadek

Od tego patrzenia aż jej poczerwieniały i napuchły oczy. Nie jadła i nie piła. W końcu jednak podniosła się, zdjęła z siebie suknię i poszła do łóżka, w którym spędziła trzy następne lata. Gdy po tym czasie wstała, nie była już piękną Dorotheą Ulck. Zestarzała się i pomarszczyła, i już nigdy się nie uśmiechała. Przestała dbać o gospodarstwo i pewnie dlatego cały majątek z czasem popadł w ruinę. Baronowi na starość przyszło sprzedać Hammar i — biedny teraz jak mysz — zaszył się w leśnej chacie, a po śmierci pozostawił tak wielki dług, że Dorothei ledwo wystarczyło na chleb.

Mieszkała samotnie, bez służby, nie chciała się z nikim spotykać, a o tym, jak wyglądało jej życie, opowiadano bardzo różne rzeczy.

Ledwo raz w roku, na bożonarodzeniowe nabożeństwo, jechała do kościoła. Więc teraz mały Carl poznał, że to jej janczar podzwania w nocy.

Jednocześnie w sąsiednim pokoju zaczął się ruch. To matka wstała po cichu. Niedługo potem Carl usłyszał szepty swoich młodszych siostr. A po nich tubalny głos ojca.

— Co u licha, tak późno? — wykrzyknął i wyskoczył z łóżka.

Carl słyszał podzwanianie filiżankami i kroki ojca wychodzącego, żeby zaprząć sanie. W pokoju stanęła matka i patrzyła teraz na chłopca, który leżał z zamkniętymi oczami. Nie mógł się jednak powstrzymać, by ich trochę nie uchylić, co matka od razu spostrzegła, więc podeszła do łóżka.

— Wesołych świąt, synku! — powiedziała i pochyliła się, by go pocałować.

Carl objął ją za szyję i zapłakał:

— Nie mogę jechać do kościoła! Ach, nie mogę!

— Poleż tu sobie, nasłuchuj i policz, ile sań jedzie na nabożeństwo — powiedziała matka i opatulila go kołdrą. — A słuchając, możesz sobie wyobrażać, że i ty siedzisz w saniach.

— Wyobrażać! — chlupał Carl. — Przecież to nie to samo!

— Cóż, muszę już iść — powiedziała matka w pośpiechu. — Ojciec woła.

Szybko wyszła, a niedługo potem Carl usłyszał oddalające się sanie. Doskonale znał dźwięk tego wianka szczęściu dużych janczarów, które zwisały z grzbietu konia, po jednym dla ojca i matki, dla Carla i jego siostrzyczek, a szósty był dla Agathy, malutkiej siostrzyczki, która zmarła ubiegłej wiosny. Ledwo jednak ich muzyka umilkła w lesie, a całe powietrze zabrzmiało odgosem małych dzwoneczków i wielkich dzwonów.

Ze wszystkich stron nadciągały sanie spieszące do kościoła, podzwaniając, pobrzękując, śmiejąc się i śpiewając. Jakby cały nieruchomy las nagle ożył.

Carl rozpoznał zabawne brzmienie dzwoneczków i sań nadzorcy. Wiedział, że są po brzegi wypełnione dziećmi.

Potem dał się słyszeć dumny dźwięk janczarów na saniach z dworu. Te zdawały się śpiewać: „Z drogi! Precz! Nadjedźża pan dzierzawca!”

Carl słuchał i słuchał. I już zdążył stracić rachubę, licząc kolejne pojazdy.

Leśniczówka stała przy samej drodze, więc wszyscy jadący do kościoła musieli ją minąć. Dzwonki i dzwony śpiewały, podrygiwały, radowały się. A potem nagle zapadła cisza, jeszcze głębsza niż nocna. Tak mu się przynajmniej zdało. Nie słyszał nawet śniegu, spadającego bezgłośnie z uginających się gałęzi. Carl zasnął.

Najpierw zapadł się w coś wielkiego, cichego i mrocznego — tak głęboko, że wszystko dokoła zgasło. Leżał długo, niczym w letargu, aż tu nagle zrobiło się jakoś cudownie jasno. I coraz jaśniej, i jaśniej, i w końcu światło splotało się na niego ze wszystkich stron.

Czy to w kościele palą się te wszystkie światła?

A potem znów się rozdzwoniło. Dzwony, dzwonki i dzwoneczki pobrzękiwały, śmiały się i radowały. Dzwonienie dochodziło zewsząd, coraz to głośniejsze. Mały Carl nie wiedział, czy to światło czy dźwięk dzwonów porwał go w górę, w coś tak wielkiego i radosnego, że i on sam zaczął się śmiać.

Obudził go własny śmiech, a wtedy zobaczył słońce, które, świecąc ze wszystkich sił, wpadało przez okno, rozświetlało podłogę i zatapiało cały jego pokój w blasku.

W drzwiach stała matka z kawą i szafranowymi bułeczkami, a za nią ojciec i obie siostrzyczki.

— Wypałeś się, synku? — zapytała matka i podeszła do Carla z tacą.

Zima, Droga

Sen

— Jeszcze jak! — odpowiedział Carl i usiadł w łóżku, przecierając oczy. — Zupełnie jakbym i ja był tam z wami w kościele na porannym nabożeństwie, a może nawet w samym niebie!?

CZEREŚNIOWY LAS

Był sobie kiedyś król, który rządził na jednej z morskich wysp. Wyspa była piękna — z niebieskimi górami, zielonymi dolinami i bystrymi rzekami. Kiedyś obfitowała też we wspaniałe cieniste lasy, jednak wrogowie kilka razy zesłi na ląd, wykarczowali je i spalili. Co gorsza sami mieszkańcy wykorzystywali je i pustoszyli, ścinali drzewa na opał albo sprzedawali jako budulec. I tak nastał dzień, gdy na całej tej górzystej wyspie nie zostało już ani jedno drzewo. Dopiero wtedy król, a wraz z nim cały jego lud, zrozumiał, jak to wspaniałe, gdy gęste, dające cień drzewa latem chronią przed słońcem, kwitną wiosną, a jesienią rodzą owoce.

Wyspa była teraz pusta i jałowa, wystawiona na letnie upały i jesienne sztormy.

A król smucił się *szczerze*, bo patrzeć na onegdaj zalesione ziemie tak ogołcone i wyniszczone to widok równie przykry jak spotkanie starego przyjaciela z wyłysiałą głową, gdy wciąż pamięta się jego piękne, bujne włosy.

Wtedy to król wydał rozkaz, by w ciągu kolejnego roku każdy mieszkaniec wyspy zasadził drzewo — począwszy od dzieci, na tyle już silnych, by pracować fizycznie, skończywszy na starcach, którzy nadal byli w stanie unieść łopatę. Każdy kto żyw zobowiązany był posadzić odrośl drzewa. W ten sposób, jak twierdził król, już po niedługim czasie wspanę znów miały porastać lasy i ogrody.

Sam król jako pierwszy dał dobry przykład.

Przed swoim warownym zamkiem posadził młody dąb. I gdy ten tkwił już pewnie w ziemi, powiedział:

— Dąb ten zwać będą *królewskim dębem!* Przyszłe pokolenia, patrząc na jego koronę, wspominać będą władcę, który kiedyś zasadził go własnymi rękami, by cieszył i chronił ludzkie dzieci!

W górach mieszkał człowiek znany na całej wyspie ze swoich pięknych pieśni. Przed swoim domem posadził lipę.

— Lipę tę zwać będę *lipą skalda*³⁸ — powiedział. — Rozrośnie się i zakwitnie, a w przyszłości rozciągnie swoją koronę szeroko na wszystkie strony. Jej gałęzie uginać się będą pod mnóstwem pełnych miodowego pyłku, pachnących kwiatostanów, wokół których zaroi się od pszczół, odurzonych ich słodyczą. W jej cieniu zasiądą razem panny i młodzieńcy, śpiewając moje pieśni i wznosząc oczy ku skąpanym w słońcu lipowym liściom. I uśmiechną się wówczas na myśl, że ja, który podarowałem im te piękne słowa, dałem im także to cudownie cieniste drzewo. I powiedzą: „Błogosławione niech będzie imię skalda!”.

Z kolei na skalistym nadmorskim klifie mieszkał człowiek, który dowodził królewską flotą.

Był to mężczyzna wielce dostojny i szanowany, gdyż umiał nawigować po morzach i niejedną już raz obronił swoją ojczystą wyspę, zmuszając wroga do ucieczki z jej brzegów.

Przy wieży, w której mieszkał i z której nieustannie obserwował okoliczne drogi, posadził sosnę pinię.

— Niech rośnie tu ta sosna coraz większa i dorodniejsza! — powiedział — I wznosi się jak znak na tle nieba. Gdy nasi ludzie powracać będą z morza, już z daleka dostrzeżę to wysokie drzewo na skale, skąd będzie ich witać, wyciągając ku nim swe gałęzie. Gdyby zaś do naszej umiłowanej wyspy zbliżały się okręty wroga, wówczas pinia ukaże się ich oczom niczym groźne ostrzeżenie. I krzyknie do nich, by mieli się na baczności! I powie, że człowiek, który posadził ją tam wysoko na skale, zawsze potrafił zetrzeć w proch śmiałków przybywających w niecnym zamiarach. Swego czasu był największym bohaterem mieszkańców wyspy, wciąż jednak żyją ludzie, którzy umieliby obronić brzegi swoich przodków przed najeźdźcą. A wówczas okręty zawrócą zaleknione i rozpierzchną się po falach jak spłoszone ptaki.

Las

Król, Obowiązek, Lud,
Drzewo

³⁸*skald* — w kulturze nordyckiej poeta dworski. [przypis edytorski]

Odkąd trzech najznamienitszych mężów na wyspie posadziło swoje drzewa, wszyscy inni poszli w ich ślady. Nie było mężczyzny ani kobiety, dziecka ni starca, który nie usadowiłby szczytki w ziemi. Jedni sadzili dęby i kasztanowce, inni oliwki i drzewa owocowe. Rok jeszcze nie dobiegł końca, a już wszędzie wyzierały spośród skał większe i mniejsze sadzonki drzew, wyczekując przyszłości i tego, by kiedyś stać się roslymi drzewami.

Wśród wszystkich mieszkańców wyspy znalazło się tylko dwoje ludzi, którzy nie posadzili niczego. Zwyczajnie zapomnieli.

Byli to młody mężczyzna i młoda kobieta, którzy tamtej wiosny dopiero co się w sobie zakochali. Miłość tak zawładnęła ich życiem, że nie mieli chwili, by zobaczyć lub pomyśleć o czymś innym.

Oczywiście i oni wiedzieli o królewskim rozporządzeniu, które nakazywało im wsadzić w ziemię szczytkę, ale natychmiast o nim zapomnieli. Nigdy nie starczało im dnia, by nacieszyć się spotkaniem i rozmową. Jak więc mieliby znaleźć czas na sadzenie drzew?

I tak pewnego dnia młodzieniec spotkał swoją ukochaną na górskiej drodze. W ręce niósł kosz pełen dojrzałych czereśni kupionych przy jednej z łodzi, które zacumowały w porcie. Chwyił w pół dziewczynę i posadził ją obok siebie na huśtawce, którą rozwiesił między słupkami na skale, skąd rozciągał się szeroki widok na morze. Kosz postawił między sobą a ukochaną.

Był pogodny letni dzień. Niebo migotało i połyskiwało nad nimi, daleko aż po horyzont. Góry wznosiły się otulone miękkimi aksamitnymi płaszczami w odcieniach błękitu i bladej czerwieni. Słyszeli, jak daleko w dole fale rozbijają się o skały. Pachniała macierzanka, a w niskiej trawie płonęły ognistoczerwone maki.

Młodzieniec rozbijał huśtawkę tak wysoko, że aż zawiął im w twarz południowy wiatr, a dziewczyna zaplotła swoje ręce mocno wokół jego szyi i położyła mu głowę na piersi.

Od czasu do czasu zwalniali i wtedy całowali się, a między pocałunkami jedli czerwone czereśnie z kosza i pluli pestkami na wszystkie strony.

Fale wylaniały się i na powrót ginęły w morzu, a słońce schodziło coraz niżej nad horyzont. Chłodna i ciemna noc zasnęła niebo, a nad skałami wisiał cichy i blade księżyc. Zjedli już wszystkie czereśnie i wreszcie skończyły się też pocałunki.

Młodzieniec zdjął ukochaną z huśtawki, wziął ją pod rękę i powędrowali górską ścieżką w dół ku wiosce.

Mijały lata. Ludzie umierali, a drzewa rosły. Oczywiście niektóre z nich uschły, ale większość wystrzeliła w górę i po stu latach ogolona dawniej wyspa znów miała lasy i ogrody.

Królewski dąb wyrósł na okazałe drzewo. Ściągano tam tłumnie na święta i rocznice. I opowiadano o wielkim władcy, który teraz spoczywał w grobie, ale kiedyś zasadził ten dąb, dziś podziwiany przez wszystkich i mający po wsze czasy upamiętniać tego, który dał mu życie.

Lipa skalda wyrosła na taką, jaką pieśniarz widział w swoich snach. Jej pień był silny, wzrost wysoki, a korona rozpościerała się na wszystkie strony niczym dająca cień komnata z listowia. Tysiące rozkosznie pachnących kwiatów zwisało wśród gałęzi, a ekstatyczny hymn pszczelego roju rozbrzmiewał — niczym niecichnący dźwięk organów — na chwałę drzewa.

Na trawie pod lipą siedzieli młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety, śpiewając piękne pieśni zmarłego skalda i wznosząc oczy ku zielonej koronie, w której podrygiwały promienie słońca.

Kończąc pieśń, mówili jedni do drugich:

— Nigdy nie zapomnimy, jakiego wspaniałego skalda miała nasza wyspa. Nigdy nie zapomnimy jego pieśni. Będziemy bronić i strzec jego drzewa, by wciąż mogło rosnąć i rozkwitać, i nieść jego imię kolejnym pokoleniom.

Sosna na nadmorskiej skale dzielnie stawiała opór sztormom. Odpierała ich ataki, tak, że cała korona zwróciła się w stronę lądu. Pień jednak nieustannie wyciągał się wysoko w górę i wznosił się teraz jak berło ku niebu.

Gdy mieszkańcy wyspy wracali z morza, wykrzykiwali z radości na widok drzewa. Stało tam i pierwsze witało ich w progach domu.

Wyciągając ramiona w stronę brzegu, wołali:

Miłość

Zabawa, Spotkanie,
Pocałunek

Drzewo, Przemiana, Czas

— Błogosławiona niech będzie pamięć naszego mocarnego bohatera! Tego, który dawniej wybawił kraj naszych ojców od wszystkich niechcianych gości i który sam siebie upamiętnił, sadząc tam wysoko to potężne drzewo!

Tymczasem na zielonej polanie pośród gór, gdzie kiedyś wtulona w siebie siedziała na huśtawce para zakochanych i jadła czereśnie, wyrósł cały czereśniowy sad.

Nie pojmowano, skąd się tam wziął, bo choć rzeczywiście był to dość żyzny i urodzajny kawałek ziemi, to kto mógł być posadzić czereśnie?

Gdy drzewa urosły, obrodziły tak pięknymi i słodkimi owocami, że nikt nigdy nie jadł smaczniejszych. Nie przestawały też same rozsiewać się dokoła.

Rozmnażały się samoistnie przez pestki i podziemne pędy, aż wreszcie wysoko w górach wyrósł cały wielki czereśniowy las.

Wiosną zawisła białą chmurą kwiatów na niebieskim niebie, a latem świecił czerwonymi owocami.

Wtedy wszystkie dzieci i młodzież z wyspy pielgrzymowali tam, by urządzić święto w czereśniowym lesie.

Rozkładali się na trawie między polnymi kwiatami i spoglądali w morze. Najpierw jednak zbierali całe mnóstwo dorodnych, soczystych owoców.

A kiedy jedli, szeptali między sobą:

— Kto zasadził ten las? Kto dał nam te czereśnie? Tak, kto to był, kto, kto to? Król wznosił sobie pomnik w królewskim dębie. Skald nadal żyje w swojej lipie. Na skalnym klifie góruje sosna pinia i opowiada o bohaterskich czynach dowódcy naszej floty. Ale czereśniowy las? Kto go zasiał?

Popatrzyli po sobie zdziwieni i przez chwilę nikt nic nie mówił.

A wtedy odezwała się jakaś piękna, zadumana dziewczyna.

— Nikt nie zna imienia naszego dobroczyńcy i nigdy go nie poznamy — powiedziała. — Alł to musiał być ktoś, kto nie myślał ani o sobie, ani o tym, by upamiętnić swe imię. Myślał jedynie: „Chcę posadzić ten las ku radości przyszłych pokoleń”.

— Chyba masz rację! — stwierdził ktoś inny. — Ten, kto posadził las, musiał to zrobić wyłącznie ze względu na nas i nasze szczęście. I nawet jeśli ta praca okazała się ciężka, człowiek ów uśmiechał się z radości na myśl o nas wszystkich, którzy będziemy tu zrywać owoce.

Pozostali zgodnie pokiwali głowami, zającując soczyste czereśnie, a jakiś mały chłopczyk zadarł głowę i zawołał:

— Spójrzcie na fale, panny i kawalerowie! Czy nie wydaje się wam, że całe morze się śmieje?

CZY KTOŚ WIDZIAŁ KALLEGO?

Była sobie kiedyś uboga wdowa, Lisa. Miała tylko jedno dziecko, chłopca o imieniu Kalle. Nigdy nie zostawiała synka samego, a jeśli już musiała gdzieś wyjść, maluch dreptał obok niej, trzymając ją za rękę lub spódnice.

I tak któregoś dnia matka udała się na rynek po ziemniaki. Plac, zastawiony furmankami, był pełen ludzi. Z trudem dało się przedrzeć przez tłum. Lisa właśnie przebierała ziemniaki, które chciała kupić, i na chwilę puściła rękę Kallego, a gdy znów podniosła wzrok, jego już nie było.

Obróciła się w prawo i w lewo, rozglądała się uważnie dookoła, ale nigdzie go nie znalazła. Wtedy zaczęła biegać między przekupniami i wozami i szukać swojego synka, a krząc tak, wołała do każdej mijanej osoby:

— Czy widziałas Kallego? Czy widziałas Kallego?

Zgrzała się od tego biegania, włosy opadły jej na czoło, a w jej spojrzeniu pojawił się taki lęk i rozpacz, że niejednen musiał pomyśleć, iż postradała zmysły. Większość ludzi tylko na nią spoglądało i nie odpowiadało jej słowem. Ale niektórzy śmiali się, a ten czy tamten przedrzeźniał ją i też krzyczał:

— Czy widziałas Kallego? Czy widziałas Kallego?

Przez cały dzień ganiała po wsi, szukając swojego synka, a gdy nadeszła noc, położyła się ledwo na kilka godzin, by wczesnym rankiem znów kontynuować poszukiwania. Lecz na marne. Po trzech dniach, gdy zajrzała już po kolei do wszystkich domów, wyszła

Dobro, Praca, Radość

Dziecko

Matka, Strach, Rozpacz

na wiejski trakt. Pomyślała, że Kalle musiał zabrać się z jakimś chłopem wracającym na gospodarstwo. Roztrzęsionym głosem pytała więc wszystkich, których napotkała po drodze, czy widzieli jej synka.

Trzeciego dnia Lisa dotarła do małej chaty, stojącej na kamienistym polu. W drzwiach zobaczyła gospodynię, więc pospieszyła do niej i zapytała jak zwykle:

— Czy widziałaś Kallego?

Strasznie już była wychudzona i pobladła ze zgryzoty, a oczy miała opuchnięte od płaczu. Stara gospodyni spojrzała na nią badawczo, po czym powiedziała:

— Więc to ty jesteś jego matką? Kalle leży tu u nas ze złamaną nogą.

— Ach, mój chłopak! Mój syneczek! — zawołała Lisa i wbiegła do chaty.

W środku było dość ciemno, a jednak dojrzała, że pod oknem z małymi szybami leży ktoś na ławie, opatulony kołdrą i z głową odwróconą do ściany.

— Kalle, syneczku — zawołała i pochyliła się nad leżącym.

Ten z wysiłkiem odwrócił głowę i spojrzał na nią, mrużąc oczy. Lisa cofnęła się o krok i zakryła twarz dłońmi. Dobry Boże! Przecież to nie jest jej synek! Jej Kalle był pięknym dzieckiem, zdrowym i krzepkim, z gęstymi kręconymi włosami i jasnymi błękitnymi oczami, a chłopiec, który tu leżał, zdawał się chory i w oplakany stan. Chudy był jak szkapa; miał cienkie bladożółte włosy, opadające strąkami na spocone czoło. Lisa musiała mu się przyjrzeć raz jeszcze. Wydał się jej tak schorowany i smutny, że strasznie go pożałowała.

— Mój ty biedaku! — powiedziała i pochyliła się nad chłopcem. — Chory jesteś? Gdzieś cię boli?

Chłopiec patrzył na nią przez chwilę, po czym zarzucił jej ręce na szyję i rozplakał się. Lisa dowiedziała się, że gospodyni, do której należała chata, znalazła go w rowie ze złamaną nogą. To, co sam opowiadał, było dość nieskładne i Lisa zrozumiała tylko tyle, że rodzice chłopca mieszkali gdzieś daleko, że miał wiele rodzeństwa i że przypuszczalnie sam ruszył przed siebie wiejskim traktem. Nie mógł mieć więcej niż sześć lat, więc nie potrafił jasno wyjaśnić, co i jak. Umiał jedynie podać nazwę wioski, z której pochodził. Pamiętał też imiona wszystkich swoich sióstr. O rodzicach mówił tylko „ojciec” i „matka”.

— Czy mogę zostać, by go pielęgnować? — zapytała Lisa gospodynię.

Ta, po krótkim namyśle, wyraziła zgodę. Tyle że Lisa musiała przecież coś jeść i pić, więc zdjęła z głowy chustę i oddała gospodyni jako zapłatę.

— To dobra i ciepła wełniana chusta — powiedziała i rozłożyła ją na krześle. — Sama ją sobie kupiłam za pieniądze zarobione minioniej zimy na robieniu na drutach i tkaniu.

— Hm — mruknęła gospodyni, gładząc chustę. — Na co mi właściwie taka chusta? Ale możesz zostać i zająć się chłopcem. Mam z nim sporo utrapienia, a nie mogłam go przecież zostawić na pewną śmierć przy drodze.

Lisa została zatem przy chłopcu i opiekowała się nim z taką czułością, jakby to był jej własny syn. Obmywała i opatrywała jego rany, i wносиła go przed dom, na słońce, żeby pooddychał powietrzem świeższym niż to w chacie. Chłopiec zaś bardzo ją pokochał i nazywał mamusią. Gdy znów stanął na nogi i ozdrowiał, Lisa zrobiła wszystko, by odzyskać jego rodziców. Ale tego dnia, gdy przekazała go na powrót matce, która dawno już zdążyła go oplakać, a teraz cieszyła się, widząc, jak powraca do domu cały i zdrowy — tak, tego dnia Lisa bardzo płakała. Samotna jak nigdy dotąd wyszła na wiejski trakt i znów zaczęła zadawać swoje dawne pytanie, dręcząc wszystkie napotkane osoby i powtarzając co i rusz błagalnym tonem:

— Czy widziałeś mojego Kallego? Czy widziałaś mojego Kallego?

— Kallego? Kim jest Kalle? — powtarzano wówczas, co zrozumiała. — W całym kraju pełno jest chłopców o tym imieniu, a ty pytasz, czy ktoś widział Kallego?!

I tak pewnego razu późnym wieczorem Lisa trafiła do gospody, w której zebrano się wielu gości. W kuchni panował straszliwy harmider. Krzyczano i wołano jeden przez drugiego. Garnki dzwoniły, kieliszki i talerze pobrzękiwały, a służące i parobkowie biegali w tę i z powrotem z wywieszonym językiem i oczami dookoła głowy. Za to w sali jadalnej, nad kuflami piwa i półmiskami, siedzieli, z łokciami na blatach stołów, zgnuśniali tłuści rzeźnicy i bogaci chłopcy, pokrzykujący, by donieść im więcej.

Lisa zatrzymała się w drzwiach kuchni i zapytała niepewnie:

— Czy ktoś widział mojego Kallego?

Rozczarowanie

Dziecko, Choroba

Karczna

Najpierw nikt jej nie odpowiedział, w końcu jednak jakaś służąca, która zmywała talerze, uniosła wzrok znad balii i rzekła piskliwym głosem:

— Kallego? Jakiego Kallego? Czy tego, który leży chory na dole spichlerza? Bo jeśli tak, to możesz pójść i sprawdzić. Zwykle raczej nikt tam nie zagląda.

Lisie nie trzeba było dwa razy powtarzać. Pognąła do spichlerza i otworzyła drzwi. W środku było ciemno jak nocą, więc początkowo nic nie widziała. Stopniowo jednak jej oczy przyzwyczyły się do mroku i mogła się rozejrzeć po dużym pomieszczeniu. Od razu zdało się jej, że widzi coś, co się rusza, więc poszła w tę stronę.

— Kalle! — krzyknęła trzęsącym się głosem. — Czy to ty, Kalle? Już do ciebie idę! Już idę!

— Ma się rozumieć, że ja! — odpowiedział jej stary i zrzędlawy głos, a ku Lisie zwróciła się para niemal oślepych oczu. Przed nią leżał stary mężczyzna, wychudły jak szkielec, o powykręcanych, nieruchomych dłoniach.

— Gdybym mógł dostać choć kapkę wody — wyjęczał. — Zlituj się i daj mi pić!

Lisa pobiegła do kuchni i poprosiła o jakieś naczynie, z którego można pić. Dostała obtłuczony kubek. Potem poszła do studni i napełniła go rześką wodą. Starzec chwycił kubek trzęsącymi się rękami i zachłannie wypił orzeźwiający płyn.

— Ach, niech to, ale smaczna! — powiedział i opadł z powrotem na posłanie.

Lisa nie mogła zostawić biedaka na pastwę losu, to było zgoła niemożliwe. Dlatego udała się z powrotem do kuchni zapytać, czy nie mają tam dla niej jakiejś pracy. Okazało się, że mają. Pracy zawsze było tyle, że nie wystarczało do niej rąk. I tak zaprzęgnięto Lisę do skrobania ziemniaków, zmywania talerzy i półmisków, biegania na posyłki i tysiąca innych rzeczy. Za fatygę dostawała coś do zjedzenia oraz siano do spania w spichlerzu. Teraz mogła codziennie poświęcić chwilę na pomaganie starcowi — dzielić się z nim najlepszymi kaskami swojego posiłku, obmywać go i poprawiać mu posłanie.

Czasami podziękował jej za to i był zadowolony. Kiedy indziej zaś stawał się zrzędlawy, złościł się i fukał na nią. I narzekał, że poświęca czas na inne rzeczy zamiast się nim zajmować.

— Dajesz mi jakieś ochłapy do jedzenia i zostawiasz mnie tu samego na długie godziny cierpienia w ciemnościach.

Lisa rozumiała jednak, że to choroba i starość czyniły go tak przykrym. Wiedziała też, że jeśli go porzuci, to nikt inny nie będzie się nim przejmował. Dlatego została w karczmie i pielęgnowała go najlepiej, jak potrafiła.

— Poza tym ma na imię Kalle! — mówiła do siebie i wzdychała, a jej oczy zachodziły łzami.

Wreszcie jednak nastął poranek, gdy starzec przestał narzekać i pomstować. Umarł i leżał teraz zupełnie bez ruchu.

Wtedy Lisa powiedziała, by zapłatę za jej pracę przeznaczyć na kupno trumny dla starca i pochować go, jak należy, w ziemi. Sama zaś zawiązała mocno buty, wygładziła włosy i odeszła ze służby.

Znów musiała ruszyć w świat, by szukać swojego Kallego, swojego synka.

Szła i szła, aż rozbolały ją stopy, i cały czas przyglądała się badawczo wszystkim napotkanym na drodze. Gdy dostrzegła daleko przed sobą jakieś dziecko, biegła co sił, by je dogonić i spojrzeć mu w twarz. Zawsze jednak doznawała zawodu! Spotkała po drodze wiele słodkich i pięknych dzieci. Cóż z tego, skoro jej własny mały Kalle przepadł bez wieści. I tak któregoś dnia doszła do jakiejś szkoły. Okna były otwarte. Usłyszała w środku niewyraźne słowa dzieci w szkolnej izbie i donośny głos nauczyciela, który je przepytował z czytanki.

— No, Kalle — usłyszała nagle. — Czytaj dalej, czytaj głośno i wyraźnie!

A wtedy jakiś cienki głosik zaczął czytać. Zdało się Lisie, że go rozpoznaje, był taki jasny i drżący. Serce jej łomotało i aż bała się oddychać, chcąc lepiej słyszeć. Za każdym razem, gdy dziecko się potknęło, nauczyciel ryczał:

— Patrz uważnie i czytaj porządnie to, co jest napisane! Oczu nie masz, Kalle?

To sprawiło Lisie wielki ból. Dlaczego ktoś odzywa się w taki sposób do jej drogiego synka?! W tym samym momencie nauczyciel jakby zupełnie stracił cierpliwość. Lisa usłyszała, jak zrywa się ze swojego krzesła. Nie widziała, co robi, ale domyśliła się, że

Karczma, Praca

Choroba, Starość

Podróż, Wdowa,
Rozczarowanie

Szkoła, Nauczyciel

porządnie skarcił Kallego, bo malec zaczął głośno zawodzić, po czym jakiś inny chłopiec kontynuował czytanie.

Niewiele brakowało, by Lisa wbiegła do szkoły zabrać stamtąd swojego chłopca, jednak się na to nie odważyła. Stała pod jabłonią, by tam poczekać, aż dzieci skończą lekcje i wyjdą z budynku.

Niedługo potem usłyszała szuranie ławkami i kroki wielu stóp po podłodze, a następnie gwar dziecięcych głosów.

Najpierw pojawiło się jedno dziecko, a po nim wszystkie inne wyleciały ze szkoły jak stado wróbli. I wtedy Lisa zobaczyła, tak, zobaczyła swojego małego Kallego! Stał odwrócony do niej plecami, mimo to rozpoznała jego gęste, kręcone włosy, jego niską i korpulentną sylwetkę, a nawet jego czapkę! Tak, to musiał być jej własny, kochany synek! Ruszyła przed siebie, by chwycić go w ramiona, a wtedy on nagle odwrócił głowę. I to wcale nie był jej Kalle, tylko jakiś obcy chłopiec, o jasnych i pięknych oczach i okrągłej, czerstwej twarzy.

Speszył się nieco na widok obcej, próbującej go objąć, kobiety i spojrzął na nią zdziwiony.

— Wybacz mi, dziecko! — powiedziała Lisa, trzęsąc się z emocji. — Ale myślałam... Myślałam, że... To kto inny. Choć... Czy to nie ty jesteś, Kalle? — zapytała, spoglądając na niego pytająco.

— Tak. To ja — odpowiedział malec pewnie.

— Czy to tobie tak trudno szło czytanie? — pytała dalej Lisa.

Chłopak nie odpowiedział. Ze wzrokiem wbitym w ziemię, zaczął rozgarniać piach nogą.

— Jak to możliwe, że się nie przygotowałeś i nie odrobiłeś lekcji? — zapytała Lisa, pochylając się nad chłopcem.

— Czytanie jest trudne — odpowiedział, wbijając wzrok jeszcze głębiej w ziemię. — Nie potrafię się tego nauczyć.

— A gdybym ci pomogła? — zapytała serdecznie Lisa. — Bardzo lubię małych chłopców, a gdy jest im trudno, bardzo bym chciała im pomóc.

Chwyciła chłopca za rękę i podążyła z nim przez pole i las do małej chaty, gdzie mieszkał ze swoim ojcem, leśniczym.

Leśniczy tej samej zimy stracił był żonę i córeczkę i został mu już tylko syn, nie miał jednak dla niego zbyt wiele czasu, a panny, która pomagała zajmować się domem, chłopak nic nie obchodził. Myślała wyłącznie o tym, by jak najszybciej skończyć robotę i pobiec na tańce.

Gdy leśniczy wrócił do domu tego wieczora, zobaczył syna siedzącego na progu, a obok niego Lisę. Właśnie literowali tekst z jakiejś książki i wydawało się, że chłopcu sprawia to sporą radość, bo czasem śmiał się głośno i nawet na widok nadchodzącego ojca nie przestał czytać.

Za to Lisa wstała i dygnęła. Opowiedziała leśniczemu, jak to się stało, że przyszła tu z chłopcem, i zapytała, czy nie mogłaby u nich zostać. Gotowa była podjąć każdą pracę, a do tego mogłaby pomagać Kallemu w lekcjach.

— Mój własny synek, Kalle, gdzieś przepadł! Straciłam go! — powiedziała i spojrzała na leśniczego swoimi smutnymi oczami. — Ale jeśli mogłabym być pomocą i pociechą dla jakiegoś innego Kallego, to zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Leśniczy spojrzął na Lisę badawczo.

Nie wiedział przecież, skąd pochodziła ani jak trafiła do jego domu. Ale z jej twarzy biła taka szczerść, a zarazem powaga, że pomyślał, iż może warto spróbować. Panna, której tak się spieszyło do tańców, musiała spakować manatki i odejść, a Lisa zamieszkała w jej małej izdebce na poddaszu.

Od tego dnia została opiekunką i nauczycielką syna leśniczego.

Dla chłopca zaczął się dobry i szczęśliwy czas. Jego własna matka nie miała dla niego tyle miłości i cierpliwości. Ponadto Lisa była wielką pomocą również dla leśniczego, więc wszystko szło jak z płatka.

Dawniej trudno było Kallego zaciągnąć do szkoły, teraz biegł do niej radośnie przez las, podśpiewując na wyścigi z ptakami.

Dziecko, Las, Nauka, Dom,
Sierota

Praca, Nauczycielka

Mijały lata i Kalle wyrósł na rosłego i pięknego młodzieńca, chętnego i zdolnego do wszelkiej pracy, jaką mu powierzono. Gdy skończył osiemnaście lat, zaczął pomagać ojcu w lesie, a po dwudziestych pierwszych urodzinach ożenił się i dostał posadę leśniczego w innym miejscu oddalonym o kilka mil od jego dawnego domu.

W leśniczówce zrobiło się bardzo pusto, gdy Kalle opuścił jej progi, a Lisa nie mogła sobie znaleźć miejsca. Wciąż tęskniła za małymi dziećmi, dziećmi w wieku jej własnego Kallego, wtedy, gdy się zgubił.

Zaczęła więc gromadzić wokół siebie maluszki, które miały nauczyć się czytać, a którym nie szło to za dobrze.

Siadała na progu leśniczówki, a dzieci schodziły się do niej ze wszystkich stron, jak pisklaki w porze karmienia. Lisa uśmiechała się do nich i zbierała je pod swoimi skrzydłami. Nigdy nie traciła cierpliwości, za to zawsze była radosna i pogodna, więc dzieci uczyły się jakby w zabawie tego, co w innym razie przychodziłoby im z wielkim trudem. Wszystkie kochały Lisę i wieszały się jej u spódnicy.

Nastał jednak dzień, gdy syn leśniczego zapragnął wciąć ojca do siebie. Jego dom był większy, a on sam miał dobre dochody i bardzo chciał odwdziżyć się rodzicowi za wszystko, co ten dla niego zrobił, gdy Kalle był mały.

„Matkę Lisę oczywiście też do siebie przyjmujemy”, napisał. „Czeka tu na nią całe mnóstwo małych dzieci, którymi będzie się mogła zająć”.

Ale Lisa nie miała ochoty na przeprowadzkę. Ostatnimi czasy bardzo dużo myślała o swoim własnym Kallem. Kto wie, może jednak gdzieś żył? A jeśli tak, to pewnie cierpiał biedę i był samotny, i potrzebował matczynej pomocy. Nie, nie dawało jej to spokoju. Poza tym nie była znowu aż tak bardzo stara i miała siły i zdrowie. Znow chciała wyruszyć na poszukiwanie swojego chłopca.

Tego samego dnia, gdy leśniczy wyprowadził się do swojego syna, Lisa pożegnała się z nim i ruszyła samotnie przez las w szeroki świat. Od zaginięcia Kallego minęło już dwadzieścia pięć lat, ale ona jakby zapomniała, że jeśli jej syn żyje, to musi być teraz dorosłym mężczyzną. Wzrokiem zawsze błędziła za dziećmi, a każdego, kogo spotkała, pytała nieśmiało:

— Czy widziałeś Kallego? Czy widziałaś Kallego?

Szła i szła, i w końcu zdało się jej, że przez wszystkie te minione lata nic innego nie robiła, tylko chodziła i szukała swojego Kallego, swojego synka. I tak pod wieczór pewnego ciepłego dnia doszła na jakąś łąkę. Było jeszcze przed letnim przesileniem, a ziemię porastała wysoka trawa i piękne kwiaty. Po drugiej stronie drogi zaczynał się las, na którego skraju stał murowany dom otoczony ogrodem. Na łące zaś tańczyło pięćoro małych dzieci: cztery dziewczynki i chłopiec. Tańczyły w kółku i śpiewały:

„Żnijmy, żnijmy owies.
Ale kto go zwiąże?
Zwiąże go mój ukochany,
Tylko gdzie go znajdę?
Widziałam go wczoraj,
W księżycowym blasku.
Weź swojego, ja mojego,
A ostatni sam zostanie”³⁹.

Na te słowa dziewczynki padały sobie w ramiona, po dwie, a chłopiec zostawał bez pary. Po czym znow otaczały go kołem i zaczynały śpiewać:

„I dobrze tak, i dobrze mu
I dobrze i w sam raz.
Że Kalle odpadł w tańcu
I nikt nie wybrał go,

³⁹Żnijmy, żnijmy owies. Ale kto go zwiąże? Zwiąże go mój ukochany, Tylko gdzie go znajdę? Widziałam go wczoraj, W księżycowym blasku. Weź swojego, ja mojego, A ostatni sam zostanie — (szwedz.) Skära, skära havre, tradycyjna szwedzka piosenka do zabaw dziecięcych. [przypis edytorski]

Dzieciństwo, Nauczycielka

Podróż, Przemijanie,
Nadzieja

Dziecko, Zabawa,
Dzieciństwo, Okrucieństwo

Nie wybrał go, nie wybrał go”⁴⁰.

Zaskoczony Kalle stał bez słowa ze spuszczoneym wzrokiem, w końcu jednak znów dołączał do śpiewów, becząc na całe gardło:

— Nikt nie wybrał Kallego! Nikt nie wybrał Kallego! — wył, zakrywając dłońmi oczy.

Lisa podeszła i uklękła przy nim na trawie.

— Kalle, biedaku! — powiedziała czule. — Nikt cię nie chciał? Za to ja cię chętnie wezmę. Odsłoń oczy i pozwól mi się zobaczyć!

Chłopiec opuścił ręce, a Lisa omal nie krzyknęła. Przecież to jej własny mały Kalle! Jego włosy, jego oczy, jego słodkie usteczka! Tylko jak to możliwe?

Chwyciła się za głowę. Jej Kalle musiał być teraz dorosłym mężczyzną, a tu, przed sobą, miała małego chłopca, ledwo cztero-, no może pięcioletniego. Tymczasem on podniósł wzrok i spojrzał na nią serdecznie.

— A teraz wracamy do domu. Na kolację. Chcesz iść z nami? — zapytał.

Wsunął swoją małą rączką w jej dłoń i zaczęli iść kwitnącą łąką w stronę białego budynku, otoczonego liściastymi drzewami; przed nimi, w parach, biegły dziewczynki.

Pod lipami nakryto już do stołu. Stali tam młody mężczyzna z młodą kobietą i spoglądali w stronę łąki.

Dziewczynki popędziły w ich stronę, a Lisa domyśliła się po ich minach i zachowaniu, że opowiadają rodzicom o niej, idącej z małym Kallem za rękę.

— Popatrz — powiedziała starsza z dziewczynek do Lisy, gdy ta już dotarła na miejsce — to moja mama i mój tata. On też ma na imię Kalle!

Lisa popatrzyła na młodego mężczyznę, a on na nią. Stali tak dobrą chwilę, po czym Lisa rozpostarła ramiona.

— Czy to mój Kalle? Czy to ty? — zapytała drżącym głosem. — Mój mały synek, którego szukam już od dwudziestu pięciu lat? Poznajesz mnie? Poznajesz swoją matkę?

Mężczyzna pokręcił głową i uśmiechnął się.

— Nie poznaję — odpowiedział. — Ale wiem, że zgubiłem się mojej matce, gdy byłem małym chłopcem. Wciąż mam przed oczami targ, na którym kupowała ziemniaki, wszystkie te furmanki i chłopów, i ten tłum ludzi, gdy się zgubiłem.

Potem opowiedział jej, jak biegał dokoła, jak płakał i szukał matki, aż wreszcie jakiś chłop, który przejeżdżał obok, zabrał go na swój wóz.

Na próżno jeździli po mieście przez kilka godzin, aż w końcu chłop powiedział:

— Nie mogę dłużej jeździć i szukać twojej matki. Zabiorę cię z sobą do domu i pobawisz się z moimi dziećmi.

I tak Kalle trafił do jego gospodarstwa. Leżało daleko od miasta i było bardzo rozległe, gdyż chłop był bogaty. W jego to domu dorastał Kalle. I otaczano go tam tą samą troską i miłością co pozostałe dzieci. Jego opiekunowie bardzo go pokochali, a gdy był już dorosłym mężczyzną, oddali mu za żonę swoją córkę Anne Marie i kupili mu dom i gospodarstwo — to, w którym teraz mieszkał.

— Czyż nie jest słodka, moja Anne Marie? — zapytał i pogłaskał żonę po policzku. — A moje dzieci, czy nie udały mi się wszystkie? Spójrz tylko na Kallego!

— Och, ależ nasz dobry Pan się o ciebie zatroszczył! — powiedziała Lisa, ocierając łzy, nieustannie spływające jej po policzkach. — O wiele lepiej niż ja sama w mej biedzie bym to zrobiła.

Potem usiadła na ławce obok swojego syna, przytuliła głowę do jego szerokiej piersi i opowiedziała mu o wszystkim, co ją spotkało przez te długie lata rozłąki. A gdy skończyła, on pogłaskał ją delikatnie po włosach i ucałował jej czoło.

— Ach, droga matko — powiedział. — Ależ się wycierpiałś z mojego powodu!

Matka Lisa zamknęła oczy i tak siedziała, nic nie mówiąc, z głową na ramieniu syna. Lecz wtedy usłyszała nawoływania dzieci:

— Chodźcie już na kolację! Strasznie jesteśmy głodni!

⁴⁰*I dobrze tak, i dobrze mu i dobrze i w sam raz. Że Kalle odpadł w tańcu i nikt nie wybrał go, Nie wybrał go, nie wybrał go* — (szwedz.) *Skära, skära havre*, tradycyjna szwedzka piosenka do zabaw dziecięcych. [przypis edytorski]

Dzieci usiadły rzędem przy stole pod lipami, a Anne Marie przyniosła z kuchni misę najwyborniejszego zsiadłego mleka. Postawiła ją na środku i wręczyła każdemu łyżkę.

— Zapraszamy do stołu, matko Liso — powiedziała i spojrzała na nią swoimi dobrymi oczami. — Usiądziesz tu sobie między swoim dużym i małym Kallem i zjesz wieczorny posiłek. Długo samotnie znosiłaś swoją stratę, ale teraz podzieliś z nami swoje szczęście!

I tak Lisa usiadła na ławce pod lipami z dużym Kallem po jednej i małym po drugiej stronie. I w ciszy zaczęły jeść.

Rodzina, Dom, Szczęście

GDY ZAZIELENIŁ SIĘ LAS

Lisa leżała chora na podagrę⁴¹. Niewielka izba na poddaszu, gdzie mieszkała, wychodziła na podwórze, widać z niej było cały świat dachówek i wysokich kominów. I nic więcej.

W pokoju było dość skromnie, bo Lisa była ubogą starą panną. Stół i kilka krzeseł, komoda, na której stało sporo fotografii, i umywalka stanowiły całe umeblowanie — do tego wąskie drewniane łóżko, w którym spała. Wszystko to jednak starannie utrzymane i czyste, bo Lisa była bardzo porządną starą panną, a prześcieradła i poszewki w jej łóżku aż lśniły bielą — jedyny zbytek, na który sobie pozwalała.

Lisa rozchorowała się na Boże Narodzenie, a teraz nastał już maj. Okno było otwarte, by wpuścić do środka choć trochę świeżego powietrza, bo na dworze zrobiło się bardzo ładnie. Pierwszy cieplejszy dzień po mroźnej zimie. Żona sąsiada zajrzała do niej z rana, by otworzyć okno. Przy okazji opuściła też zieloną roletę, żeby, gdy już sobie pójdzie, słońce nie świeciło chorej prosto w twarz. Sama wybierała się z synkiem do lasu. Chcieli sprawdzić, jak daleko zaszła już wiosna.

Żona sąsiada była taka miła. U niej samej się nie przelewało, bo była wdową po robotniku, ale często zaglądała ze swoim małym synkiem do tej samotnej starej kobiety i w miarę możliwości wyświadczała jej różne drobne przysługi, jak to mają w zwyczaju pomagać sobie biedni ludzie. Poza tym panna Lisa nie miała na całym świecie ani jednego krewnego czy przyjaciela. Urodziła się w gospodarstwie nad fiordem Isefjorden⁴² i dorastała w szczęśliwym domu między lasami i polami. Ale gdy umarli jej rodzice, musiała ruszyć w świat i zarabiać na siebie. Najpierw trafiła do majątku ziemskiego, a potem do Kopenhagi. Tam posługiwała w kilku domach, aż w końcu trafiła do rodziny nauczyciela, gdzie została tak długo, jak tylko mogła pracować. Ludzie ci mieli niewielkie dochody, za to liczną rodzinę, więc od rana do nocy było tam co robić. Ale gospodarze byli mili i traktowali Lisę niemal jak członka rodziny. Zawsze brała na siebie najcięższą pracę i robiła to z wielką chęcią — tak szczerze kochała swoich pracodawców. Gotowała, sprzątała, prała i szyla przez długie lata, rok za rokiem wciąż to samo.

Starość, Choroba, Sąsiad, Dom

Sąsiad, Bieda, Współczucie, Praca, Sługa

Czas leciał, a ona opadała z sił. Kilkoro dzieci zmarło, a reszta ruszyła w świat i miała teraz własne zmartwienia; w końcu zmarli też nauczyciel i jego żona. Podziękowano Lisie za jej długą i wierną służbę — i to wszystko, co mogli jej dać; pieniędzy sami nigdy nie mieli, więc i jej nie mogli zapłacić.

Ale że miała trochę oszczędności, wynajęła sobie pokój na poddaszu i tam zaczęła przyjmować rzeczy do prania i prasowania, radząc sobie, jak tylko potrafiła. Jednak tej zimy było ciężko, bo już przed Bożym Narodzeniem Lisę zmogła podagra, więc teraz leżała w łóżku i spoglądała na zieloną roletę, przez którą słońce sączyło się na kwitnący w doniczce kwiat laka.

„Ciekawe, jak duże pąki mają teraz drzewa”, rozmyślała stara Lisa. „Ciekawe, czy las już wkrótce się zazieleni”.

Dom, w którym mieszkała, leżał w samym sercu Kopenhagi. W pobliżu nie było nawet jednego zielonego krzaka, który pozwalałby śledzić zmiany pór roku.

— Na pewno jest cudowna pogoda — westchnęła Lisa. — Roletami porusza taki delikatny i przyjemny wietrzyk.

Leżała, wpatrzona w okno, w którym pośrodku zielonej rolety słońce odbijało się wielką i świecąca płamą. Na zewnątrz było cicho, słyszała tylko kanarka sąsiadki, w klatce

⁴¹podagra a. dna moczanowa — przewlekła choroba zapalna stawów, wynikająca z zaburzeń przemiany materii. [przypis edytorski]

⁴²Isefjorden — fiord nad Morzem Bałtyckim, położony u wybrzeży Danii w cieśninie Kattegat. [przypis edytorski]

wystawionej za okno. Śpiewał jak oszalały, robił długie przerwy, a potem znów zaczynał i to na całe gardło.

Nagle stara Lisa zobaczyła, jak zielona roleta zaczyna się poruszać. Choć przecież to wcale nie była roleta. Skąd! To był długi, sklepiiony łukiem tunel z pnących roślin. Nie widziała wyraźnie, czy to chmiel czy dzikie wino, ale listki były młode i gładkie, a na końcu stało coś lśniącego. Poruszało się i przybliżało się do niej, po czym wyłoniło się spod sklepienia i sunąc po podłodze, dotarło aż do jej łóżka.

Lisa podniosła wzrok. Zobaczyła, że ta świetlista postać pochyła się nad nią, ubrana w długą jasnozieloną szatę, przewiazaną szarfą z kwiatów mniszka. Na głowie miała grubą wieniec z fiołków, a z ramion strzelała w górę para długich mieniących się skrzydeł. Postać przybliżyła swą twarz do staruszki, lekko się przy tym uśmiechając.

— Przychodzę po ciebie — powiedziała cicho, cichuteńko, ale Lisa i tak usłyszała to bardzo wyraźnie. — Nie miałabyś ochoty wybrać się ze mną w krótką podniebną podróż?

— Bardzo dziękuję — odpowiedziała stara Lisa; spróbowała też dygnać w łóżku, choć nie bardzo jej to wyszło. — Bardzo dziękuję — dodała raz jeszcze. — Ale w koszuli nocnej to chyba nie wypada?

— Oczywiście, że wypada — odrzekł anioł. — Zaraz się przekonasz!

Powiedziawszy to, odgarnął koldrę, owinął koszulę nocną ciasno wokół nóg Lisy, po czym uniósł ją w górę tak, jak się podnosi tobołek, i zarzucił ją sobie na ramiona.

— Musiałam się zrobić bardzo lekka... Albo to pan jest taki silny — powiedziała Lisa.

Leżała teraz równie pewnie jak w swoim łóżku, zupełnie spokojnie, na plecach i z całym wyprostowanymi nogami.

Anioł poniosł ją do okna, bo liściasty tunel na powrót zniknął. Nawet nie podciągnął rolety, tylko przeleciał prosto przez nią i zawisł w powietrzu po drugiej stronie z szeroko rozpostartymi skrzydłami.

— Nie sądzi pan, że to może być niebezpieczne? — zapytała Lisa z zapartym tchem.

— Nie, ani trochę — odpowiedział anioł. — Za to jest bardzo przyjemne. I proszę do mnie nie mówić „pan”, bo, trzeba ci wiedzieć, że jestem aniołem Wiosny, a wszyscy ludzie są z Wiosną na „ty”.

— Ach tak — uśmiechnęła się Lisa — więc jesteś Wiosną! Tak, doprawdy tak mi się zdawało.

— No to lecimy — oznajmił anioł i w jednej chwili wzbili się w powietrze i pofrunęli ponad dach domu; Lisa poczuła, jak plecami ociera o kalenicę⁴³.

Naprzeciw z jednego z wysokich kominów ulatywał dym, biały i gęsty wzbijał się prosto w błękitne niebo. Lisa zdawała się czuć tak samo, gdy anioł leciał z nią w przestworza, wolno i z lekkością. Jakby w niej samej było coś, co ją unosiło. Teraz znajdowali się już bardzo, ale to bardzo wysoko.

Słońce świeciło najjaśniej, jak tylko można, a niebo było niczym bezkresna niebieska kopuła światła. Lecieli coraz wyżej i wyżej owiewani łagodnym wiatrem. Lisa czuła na policzkach jego delikatny, orzeźwiający powiew. Daleko w dole leżało miasto z domami, kościołami, ulicami i rynkami, a wszystko było takie małe jakby wyjęte ze skrzynki z zabawkami. Wokół miasta ciągnęły się sady, pola i łąki podzielone jak kwadraciki na szachownicy.

— Spójrz, już się zazieleniło! — wykrzyknęła Lisa. — Tak, jak przypuszczałam!

Pędzili teraz z oszalamiającą prędkością. Lisa pomyślała o łodzi, która tnę wodę, płynąc na pełnych żaglach. Powietrze aż świszczało, owiewając nogi staruszki.

— Że też jest już aż tyle much! — powiedziała, spoglądając na ciągnący ku nim cały rój małych czarnych kropek.

— To nie muchy, tylko jaskółki — wyjaśnił anioł. — Gdzieście się podziewały? — zawołał do nich. — Długo kazałyście na siebie czekać!

— Wi-wi-wi! — poświstywały jaskółki, zapewne wiedząc, że są spóźnione. — Pędzimy, co si!

I tak przemknęły obok z płaskimi główkami schowanymi pod długie, spiczaste skrzydła.

Anioł, Śmierć, Podróż,
Niebo, Lot

Anioł, Lot

⁴³kalenica — najwyżej położona, pozioma krawędź dachu. [przypis edytorski]

— Popatrz w górę! — powiedział anioł. — Spójrz, Liso! Lecą łabędzie!

Mocno wyciągając szyje i zamaszycie bijąc skrzydłami, łabędzie sunęły po niebie. Gdy przelatywały obok, skłoniły głowy, pozdrawiając anioła Wiosny przeszywającym, tnącym powietrze krzykiem. Anioł uniósł jedną rękę i im zamachał.

— Wszystko jest gotowe — zawołał. — Na jeziorach popękał już lód i wszystkie na was czekają!

Ledwo odleciały łabędzie, a pojawiły się bociany. Już z daleka dojrzały lecącego ku nim anioła Wiosny, a ich przodownik zawołał do stada:

— Uwaga! Honory dla szefa!

Przelatując obok, zaklekotały dziobami i zabrzmiało to zupełnie tak, jak kiedy żołnierze prezentują broń.

— A tam lecą dzikie gęsi! — zawołał anioł. — A tam, popatrz tylko, te gęste stada, to ptaki śpiewające. Dziś mamy dzień wielkich przeprowadzek.

Lisa zobaczyła, jak całe powietrze aż wibruje od ptasich rojów. Niektóre ptaki nadlatywały zbitymi gromadami, inne leciały kluczem, a jeszcze inne przypominały długie sznur koralu. Wysoko w przestworzach aż szumiało od uderzeń ptasich skrzydeł, których w dole na ziemi nikt nie słyszał.

Słońce cały czas świeciło na błękitnym niebie i posyłało swoje promienie.

— Zaczyna mi się robić naprawdę gorąco — powiedziała Lisa.

— No to muszę cię trochę schłodzić — powiedział anioł i w jednej chwili zaczął pikować z taką prędkością, że aż musiała zamknąć oczy.

Otworzyła je, gdy usłyszała osobliwy, chlupoczący odgłos. Unosili się nad samym morzem. Pod nimi kołysały się i tańczyły fale, granatowe, żwawe i długie, a pluszcząc, deptały sobie po piętach albo podskakiwały wysoko w górę, jednocześnie strzelając w słońce skrzącą się pianą. Tuż pod nimi fale miały czarno-niebieski kolor, nieco dalej fioletowo-błękitną wodę niespodziewanie rozświetlały długie, jasnozielone smugi, które robiły się coraz to jaśniejsze, aż w końcu zlewały się w jedno z niebem daleko na horyzoncie.

Morze

— Wreszcie jest wiosna! — śpiewały fale dokoła. — Gdzie byśmy nie dopłynęły, tam jest wiosna. Naszej radości nie zmąci już żadna kra. Możemy bawić się i tańczyć, i wywijać koziołki, i robić fikołki, i wprost szaleć z radości. I nikt nam w tym nie przeszkodzi ani trochę.

I trysnęły w górę całym strumieniem słonych kropel.

Białe mewy nadciągnęły, szybując na mocno naprężonych skrzydłach, i zanurzyły piersi w morskiej pianie, a wtedy przypląnęły statki. Małe statki z dużymi żaglami i duże z wieloma małymi żaglami, i łodzie, kołyszące się w ich kilwaterach⁴⁴, i nawet parowce, sapiąc i ciągnąc za sobą długi i czarny ogon dymu.

— Mam nadzieję, że mnie nie widzą przez bulaje⁴⁵? — zapytała stara Lisa, chowając stopy pod koszulę nocną.

— Dla nich jesteśmy tylko pianą na falach — odpowiedział anioł.

Ale Lisa pomyślała w duchu, że nigdy nic nie wiadomo. Co sobie o niej pomyśla, gdy zobaczą ją starą, podskakującą jak fregata⁴⁶ na falach? Po czym powiedziała głośno:

— Tak czy siak uważam, że zaczyna się robić nieco zimno.

— W takim razie wracajmy nad ląd — odrzekł anioł i ruszyli do brzegu.

Po chwili lotu położył rękę na oczach Lisy i zapytał:

— Możesz mi powiedzieć, gdzie teraz jesteśmy? Co to za zapach?

— Oczywiście — odpowiedziała Lisa, biorąc głęboki oddech. — To ziemia, świeża gleba! Pewnie ktoś orze pole.

— Zgadłaś — powiedział anioł, cofając rękę.

— Zdaje się, że dotarłam do domu — powiedziała Lisa, otwierając szeroko oczy.

Jednak początkowo nic nie widziała, a to z powodu łez. Bo zobaczyła gospodarstwo, w którym przyszła na świat! Teraz mieszkali tam obcy ludzie, a dom był o wiele okazalszy niż za jej dziecięcych lat. Wówczas miał dach kryty strzechą, a teraz nową ceglana dachówką. Dobudowano też całe dodatkowe skrzydło. W ogrodzie kwitły lipy, a wszystkie

Dom, Dzieciństwo,
Wspomnienia

⁴⁴kilwater — spieniona smuga wody, ciągnąca się za płynącym statkiem. [przypis edytorski]

⁴⁵bulaj — niewielkie okrągłe okno wodoszczelne na statku. [przypis edytorski]

⁴⁶fregata — rodzaj okrętu wojennego. [przypis edytorski]

miały małe, połyskujące listki w kształcie serca, zwisające w wiechciach otoczonych łuskami, jakby przewiązane czerwoną tasiemką; pod nimi zaś pachniały narcyzy na długich rzędach rabat.

Kawałek dalej po polu szedł mężczyzna i orał. Obcy człowiek i para obcych koni, choć ziemia wciąż była ta sama. Fioletowo-brązowa, gęsta i oczyszczona już z kamieni obracała się pod pługiem równie uległe jak za czasów jej ojca, gotowa na przyjęcie ziarna.

— Ach, jaki ciepły i piękny zapach! — Lisa wzięła głęboki oddech. — To nasza własna błogosławiona ziemia! Polećmy nad nią najniżej, jak się da.

Więc teraz anioł sunął z Lisą nisko nad świeżo zaoranym polem, tak blisko skib, że skowronek, który miał gniazdo obok przydrożnego rowu, spłoszył się i wzbił w powietrze z głośnym trelem, po czym zawisł w górze niczym rozedrgany dźwięk.

— Ach, mój ty stary, dobry ogrodzie! — powiedziała Lisa niespiesznie. — Czeremcha już zakwitła. Zawsze pierwsza! Krzaków bzu też nie wycięli, za to przez rabaty biegnie nowa ścieżka. A tam na trawie bieli się płótno. Ciekawe, czy to prześcieradło czy może jakaś inna tkanina.

Anioł powoli zniżył lot nad trawę, na której leżało płótno.

— Tak, to na prześcieradło — stwierdziła Lisa, dotykając materiału — choć daleko mu do tych, jakie tkala moja matka. Oj, owinęło mi nogę! — wystraszyła się. — Uciekajmy stąd jak najprędzej, żeby nikt nas nie zobaczył!

I odlecieli.

— A co teraz słyszysz? — zapytał anioł i znów położył jej dłoń na oczach.

— O tak! Poznaje! — powiedziała Lisa, nasłuchując. — Fale na fiordzie Isefjorden, moje fale! Biją w niepowtarzalny sposób, tak jak żadne inne fale na świecie.

Otworzyła oczy i zobaczyła w dole pod sobą cały fiord, oślepiająco błękitno-biały pośród soczysto zielonych bukowych lasów, ponad którymi wznosiły się wieże katedry w Roskilde⁴⁷ — jak dwie smukłe topole.

— Najpiękniejszy widok na świecie — powiedziała, ściskając anioła za rękę. — Bo to tutaj, w tych stronach, się urodziłam!

Lisa leżała zanurzona w błogiej rozkoszy o, a anioł szybował z nią nad fiordem, po czym wleciał do bukowego lasu, który dopiero co zakwitł i był teraz bardzo młody i doskonale piękny. Niczym potężny kościół sklepał się nad ich głowami. Zieleń miała przezroczystość najczystszej morskiej wody i mogło się wydawać, że jest się na dnie morza i patrzy w górę. Powietrze ani drgnęło, a gałęzie zwisały nad nimi jak wielkie wachlarze i łuki. Każdy liść był duży i miękki, pokryty delikatnym meszkiem, niczym policzek dziecka. Słumione słońce przeświecało przez to zielone sklepienie, a nad ziemią unosił się zapach przypominający kadzidło. Cały las musiał być pełen ptaków; Lisa nie widziała ich, a jedynie słyszała. Łowiła uchem szczebioty i trele, jakby śpiewał cały ten nieruchomy las.

Leżała spokojnie w ramionach anioła.

— Nic nie mówisz? — zapytał anioł Wiosny.

— Dobry Boże, co tu mówić? — odpowiedziała. — Zupełnie już zapomniałam, jakie to wszystko jest cudowne! Przez ostatnie cztery lata nie widziałam kwitnącego lasu. Wydawało mi się, że jeszcze nie zapomniałam, ale najwyraźniej nic z tego nie pamiętałam. Jak to się stało? Jak zdołałeś to wszystko uszykować?

— Cóż, sporo miałem pracy — odpowiedział anioł Wiosny — zwłaszcza z przygotowaniami, z wszystkim tym, czego nie znają ludzie. Przez ostatnie trzy doby bez przerwy byłem w lesie. Przez pierwsze dwie towarzyszył mi deszcz, ale wczoraj zabrałem ze sobą słońce i wtedy wycalałem wszystkie gałązki i pędy, prosząc, by się spieszyły przez noc i na dziś były już całkiem gotowe. Gdy rano wzeszło słońce, zobaczyło to, co ty. I było niemal tak samo zaskoczone. Ale nic nie powiedziało, a jedynie zajaśniało z radości. Sam też jestem zadowolony — mówił dalej anioł, rozglądając się dokoła. — Mam wrażenie, że las nigdy jeszcze nie był tak piękny jak tego roku.

— Ale co to takiego, to białe tam w dole? — zapytała Lisa. — Czyżby w zagłębieniach ziemi wciąż leżał śnieg?

Las, Natura, Piękno

⁴⁷Roskilde — duńskie miasto położone na Zelandii, 30 km na zachód od Kopenhagi. [przypis edytorski]

— To nie śnieg — odpowiedział anioł — to zawilce, tylko że jest ich tak oszalamiająco dużo.

— Cudownie byłoby się tam położyć i odpocząć — stwierdziła Lisa.

— Ależ tak, spróbuj! — odpowiedział anioł i zniżył lot ku ziemi.

Lisa widziała, jak ta biel coraz bardziej się do niej przybliża. Całe białe łoże zawilców. Anioł ostrożnie położył staruszkę, a ona poczuła, jak głowa opada jej miękko na białe poduszki.

— Chyba się trochę prześpię — powiedziała. — Myślę, że naprawdę dobrze będzie mi się tu spało.

— Tak, prześpij się! — rzekł anioł i okrył ją białym kwieciami jak koldrą.

Lisa poczuła dziwne i pokrzepiające uczucie w całym ciele. Jakby wszystko to, co zeszytywniało i stwardniało w jej przeżartych podagrą członkach, rozpuściło się, stając się ciepłe i miękkie.

— Ach, jak mi tu dobrze — powiedziała półgłosem — Nic mnie nie boli, nawet najmniejsza kostka. Czyżby nasz Pan był tak dla mnie łaskawy, że znów będę mogła zacząć pracować i prasować!?

Westchnęła ze szczęścia i zapadła w głęboki sen. Nie spała tak od wielu miesięcy — nic jej nie dręczyło i nic jej nie przeszkadzało, spała spokojnie przez wiele wiele godzin i nic się jej nie śniło. I wydawało się jej, że przespiała tak cały długi rok.

W końcu jednak poczuła we śnie, że coś muska jej czoło. To bukowa gałązka. Teraz zasłaniała jej całą twarz. Lisa chwyciła łodyżkę i otworzyła oczy.

Z początku nie bardzo pamiętała, gdzie jest. Ale to się działo naprawdę, była w lesie!

Wielkie i jasne bukowe liście pieściły jej oczy i policzki, jednak poprzez masę listowia dojrzała twarz. Czy to anioł? Nie, to synek sąsiadki, bo to on stał i trzymał gałązkę.

— Widzisz, Liso? Widzisz? — usłyszała jego cienki i radosny głosik. — Wreszcie przyszła wiosna. Cały las się zazielenił!

Sen, Śmierć

BAŚNIE I LEGENDY

SVANHAMNEN

To było pewnego wieczoru tuż przed letnim przesileniem, wiele, wiele lat temu, ale niebo i ziemia były wtedy równie piękne jak teraz.

Słońce już zaszło, ale na firmamencie wciąż utrzymywała się złota poświata, na której daleko w wieczności migotała, ledwo widoczna, gwiazda.

Wody zatoki Tyresö⁴⁸ były gładkie jak lustro, a las nieruchomy i cichy. W strumyku, który wpada do zatoki, pod świerkami płynęła woda czarna jak smoła, ale nieco dalej zachodzące słońce pozostawiło pąsowy blask, świecący niczym złoto.

Słychać było tylko pogwizdywanie kosa. Siedział na szczycie drzewa i wyśpiewywał stamtąd cały swój zachwyty cudownością letniego wieczoru. W powietrzu unosił się intensywny zapach wszystkich ziemskich roślin; zimoziół i gruszyńca łączyły swoje cudowne wonie z aromatem świerku i jałowca. Od czasu do czasu w strumyku podskakiwała wysoko jakaś ryba i w jednej chwili znikła z powrotem w wodzie, po czym na nowo zapadała cisza. Nagle kos ucichł w połowie trelu, a to dlatego, że na wieczornym niebie ujrzął coś niespodziewanego.

Trzy łabędzie nadleciały, łopocząc skrzydłami, i wylądowały dokładnie w tym miejscu, w którym strumyk wpada do zatoki. Kos pośpiesznie schronił się głębiej w lesie, a łabędzie poszybowały w stronę łądu.

Dwa zostały w pobliżu wody, podczas gdy trzeci wleciał nieco dalej między gęste leśne zarośla. Chwilę potem wszystkie trzy rzuciły swoje łabędzie przebrania i ukazały się trzy niezwykle urodziwe, młode księżniczki.

— Tu nie ma żywej duszy — powiedziała najstarsza w jakimś obcym języku.

— Mogłybyśmy się tu wykąpać, zanim polecimy dalej — rzekła druga.

Trzecia, która była najmłodsza i najpiękniejsza, wydała jedynie głośny krzyk radości i rzuciła się do przyjemnie chłodnej wody, a jej siostry od razu podążyły za nią.

Teraz bawiły się radośnie w wodzie. Wszystkie trzy księżniczki umiały pływać jak łabędzie; raz kładły się na plecach, to znów nurkowały i wynurzały się z liliami wodnymi wokół szyi. Krzyczały i śmiały się, bryzgały na siebie wodą i turlały się na falach, podczas gdy niebo coraz bardziej ciemniało, a gwiazda świeciła coraz to wyraźniej. Raz po raz księżniczki wybiegały na brzeg i rzucały się na mech, wśród którego rosły kwiaty, a to jedynie po to, by zaraz znów wrócić biegiem do wody i pływać na wysięgi. Nagle najstarsza z nich powiedziała:

— Cicho! Zdaje się, że słyszę ludzkie głosy! Szybko! Uciekajmy!

W mgnieniu oka dwie starsze siostry znalazły się na brzegu i przywdziały porzucone pióra. Teraz znów były dwoma wielkimi, białymi łabędziami, wyciągającymi w górę swoje długie szyje.

— Pospiesz się! — wołały do najmłodszej, która wciąż była w wodzie. — Lecimy na północ, północny zachód. Ruszaj za nami najszybciej, jak ci się uda!

I pofrunęły za góry. Najmłodsza z sióstr prędko ruszyła do lasu i wskoczyła między zarośla, by przywdziać swą łabędzią szatę, ale za nic w świecie nie mogła jej znaleźć.

Zrozpaczona biegała we wszystkie strony, przeszukując krzaki.

— O ja nieszczęsna! — rozpaczła, załamując ręce. — Mój łabędzi strój, mój strój, gdzie ja go zostawiłam?

A było tak, że kiedy młoda księżniczka pluskała się w zatoce, jej strój znalazła i zabrała ze sobą pewna staruszka, której dom stał tuż przy zaroślach.

Wracając z pola, zauważyła coś białego między krzakami.

— A to co, dobry Boże?! — wykrzyknęła staruszka i ostrożnie podniosła z ziemi łabędzi strój. — Ktoś tu zgubił taką pierzynę! Teraz dopiero będą mogła wygrzać swoje stare kości, kiedy w lesie zacznie padać śnieg.

I co sił w nogach pośpieszyła z łabędzim kostiumem do domu. Biedna księżniczka! Płakała i łkała, trzęsła się cała z przerażenia i zimna, ale nie znalazła swojego stroju. Domu,

Wieczór

Śpiew, Ptak

Ptak, Człowiek, Przebranie,
Przemiana

Strój, Rozpacz

⁴⁸Tyresö — szwedzka gmina w regionie Sztokholm. [przypis edytorski]

w którym mieszkała staruszka, nawet nie zauważyła. Był doskonale ukryty i miał niemal ten sam kolor co ziemia i drzewa.

W końcu księżniczka usiadła na kępie, zakrywając rękami oczy i dając wyraz całej swojej rozpacz. W lesie zaczął zapadać zmrok i z czasem pociemniało na tyle, na ile to możliwe podczas letniej nocy w Szwecji. Ptaki wyśpiewywały płacliwie swoje smutne pieśni, a na ziemię opadała rosa. Wszystko było tak piękne, jak tylko może być letniej nocy, ale księżniczka i tak uważała, że jest przerażające. Czuła się nieskończenie nieszczęśliwa i nie miała pojęcia, co robić, żeby ludzie zdołali ją zrozumieć. Nie umiała przecież mówić w ich języku, a do tego była zupełnie naga! Doprawdy czuła się wielce nieszczęśliwa. Ale gdy zaczęło świtać, podniosła się z ziemi i ruszyła w stronę zamku, którego wieże widziała ponad lasem.

Jej włosy były tak długie, że okryła się nimi jak płaszczem i w ten sposób przemąkała przez łąki i dalej, aż do stodoły, w której zobaczyła kobietę zajęętą dojeniem krów. Gdy tylko tamta ją spostrzegła, puściła wymioną, przewróciła stół, na którym siedziała, i krzyżąc wniebogłosy, pobięła do gospodyni. Myślała bowiem, że zobaczyła leśną zjawę, która o świcie przyszła tu po zielonej trawie. Gospodyni przybiegła w towarzystwie kilku służących, a ponieważ była odważną i nieustraszoną kobietą, wyszła na spotkanie księżniczki.

— Coś ty za jedna, że przychodzisz tu o świcie zupełnie naga? — zapytała.

Ale księżniczka, rzecz jasna, ani nie rozumiała słów gospodyni, ani nie potrafiła na nie odpowiedzieć. Przybrała żalospny wyraz twarzy i złożyła dłonie w błagalnym geście, tak, że gospodyni zrobiło się jej żal.

— Albo jesteś rusalką lub trollicą, albo nieszczęśnicą — powiedziała. — Tak czy siak można ci pewnie podarować spódnice i skarpety.

Zabrała ją ze sobą i ubrała tak jak pozostałe służące, po czym zapytała, do jakiej pracy się nadaje. Ale księżniczka tylko kiwała głową i nic nie rozumiała. Gospodyni zaprowadziła ją więc do kuchni i spiżarni, a potem do pralni i tkalni, gdzie na widok krosien księżniczka uśmiechnęła się i od razu zabrała się do nawlekania nici. Wówczas gospodyni zrozumiała, że to praca, do której można ją zaprząć — i od tego dnia księżniczka została tkaczką na zamku Tyresö. Nie minęło dużo czasu, a nauczyła się mówić językiem, który słyszała dokoła; gospodyni doprawdy nigdy jeszcze nie miała tak pracowitej i milej służącej. Ale faktem jest, że ta dziewczyna nie przypominała żadnej innej panny pracującej we dworze. Jej ręce były bardzo delikatne, a chód miała królowej. Całymi dniami siedziała przy krosnach, a to, co wychodziło spod jej palców, też było zupełnie innego rodzaju niż wszystko, co widziano tu do tej pory. Tkala osobliwe fantazyjne wzory z egzotycznymi kwiatami i ptakami, w które niekiedy wplatała litery i słowa, których nikt nie potrafił przeczytać. Rzadko szukała towarzystwa, za to w wolnych chwilach najczęściej przechadzała się samotnie po łące nad zatoką. Spacerowała wtedy z pochyloną głową i wzrokiem wbitym w ziemię, jakby szukała czegoś, co kiedyś zgubiła. Zwykle jej twarz miała poważny, niemal surowy wyraz, a gdy już zdarzało się jej uśmiechnąć, była tak zniewalająco piękna, że gospodyni nie mogła pozbyć się myśli, iż może nie miała do czynienia ze zwykłym ludzkim dzieckiem, lecz z istotą z jakiegoś nieznanego świata, która zagubiła się wśród śmiertelników.

W tamtym czasie dwór nie miał pana. Gospodarz zmarł, a wdowa po nim, pani Brita Błękitna, zarządzała gospodarstwem w imieniu swojego syna, małego księcia Olova. Dowiedziała się o nowej służącej, którą przyjęła jej gospodyni, a która bardzo przypadła jej do gustu. Łapała wszystko w mig, szybciej niż inne pomocnice, i wykonywała polecenia bezwzględnie i precyzyjnie. Już to wydało się pani Bricie dość wyjątkowe, że trudno było się wywieść, skąd przybyła ta nieznanajoma, a sama dziewczyna nigdy o tym nie mówiła. Gdy pani Brita czasem pytała ją o dotychczasowe życie, robiła strapioną minę i odpowiadała:

— Jestem nieszczęsną porzuconą panną, ale tu jest mój dom i moja ostoja, pragnę więc posłuszeństwem okazać mą wdzięczność.

Po tym pani Brita nie pytała już o nic więcej.

Pewnego dnia nadzeszły dwudzieste pierwsze urodziny pana Olova, a od tego dnia miał, zgodnie z prawem, przejąć obowiązki zarządcy majątku Tyresö. Z tej okazji urzą-

Lato, Noc, Piękno

Praca

Spotkanie, Zabawa, Święto

dzano na zamku wielkie przyjęcie, a cała służba zajęta była porządkami i przystrajaniem komnat.

W sali tanecznej miało zapłonąć całe mnóstwo świec, a księżniczce nakazano potykanie ich do żyrandoli i kandelabrow. Właśnie stała na drabinie i obsadzała świece w wieniec, który wisiał pod sufitem, gdy do sali wszedł młody pan Olov. Nigdy wcześniej nie widział tej nieznannej panny, więc znieruchomiał, rażony jej wielką urodą. Słońce padało prosto na jej rudobrzowe włosy, białe ramiona i dłonie, podniesione, by powsadzać w wieniec świece. Księżniczka nie zauważyła nadejścia pana Olova, który swobodnie mógł się jej teraz przyglądać. Długo stał tak, obserwując wszystkie jej ruchy. Następnie udał się do swojej matki i zapytał, kim może być ta urodziwa kobieta.

Z jego opisu pani Brita od razu domyśliła się, kogo miał na myśli, i oznajmiła, że to uboga dziewczyna, która pojawiła się we dworze pewnego ranka wczesnym latem, ale nikt nie znał jej imienia ani pochodzenia. Księżca musiała zadowolić ta odpowiedź, jednakże przez cały czas trwania przyjęcia, wśród wszystkich dobrze urodzonych panien, Olov myślał wyłącznie o tej, którą widział rankiem. Ponownie zobaczył ją pewnego wieczora, gdy rozkładała tkaninę na trawie, by tam nieco zblakła. Była boso, a księżę nigdy jeszcze nie widział tak drobnych i tak jasnych stop. Ale gdy chciał z nią pomówić, tylko splonęła rumieńcem i odeszła.

Po raz trzeci zobaczył ją, wracając z łowów. Polował nad jeziorem, nad którym łęgowska miało wiele wodnych ptaków, i ustrzelił tam sporo dzikich kaczek. Wśród nich znalazł się jeden łabędź, a teraz wszystkie one — zabite — leżały pokotem w wielkiej sali zamku. Pan Olov właśnie wyszedł z jadalni, gdy zauważył nieznaną na kolanach, wśród martwych ciał. Chwyliła łabędzia za szyję i zbliżyła jego dziób do swoich ust, a lzy płynęły strugami po jej policzkach. Potem pogładziła swoją białą dłonią głowę i szyję łabędzia, jakby swoimi pieścizotami chciała mu dodać otuchy.

Gdy zorientowała się, że ktoś jest w pobliżu, poderwała się spieszenie, chcąc odejść, ale tym razem nie mogła ruszyć się z miejsca. Pan Olov chwycił ją za rękę i powiedział najłagodniej, jak potrafił:

— O najpiękniejsza z wszystkich kobiet! Kim jesteś i skąd przybywasz?

— Ależ proszę pozwolić mi odejść! — błagała księżniczka. — Jestem tylko biedną dziewczyną, która służy tu na dworze. Nie mam ojca ani matki, ani domu, ani swojego miejsca na ziemi.

— W takim razie znajdziesz to miejsce przy mnie — powiedział pan Olov. — Zostaniesz moją żoną, a mój zamek będzie twoim domem i będziemy tu żyć szczęśliwie aż do dnia śmierci, bo kocham cię ponad wszystko na ziemi.

Księżniczkę przeraziły te słowa i nie chciała ich słuchać, ale to nie była bynajmniej fanaberia młodego księcia z Tyresö. Zapłonął żywą miłością do nieznannej i oświadczył swojej matce, że skona, jeśli nie będzie mu dane wziąć tej dziewczyny za żonę. To bardzo zasmuciło panią Britę, a cała jej wcześniejsza miłość do młodej służącej zamieniła w niechęć i odrazę. Po niedługim czasie wszyscy na dworze wiedzieli już o zamiarach księcia, a to wprawiło w ruch złe języki. Czyżby ten potomek szanowanego rodu chciał poślubić żebraczkę, którą z łaski jedynie i z litości włączono do grona dworskich służących? Jaki posag mogła dać księciu? Nawet lniane odzienie, które nosiła, nie należało do niej.

Gospodyni potrząsała głową, mówiąc, że teraz już wszystko rozumie. By pojmać młodego pana, zwrócono się do trolli i huldr i użyto ich sztuczek i zaklęć. Od początku coś podejrzewała, gdy nieznaną tkala na krosnach runy, które miały omamić księcia. Ale serce pana Olova było niczym w pancerzu, którego nie zdoła przebić nic, co mogłoby uśmiercić jego miłość. Okazał się tak czuły i stały w swoich postanowieniach, że księżniczka odwzajemniła jego miłość i postanowiła, jak on, że pobiorą się, niezależnie od ceny, którą przyjdzie im za to zapłacić.

— Jak ci właściwie na imię, miłości mojego serca? — zapytał któregoś dnia pan Olov. — Choć to, jak się przedstawiasz, nie ma dla mnie żadnego znaczenia; a nawet, gdyby się okazało, że jesteś bezimienna.

Wówczas księżniczka zaśmiała się i powiedziała:

Polowanie

Miłość, Pozycja społeczna

— Tu, na dworze, mówią na mnie po prostu „ona”. Ale jeśli chcesz zwracać się do mnie imieniem, którego dawno temu używali moi rodzice i rodzeństwo, mów do mnie Isis⁴⁹ — powiedziała, spoglądając Olovowi w oczy z taką powagą, że zupełnie stracił rezon.

— Nigdy jeszcze nie słyszałem tego imienia — powiedział powoli. — Ale i ty nie masz na ziemi podobnej sobie.

Nie zważając na zazdrość, obmowy i perfidię dworzan, koniec końców książę Olov poślubił piękną Isis, która już po niedługim czasie zjednała sobie wszystkich swoją dobrocią i szczodrością. W dodatku, dopiero teraz pani Brita i cały jej zacny ród zobaczyli, jaką piękną w istocie była młoda pani. Gdy świeżo poślubiony małżonek ubrał ją w aksamit i jedwab, zawiesił na jej szyi i ramionach drogocenne perły, a dekolot ozdobił biżuterią ze szlachetnymi kamieniami, ukazała się w pełnej krasie jej królewska uroda. Nikt nie potrafił stąpać i tańczyć tak jak ona. Nikt nie kłaniał się z taką godnością i nikt tak dostojnie nie dosiadał konia jak księżna, gdy z jastrzębiem na wyszywanej złotem rękawicy ruszała na polowanie u boku swojego małżonka.

Do tego nigdy nikogo nie traktowała z wyższością i nikim nie pogardzała, a zawsze chętnie zwracała się o radę do pani Brity — tak w sprawach gospodarstwa, jak i dworu. Była życzliwa wobec przyjaciół, dobra dla poddanych i wyrozumiała wobec popełnionych błędów. Krótko mówiąc, miała wszystkie przymioty, które zwykle przypadają w udziale szlachetnie urodzonym i władzy, a które z rzadka tylko posiada ten, kto jest w takich kręgach nowicjuszem.

— Czyż nie wydaje się urodzoną księżniczką? — zapytała pani Brita swoją przyjaciółkę, widząc, jak młoda pani służy swoim gościom. — Nie ma co się dziwić, że Olov chce tańczyć wyłącznie ze swoją żoną.

Uśmiechała się, patrząc na swojego syna, które w sali balowej prowadził w tańcu młodą małżonkę, która poruszała się z taką godnością i gracją, że podążały za nimi spojrzenia wszystkich. Z nieba nad zamkiem Tyresö zniknęły w tym czasie wszystkie chmury. Pan Olov był przeszczęśliwym mężem.

Jego młoda żona też zdawała się być szczęśliwa. Kochała go i z zapalem i radością wypełniała wszystkie obowiązki pani dworu. Ponadto, odkąd wyszła za mąż, powoli zapominała swoją przeszłość. Wszystko, co przytrafiło się jej do chwili, gdy przyleciała w łabędziej postaci na brzeg zatoki, stawało się dla niej coraz bardziej jak sen, coś, co przytrafiło się komuś innemu; a i myślała o tym coraz rzadziej. Choć bywało, że nachodziło ją jakieś osobliwe przygnębienie, którego powodów sama nie potrafiła wyjaśnić. Zwłaszcza jesienią, gdy odlatywały ptaki wędrowne, ogarniał ją taki niepokój, że błąkała się po bezlistnych zagajnikach i opustoszałych polach. Zupełnie jakby szukała kogoś lub czegoś, co straciła dawno temu — sama nie wiedziała czego.

Pewnego jesiennoego dnia, gdy pan Olov stał we wnętrzu okna i spoglądał w niebo, wykrzyknął nagle:

— Spójrz na łabędzie, które odlatują!

Księżniczka podbiegła i zatrzymała się u boku męża. Gdy zobaczyła dzikie łabędzie, które, z wyciągniętymi szypkami, długimi pociągnięciami skrzydeł sunęły kluczem nad zatoką, podniosła ramiona wysoko w ich stronę i zaniosła się głośnym płaczem. Mąż spojrział na nią zdziwiony, a wtedy ona spróbowała się uśmiechnąć.

— Nie wiem, skąd to do mnie przychodzi, że na widok odlatujących łabędzi czuję taki ból, taki przeszywający ból w piersi — powiedziała posępnie.

Gdy opadły już wszystkie liście i zaczął sypać śnieg, na nowo wrócił jej radosny spokój i całymi dniami doglądała zimowych prac wszystkich swoich licznych sług.

Tak minęło siedem lat, a na dworze Tyresö nie zachodziły żadne zmiany. Nawet ta tak upragniona rewolucja w życiu, gdy pojawiają się i dorastają dzieci. Pan Olov i jego piękna żona wciąż pozostawali samotni, mieszkając ze starą panią Britą. Kto wie, czy to właśnie nie książę najbardziej tęsknił za dziećmi w rodzinie. Bardzo chciałby wychowywać syna, który z czasem mógłby mu towarzyszyć na polowaniach i konnych przejażdżkach i o którym mógłby myśleć jako o swoim następcy w tym okazałym dworze. Choć marzył i o córeczce, którą mógłby kochać i rozpieszczać, dziewczynce, która we wszystkim przy-

⁴⁹ Isis a. Izyda — w mitologii egipskiej bogini płodności, opiekunka rodzin, patronka małżeństwa i macierzyństwa. [przypis edytorski]

pominałaby swoją piękną matkę. Ale ponieważ nic na tym świecie nie jest doskonałe, wydawało się, że tej radości młody arystokrata został pozbawiony.

Całą więc swoją miłość przelewał na żonę i z każdym rokiem kochał ją jeszcze mocniej.

Znów nastała jesień i ptaki wędrowne zaczęły ciągnąć w dal. To był ten czas w roku, gdy panią na zamku zawsze dopadały niewytłumaczalny lęk i niepokój, i wszyscy się już przyzwyczaili, że nie była wtedy sobą. Nie umiała usiedzieć spokojnie przy żadnej pracy, za to godzinami chodziła samotnie po lesie i nad zatoką, prawie się nie odzywała, a jej spojrzenie robiło się nieobecne i zamysłone, jakby w głębi duszy zadawała sobie pytania, na które nikt nie umiał udzielić jej odpowiedzi.

Pewnego dnia pan Olov wybrał się na polowanie, a jego żona, ledwo pożegnała go przy schodach, ruszyła na łąki przy zatoce.

Był najpiękniejszy jesienny dzień. Na większości drzew wciąż kołysały się jeszcze liście, które mieniły się wszystkimi kolorami — od purpury po żółtozielony. Zatoka była tak spokojna, jakby czekała już tylko na pierwszy nocny przymrozek, by zamienić się w lód; wszystkie plony zostały wymłócone, a ptaki dawno temu przestały śpiewać. Księżniczka zeszła traktem nad wodę, stamtąd na łąki i teraz podążała lasem wzdłuż strumienia, idąc wąską ścieżką, która opadała do morza.

Wędrówka była uciążliwa, bo ścieżka wiodła skalistym brzegiem, w górę i w dół, między kamieniami i blokami skalnymi. W miejscu, w którym strumień wpada do zatoki, była niewielka łąka, na której trawa została już wymłócona. Gdy księżniczka doszła do tutaj, zatrzymała się i przyłożyła rękę do czoła.

Już kiedyś widziała to miejsce! Tylko kiedy? Rozpoznawała skalisty brzeg, zakręt, który musiał zrobić strumień, by wpaść do wielkiej wody, świerkowy las ponad skałami. Wszystko to, bez wątplenia, kiedyś już widziała, tylko kiedy i jak? I gdy tak stała, dojrzała na łące coś białego i lśniącego. Co to mogło być?

Było to jej łabędzie przebranie, które przed siedmioma laty staruszka zabrała do swojej chaty.

Tego pięknego i pogodnego dnia, gdy żaden człowiek nie był zajęty pracą, wyniosła strój na łąkę, by przewietrzyć go na słońcu.

— Dziwna to rzecz — powiedziała staruszka do siebie, rozkładając szatę na trawie. — Głowa i szyja łabędzia, skrzydła i piersi. Brakuje jedynie żywego ciała, żeby to coś stało się prawdziwym łabędziem, gotowym do lotu aż pod nieboskłon.

Teraz strój leżał niczym martwy łabędź na łące, a tuż obok stała ta, która swego czasu go nosiła — księżniczka; osłaniając oczy przed słońcem, przyglądała mu się z powagą i zastanawiała, czym jest ta biała szata.

Powoli podeszła bliżej, aż w końcu z krzykiem rzuciła się na ziemię obok łabędziego stroju.

W jednej chwili wszystko wróciło. To tu wylądowała i tu została uwięziona, a teraz na nowo odzyskała możliwość, by wolną odlecieć stąd dalej, do własnego, ukochanego i wyjątkowego kraju.

Jej serce rozradowało się w zupełnie wyjątkowy sposób. Krew zabuzowała nową życiową siłą w żyłach, zniknął cały lęk i niepokój. I w jednej chwili zapomniała o wszystkim, co wydarzyło się od czasu, gdy zdjęła z siebie łabędzie pióra. Wszystko to pobladło i rozprzeczło się, uleciało w dal jak sen po przebudzeniu.

Trzęsącymi się dłońmi i z uśmiechem na twarzy włożyła śnieżnobiały strój, wsunęła głowę między skrzydła i wyciągnęła wysoko w górę łabędzią szyję. I teraz, teraz leciała nad łąkami, w dal za wodę, z krzykiem wolności i szczęścia.

Unosiła się coraz wyżej w powietrze i zobaczyła zamek Tyresö i jego dwie wieże, niczym zabawkę w głębinie pod sobą.

Tak przeleciała nad górami, wzdłuż zatoki, która otworzyła się, a ogromne morskie fale nacierały na nią.

Wtedy napięła skrzydła z podwójną siłą, rozpostarła je ku nieskończonym przestrzeniom i zniknęła za morzem.

*

Wspomnienia, Przebranie

Lot, Szczęście, Wolność

Wieczorem, gdy pan Olov wrócił z łowów, zdziwił się, że jego żona, jak to miała w zwyczaju, nie wyszła mu na spotkanie na zamkowe schody. Próżno szukał jej po wszystkich komnatach zamku, w ogrodzie i parku.

Jego smutek był przeogromny. Całymi tygodniami i miesiącami nie przestawał wszędzie jej wypatrywać.

Ale z czasem uspokoił się nieco. Nikt nie zniesie ciągłej żaloby, a pan Olov był młodym mężczyzną, który pragnął żyć, a nie zasmucić się na śmierć ze zgrzyoty.

Po kilku latach postąpił za radą swojej matki i ożenił się z młodą i piękną szlachcianką, która z czasem obdarzyła go sześcioma synami i sześcioma córkami i dała mu szczęście i radość.

A jednak bywało, że siadał pogrążony w myślach, w milczeniu, zwłaszcza jesienią, o tej porze roku, kiedy odlatują wędrowne ptaki. Gdy wtedy widział łabędzie przelatujące ponad górami ku morzu, wzdychał i mówił:

— Lecą łabędzie! Ciekawe, gdzie właściwie jest ich dom.

RYCERZ, KTÓRY NIE POTRAFIŁ ZAPOMNIEĆ O SOBIE

Przed setkami lat na górze, schowany głęboko w lesie, stał kasztel, który nazywano „ukrytym zamkiem”. Mieszkał w nim rycerz, Arvid Brask. Wiele lat służył królowi, ale popadł w jakiś zatarg z władcą. Dlatego teraz uciekł od świata i ludzi i żył z dala od dworu i jego gwaru, w grodzie swoich przodków. Żona go odumarała, miał za to trzech synów i trzy córki, których wychowywał na swój własny sposób i którzy dzielili z nim jego samotne życie. Gród zbudowany był z granitu, w tym samym kolorze co skała, na której został wzniesiony, i tak dobrze schowany wśród sosnowych lasów, że obcy tylko z rzadka znajdowali doń drogę.

Trzeba było dobrze znać trakty, prowadzące do jego murów, by tu dotrzeć; nawet zając, które hasały po lesie, zdarzało się sturlać z górki, gdy rozbrykane niespodziewanie uderzały głową o solidną podstawę grodu. Bywało, że sokół szybujący wysoko w powietrzu zawisał nad wzgórzem na skrzydłach i z zaciekawieniem spoglądał w dół, ku cichemu zamkowi, który wznosił ku niebu swój miedziany dach i złote wiatrowskazy. Dookoła, ciągnąc się kilometrami z każdej strony, na straży budowli stał las. Nie było widać ani jeziora, ani rzeki, a jedyną znajdującą się w okolicy wodą była ta ukryta głęboko w sześciu studniach, które nakazał wykopać rycerz Brask — po jednej dla każdego ze swoich dzieci. Czerpano z nich najczystszą wodę do picia, pochodząca z samego serca góry.

Jedynym strumykiem, jaki widziały dzieci, był śnieg, gdy topniał wiosną. Wtedy udawały się na wzgórze w sosnowym lesie, żeby kopać kanały. Patykami i gałęziami wybijały dziury i wygrzebywały niecki w śniegu i zachwytem przysłuchiwały się temu, jak woda zaczynała szemrać i szumieć, tworząc wąski potok, pędzący w dół po kamieniach. Gdy śnieg zniknął, las robił się suchy, a podczas upalnych letnich miesięcy między gęstymi pniami drzew, pocących się w słońcu żywicą, panował męczący zaduch.

W pobliżu zamku rycerz Brask kazał zasadzić piękny ogród. Na początku lata kwitły w nim wiśnie i jabłonie, z czarnej gleby wyrastały bujnie tulipany, pierwiosnki i narcyzy, a w pełni sezonu na okrągłych krzakach róży pojawiały się kwiaty.

Tymczasem wszystkie dzieci dorosły, a dwóch najstarszych synów zdążyło się ożenić. Najmłodszy, Olov, i jego młodsze siostry wciąż mieszkali na dworze. Obok zamku znajdował się plac ćwiczeniowy i szranki⁵⁰, gdzie młodzi rycerze i ich słudzy mogli doskonalić swe umiejętności w sztukach walki, a synowie i córki rycerza Braska doprawdy w niczym nie ustępowali mądrością i wiedzą swoim rówieśnikom. W samotności na zamku wystarczyło czasu tak na czytanie, jak i grę na instrumentach, a gdy z okazji wielkich świąt gród zapełniał się gośćmi, wówczas panowała tam taka wrzawa i ożywienie, że ogromne puchaczki w lesie nastawiały uszy i wlepiały oczy w noc, choć nie miały odwagi podlatywać do okien, z których bił tak wielki blask. Kiedy przychodziła jesień, zaczynały się polowania, a wtedy do zamku ze wszystkich stron ściągali goście. Dzikie okoliczne lasy obfitowały we wszelaką zwierzynę. Było w nich nie tylko w bród zajęcy i ptactwa, także lisy i rysie miały tu swoje siedliska. Każdego roku powalano też niedźwiedzie, a w głębi boru znaj-

Rycerz, Zamek, Samotnik

Zamek, Las

Natura, Zwierzęta,
Polowanie

⁵⁰szranki — w średniowieczu ogrodzony plac, na którym odbywały się turnieje rycerskie. [przypis edytorski]

dowały się mokradła, porośnięte cierniami, w których od wielu lat zamieszkiwała rodzina dzików, choć myśliwi z ukrytego zamku raz za razem któregoś z nich zabijali.

Właśnie nastała jesień i gród był pełen ludzi.

Z wizytą przybyło też dwóch starszych synów ze swoimi żonami oraz wielu przyjaciół i znajomych rodziny.

Wśród nich była młoda dama, szlachetnie urodzona Margaretha Dã, której dom znajdował się na równinie; była szeroko znana ze swoich cnót i urody, choć miała ledwo siedemnaście wiosen. Za dnia rycerze wyruszali na polowania, a niektóre z najdzielniejszych panien towarzyszyły im z sokołami na rękawicach i lukami na końskich grzbietach.

Reszta młodych dam zostawała na zamku, zabawiając się, na ile tyle mogły. Bo niby dlaczego grupa młodych, roześmianych dziewcząt nie miałyby się zabawić? Czyż na zamkowym dziedzińcu nie można była zorganizować gier w kole lub z piłką? Czyż wszystkie drzewa w sadzie nie były obwieszane welurowymi, fioletowymi śliwami i rumianymi jabłkami? Czyż nie było wśród panien i takich, które potrafiły zagrać na lutni o smukłej szyi lub pobrzękującej mandolinie; a, co najważniejsze, czyż nie miały swoich radosnych i młodych języków, które wypowiadały wesołe słowa i zabawne pomysły i bez przerwy walczyły o to, która potrafi mówić głośniejsze? Damy umiały się świetnie bawić bez panów, a jednak najlepszym momentem dnia był ten, w którym z lasu rozlegały się dźwięki rogu, przybiegały zziębnięte psy, a na zamkowy dziedziniec wpadała zgraja myśliwych. Bo tak to już jest, że jakkolwiek dobrze i wesoło młodzi mężczyźni i kobiety potrafią bawić się z osobna, to nigdy nie tak dobrze, jak wówczas, gdy spotkają się razem.

Dlatego też wieczorna uczta była każdego dnia nowym świętem. Nie szczędzono jedzenia ani wina, a w całej sali płonęły świece i pochodnie.

Ale młodzi kawalerowie nie siedzieli już przy winie, gdyż właśnie miały zacząć się tańce, które ciągnęły się jeszcze długo po tym, jak zegar na wieży wybijał północ swoimi ciężkimi i zmęczonymi życiem uderzeniami. Rycerz Olov był równie zdolnym tancerzem co myśliwym, a nie stronił też od rozmów i żartów z młodymi damami. Rozumiał także, dlaczego jego ojciec zaprosił na zamek pannę Margarethę Dã, i wkrótce spostrzegł, że nie był jej zupełnie obojętny. Jej drobne usta nie wypowiadały zbyt wielu słów, ale gdy siedziała w niszy okiennej z gładkimi rudymi włosami zaczesanymi niczym welon na policzki, tak że ledwo mógł dostrzec jej twarz, widział, jak jej czarne oczy podążały za nim zza kosmyków. Była smukła jak lilia i tańczyła oszalałając.

Gdy rycerz Olov podczas kontredansa trzymał szczupłą dłoń młodej damy, nie mógł nadziwić się giętkości jej ramienia i nadgarstka, i niewielkiej stópce, która niejako ostrożnie robiła kolejne kroki po kamiennej podłodze. To był rozkoszny widok! Ale pozostałe panny też były piękne i wspaniałe było tańczyć, i cudownie było polować, i w ogóle wielką radością było żyć! Jeśli jakaś myśl cieszyła młodzieńca, wnet pojawiała się kolejna, jeszcze radośniejsza, i przeganiała tę pierwszą. Jeśli cudownie wstawało się rano na polowanie, jeszcze bardziej pociągające były tańce w rycerskiej sali przy świetle księżycy i świadomość, że kolejnego poranka wstanie słońce nad nowymi i nieznanymi przyjemnościami.

I tak pewnego wieczora Olov Brask tańczył z Margarethą Dã. Trzymał jej uniesioną dłoń i sunął przez salę, ale jednocześnie dostrzegł siebie w wielkim lustrze, które wisiało naprzeciwko na ścianie. Świece płonęły jasno, więc obejrzał się od stóp aż po sam czubek głowy.

Był pięknym młodym mężczyzną o jasnych, błękitnych oczach, krótkim nosie i kształtnych ustach, które w tej właśnie chwili uśmiechały się, pokazując wszystkie jego białe zęby. Włosy miał przystrzyżone niczym frędzel nad czołem, ale za uszami opadały mu aż na szyję. Ubrany był w fioletowy kaftan ze złotym haftem, a wokół talii miał zielony jedwabny pas. Szkarłatwoczerwone jedwabne spodnie nosił wsunięte w żółte trzewiki i tańczył w ostrogach.

Tak, tak też wyglądał, i wiedział to już wcześniej. Wiele razy wcześniej obserwował już siebie samego dokładnie w dużym lustrze i był dość zadowolony ze swojego wyglądu; nie był jednak bardziej próżny od większości ludzi i gdy odwracał się do zwierciadła plecami, nie poświęcał już zbyt wiele myśli swojej prezencji. Tym razem było jednak inaczej! Z jakąś niewymownie zawstydzającą jasnością zobaczył każdy szczegół swojej fizjonomii. Spojrzał był sobie prosto w oczy tak przenikliwie, że teraz wciąż widział wlepiony w siebie własny

Zabawa

Uczta

Taniec, Uroda, Mężczyzna,
Lustro

Lustro, Sobowtór

wzrok. Wyprostował się, wił się i kręcił w tańcu, ale nieustannie podziwiał siebie w swoim fioletowym kaftanie i z kręconymi włosami. „Tańczę!”, pomyślał. „Tak właśnie wyglądam! W tym momencie prostuję nogę! A teraz się uśmiecham i zarzucam włosami! Ach, jakież to uciążliwe!”.

„Nie chcę myśleć o sobie!”, dumał. „Chcę myśleć o mojej wytwornej damie!”. Olov pochylił głowę w stronę Margarethy Dą. Ta zamknęła oczy tak, że on ich nie widział. Zobaczył jedynie swoje własne, niebieskie, wpatrzone w siebie oczy i swoje uśmiechające się usta. „Precz!”, powiedział niemal na głos i zamachnął się ręką, jakby przeganiał muchę, ale to nie było takie proste. Jego własny obraz, w tańcu i bezruchu, natychmiast wyłaniał się przed nim tak, że zaczął czuć na czole zimny pot.

Gdy odprowadzał Margarethę na miejsce, puścił jej rękę bez słowa podziękowania i wyszedł na taras, skąd spojrzął w niebo, na którym chmury sunące pędem mijały księżyc.

„Zimny wieczór!”, pomyślał. „Jutro będzie padać”. Starał się w napięciu uważnie śledzić pogoń na nieboskłonie. Aż tu nagle — poczuł jak po plecach przechodzi mu zimny dreszcz — nagle zobaczył pomiędzy chmurami swoją własną twarz. Wnet pojawiła się też szyja, ramiona, wreszcie całe ciało. Wciąż jednak najwyraźniej widział swoje własne, patrzące z niezwykłą intensywnością, oczy. Więc chyba jednak lepiej było mu wśród tańczących w środku. Pospiesznie obrócił się na pięcie i znów wszedł do sali rycerskiej. Ale jego własny wizerunek wszędzie za nim podążał. Gdzie by nie poszedł albo nie stanął, czego by nie powiedział albo nie zrobił, widział każdy swój ruch, słyszał każde wypowiedziane przez siebie słowo, tak, jakby wypowiadał je ktoś inny. „To jakieś głupoty, które miną, gdy się wyśpię!”, pomyślał rycerz Olov, gdy późną nocą gasił światło, a wkrótce potem naprawdę spał. Ale nazajutrz już w porannym śnie miał przeczucie czegoś potwornego. To był dość nieokreślony, przytłaczający lęk w piersiach, ale gdy się wybudził do końca, przypomniało mu się, co to takiego. Słońce świeciło jasno przez okno wieży i słyszał radosne szczekanie psów myśliwskich, wypuszczanych z psiarni. Ledwo jednak usiadł na łóżku, a już zobaczył siebie. Zupełnie jakby ktoś niespodziewanie chwycił go za kark i wyrwał ze wszystkich radosnych porannych myśli. Zobaczył siebie, siedzącego na łóżku, siebie, wkładającego kolejne części garderoby, obserwował każdy swój ruch — zupełnie, jakby patrzył na kogoś innego. Myślał o każdym kroku, który stawiał, schodząc po kamiennych schodach, i widział siebie, dosiadającego konia i jadącego z innymi panami na polowanie.

„Dziwne by to jednak było, gdyby nie dało się, siedząc na koniu, uciec od samego siebie!”, pomyślał, wzdychając, i tak mocno uderzył ostrogami boki zwierzęcia, że wkrótce znalazł się daleko przed resztą myśliwych.

Polowali na stare dziki na cierniowych mokradłach, więc łowy wiązały się ze sporym niebezpieczeństwem — ale właśnie niebezpieczeństwa szukał tego dnia Olov.

„Potrzeba mi czegoś mocnego i krwawego, bym mógł zapomnieć o sobie”, pomyślał i pogalopował w najgęstsze zarośla. Ciernie i kolce porozdzierały mu ubranie, bluzgało na niego błoto z mokradel; i nagle w jego stronę ruszyło rozwścieczone zwierzę, spłoszone przez psy, z masywnymi kłami uniesionymi do walki. Powstał jeden wielki tumult — kłębowisko stających na tylnych nogach koni i ujadających psów. Połyskiwały kopie, pod kopytami kładły się zarośla i krzaki. Zwierzęta i myśliwi wirowali, splątani ze sobą.

Jednak gdy wreszcie dzik został zabity, a rycerz Olov siedział błądy i zakrwawiony na swoim koniu, w jednej chwili jego myśli wróciły do siebie samego. Widział jedynie siebie, gdy tak tkwił nieruchomy i biały na twarzy na końskim grzbiecie.

— Zabójco dzików! Wyglądasz, jakbyś się bał! — mówili jego towarzysze, klepiąc go po ramieniu.

— Kogo miałbym się bać! — odpowiadał z uśmiechem. — Ja się nikogo nie boję. Wyłącznie siebie samego.

I zaśmiał się tak przeraźliwie, że aż nimi wzdrygnęło.

Zaś wieczorem, gdy na zamku zapłonęły wszystkie świece i pochodnie, rycerz Olov przebrał się na tańce. Rozczesał swoje długie włosy tak, że lśniły jak złoto. Pozapinał wysadzane szlachetnymi kamieniami sprzączki aksamitnego stroju i zapiął na biodrach złoty pas.

„Dziś wieczorem ucieknę od siebie w tańcu!”, pomyślał. „Gdy się zastanowić, to musi być dość łatwe.

Sobowtór, Strach

Polowanie, Zwierzęta, Pies

Taniec, Strój

Przy dźwiękach fletów i gig⁵¹ pan Olov obtańcowywał wszystkie urodziwe damy tak, że traciły dech w piersiach i głośno modliły się o przeżycie. W końcu Olov chwycił dłoń Margarethy Dã i wirował z nią tak długo, że niczym złamana lilia osunęła się na posadzkę — ale on nawet się nie schylił, by ją podnieść. Wyszedł z sali i z taką siłą zatrzęsął za sobą drzwi, że zadzwoniły wszystkie kandelabry i pobladły płomienie pochodni.

Na schodach było ciemno, ale przez kraty okien świecił księżyc, a pan Olov pewnym krokiem, z głośno bijącym sercem zmierzał do drzwi swojej komnaty. Ale co to? Czyżby ktoś tam stał? W świetle księżycy zobaczył wyraźnie sylwetkę mężczyzny tego samego wzrostu i postury, co on sam.

Postać pokłoniła mu się i otworzyła drzwi.

— Zapraszam do środka, panie Olovie — powiedział jakiś głos.

Czy to nie jego własny głos?

— Proszę wejść, panie Olovie i nie trwożyć się, nie odstąpię pana na krok.

Olov położył dłoń na rękojeści miecza, a wtedy tamten zrobił to samo.

Olov prędko wszedł do komnaty i zamknął za sobą drzwi, ale postać już była za progiem.

Wówczas dzielnego rycerza dopadł mrozący krew w żyłach strach.

Przez okno sączyło się do środka lśniące, srebrne księżycowe światło, a przed Olovem jawił się jego własny obraz jak żywy, odziany w aksamit i kamienie szlachetne, o opadających na ramiona złotych włosach i z dłonią na rękojeści miecza.

— Kim jesteś? — zapytał pan Olov głosem tak ochryplym, że z trudem tylko przeciskał się przez gardło.

— Kim jestem? — odpowiedziała postać i poparzyła na Olova jego własnymi przejrzystymi oczami. — Czy rzeczywiście musisz o to pytać? Myślałem, że znasz siebie samego!

„To jakiś straszny sen”, pomyślał rycerz. „Gdy znów podniosę wzrok, jego już nie będzie. Nie może tu zostać przez całą długą noc”.

Ale gdy powtórnie spojrział w górę, postać wciąż tam była. Stała w nogach łóżka, opierając swoje skrzyżowane dłonie o jego słupek.

— Dlaczego się nie połóżysz? — zapytała. — Po prostu połóż się spać! Możesz być całkiem spokojny. Już nigdy cię nie opuszczę!

Olov chciał wydać z siebie krzyk, ale nie był w stanie — zupełnie jak we śnie. „Precz! Odejdź ode mnie, szkarado!”. Tak, to chciał wykrzyknąć, ale czuł się niczym sparaliżowany. Drżącymi palcami zdjął z siebie ubranie i wślizgnął się do łóżka jak wystraszony i obity pies.

Niebo pociemniało i w tym mroku Olov zapadł w sen, ale w nocy księżyc znów się wyłonił, wyżej, między niewielkimi, żółtawymi chmurami, a wtedy rycerz obudził się, złęczony, i szeroko otworzył oczy. W księżycowym świetle dojrzał czarną postać w nogach łóżka. Z wolna skinęła głową, jakby chciała powiedzieć: „Śpij spokojnie! Ja czuwam i czekam. Znajdziesz mnie tutaj, gdy tylko zaświta dzień”.

Od tego dnia pan Olov stał się innym człowiekiem. Kiedy tylko pojawił się rankiem na zamku, wszyscy w milczeniu i z lękiem mu się przyglądali. Był błady jak śmierć, a w jego oczach było coś osobliwego, jakby zwrócone były do wnętrza albo widziały coś, czego nikt inny nie mógł zobaczyć. Rzeczywiście zdawało się, że przesywa wzrokiem wszystkich, którzy pojawiali się w jego pobliżu, a za osobą, która się do niego zbliżała, bez przerwy i bardzo wyraźnie widział, jak sam przygląda się sobie, swoimi własnymi oczami. Rozkojarzony i roztrzęsiony słuchał tego, co mówili do niego ludzie, i dawał im niejasne, mętne odpowiedzi. Wówczas Margaretha Dã spojrzała na niego załzawionymi oczami.

— Nie słyszysz, co do ciebie mówię — powiedziała powoli, kładąc dłoń na jego ramieniu. — Dlaczego tak wpatrujesz się przed siebie, jakbyś miał zobaczyć coś, czego nikt inny nie widzi?

— A co, jeśli rzeczywiście tak jest? — szepnął przez zaciśnięte zęby.

Jej oczy zwróciły się w tę samą stronę, co jego przerażony wzrok, ale nic tam nie dojrzała. Po jej policzkach płynęły łzy, gdy z uniesionymi brwiami siedziała bez ruchu, czekając, by znów zauważył jej obecność. Wydawał się jednak przebywać w jakimś innym

⁵¹giga — średniowieczny instrument smyczkowy. [przypis edytorski]

świecie. Z każdym dniem był coraz bardziej milczący i bledszy; koniec końców Margaretha poprosiła, by pozwolił jej odjechać do domu. Najwyraźniej rozumiała, że nikt nie będzie za nią tęsknił, jeśli opuści ukryty zamek. Pan Olov ledwo się z nią pożegnał, a niedługo po jej odjeździe wyruszyli w drogę również pozostali goście. Wszystkie radości zasnuł czarny cień i wyczuwało się nieomal, że wkrótce wydarzy się coś strasznego.

Nadeszły jesienne sztormy, opadły liście i wkrótce potem ukryty kasztel stał otulony śniegiem niczym całunem. Młode panny wyjechały do swoich żonatych braci, by spędzić Boże Narodzenie w miejscu, w którym samotność i przykry widok pana Olova nie czyniły dni tak ciężkimi. Na zamku został teraz tylko stary rycerz, Arvid Brask, i jego chory syn.

Że pan Olov był chory, co do tego jego ojciec nie miał już wątpliwości, choć nie rozumiał, co go dręczyło. Nie pytał, a sam Olov też nic nie mówił, lecz niczym upiór błakał całymi dniami po zamku. Ledwo przysiadł gdzieś i otworzył książkę, a już wstawał i ruszał dalej; szedł schodami w górę i w dół, a jego drugie „ja”, odziane w identyczny strój, nieustannie podążało za nim, naśladując najmniejszy nawet gest i każdą minę młodzieńca. Wczesnym rankiem, przed nastaniem dnia, opuszczał swoją sypialnię, by pozbyć się udręk nocy, ale dni okazywały się równie posępne. Zdawało mu się, że jego drugie „ja” z każdym dniem nabiera coraz więcej życia, podczas gdy on sam gasł z wolna. W końcu niemal nic nie pił i nie jadł i z wielkim trudem podnosił się z miejsca i chodził. A chodzić po zamku musiał. Bo kto zniósłby siedzenie i wpatrywanie się w samego siebie całymi dniami?

Stopniowo noce stawały się coraz krótsze, a dni dłuższe. Śnieg topniał, a z czasem zupełnie zniknął. Pąki brzoź nabrzmiały, w zaroślach zaczęły ćwierkać pierwsze ptaki. Pewnego dnia nad dachem zamku przeleciały dzikie łabędzie — i tak wszystko, słońce i powietrze, mówiło, że nadeszła wiosna. Pewnej nocy pan Olov obudził się. Przez chwilę czuł się niemal wolny, ale już po chwili usłyszał, jak ktoś porusza się w nogach jego łóżka i w półmroku dojrzał tak dobrze znaną sylwetkę — swoją własną postać. Poderwał się, tłumiąc krzyk. Nie mógł już tego znieść. Trzęsącymi się dłońmi włożył ubrania i popędził w dół długimi zamkowymi schodami. Otworzył porządnie zaryglowane drzwi i pognął do stajni. Oczywiście słyszał prędkie kroki, które wciąż za nim podążały, ale nie oglądał się, by zobaczyć tego, którego aż nazbyt dobrze znał. Gdy dotarł do stajni, poszedł do swojego ukochanego rumaka — młodego, dzielnego i dumnego kłusaka⁵². Osiodłał go, dosiadł i pognął na jego grzbiecie przed siebie. Jednocześnie usłyszał, jak w boksie ktoś jeszcze siodła konia, a teraz pędzi tuż za nim górskim traktem. Wciąż jeszcze była noc, na zamglonym niebie płonęły wielkie gwiazdy, ale wkrótce miał zaświtać dzień. Powietrze przepełnione było wonią rozkwitającej ziemi, a ciszę lasu przesywały pohukiwania tokujących gołębi siniaków. Pan Olov gnał przed siebie kłusem, wciąż słysząc za plecami ten sam rytm końskich kopyt. Przeszedł w galop, a rycerz za nim pognął w tym samym tempie. Zrozpaczony skulił się, dźgnął konia ostrogami i pocwałował między drzewami. Tutaj, gdzie zwykle dało się poruszać tylko z wielką ostrożnością, noga za nogą, zmusił konia do dzikiego pędu. Kłusak czasem się potykał i omal się nie przewrócił. Rycerza smagnęła niekiedy jakaś zwisająca nisko gałąź, obijał się o pnie i podarł ubranie. Zgubił kapelusz i połamał bat, ale uparcie gnał dalej, jak najdalej od ukrytego zamku, od wszystkiego, od całej przeszłości i od siebie samego. Wciąż jednak słyszał tupot gnających za nim końskich kopyt. Jego serce waliło, zdjęte śmiertelnym strachem — jak u jelenia, na którego urządzono nagonkę. Nie znając celu, cwałował dalej przez noc. Las się przeredził, po czym niespodziewanie się skończył. Rycerz Olov znalazł się na rozległym wrzosowisku na stromych wzniesieniach, opadających ostro ku wodzie. Nigdy wcześniej nie widział morza, więc zaskoczony zatrzymał konia. Bezkresne, rozciągnęło swoje fale u jego stóp, a Olov nigdy jeszcze nie oglądał nieba tak wysokiego i nieskończonego jak tutaj. Wciąż było zasnuwane zwiewnym welonem mgły, przez którą migotały poblądłym światłem gwiazdy, ale horyzont nabrał pasów, a niewielkie stadko chmur, przypominających anielskie głowy, opadało coraz niżej nad taflą morza. Olov, nieruchomy jak posąg, siedział na koniu, spoglądając w stronę wschodzącego słońca. Tętent kopyt za nim ucichł. Już o nim nie myślał, nie myślał też o sobie. Siedział oczarowany wspaniałym widokiem, który roztaczał się przed jego oczami.

Nagle morze pod złotymi chmurami zabarwiło się intensywnym błękitem, a całą

⁵²kłusak — typ konia w wykorzystywany głównie w wyścigach zaprzęgowych. [przypis edytorski]

Choroba, Szaleństwo,
Sobowtór

Ucieczka, Koń, Las

Morze

Słońce

przyrodę przeszła ożywcza bryza i ze spienionych fal wstało majestatyczne słońce. Niebo rozstąpiło się, by zrobić miejsce lśniącej tarczy, a wszystkie chmury odbiły blask. Rycerz Olov rozłożył szeroko ramiona i krzyknął z radości; dźgnął konia ostrogami i popędził w dół skarpy, prosto w morze, które obryzgało go wodą ze spienionych fal. Po czym znów się uspokoiło, gdy nad nowym dniem wschodziło słońce.

O JEŹDŹCU, KTÓRY NIE BAŁ SIĘ ŻADNEJ POGODY

Na dalekim południu, w Tyrolu⁵³, gdzie w wysokich górach śnieg nigdy nie topnieje, a w dolinach winorośl dojrzewa na palącym słońcu, stoi wiele zamków.

Jeden z nich nosi nazwę Freudenstein⁵⁴. Przed wielu laty mieszkał tam dzielny rycerz zwany Rudolph von Eilen.

Odbył wiele wypraw z wojskami cesarza Niemiec, którego był poddanym, i był dwukrotnie żonaty. Miał sześciu synów.

Obie jego żony, które poślubił jako zacie młode panny, spoczywały na przyzakmowym cmentarzu, a jego sześciu synów rozjechało się po różnych częściach wielkiego niemieckiego cesarstwa.

Hrabia Rudolph był starym człowiekiem i sprzykrzyło mu się samotne życie na zamku, postanowił więc po raz kolejny się ożenić, by w starym grodzie znów zagościła radość i młodość.

Być może nigdy by mu to nie przyszło do głowy, gdyby nie zobaczył pewnej młodej damy z Wenecji⁵⁵, której uroda wywarła na nim ogromne wrażenie. Miała co prawda ledwo szesnaste lat, a on był już po sześćdziesiątce, ale ponieważ ona była zwykłą mieszczanką, córką wpływowego kupca, rycerz Rudolph liczył na to, że jego oświadczy — jako przedstawiciela jednego z najznamienitszych tyrolskich rodów, a ponadto przyjaciela cesarza — zostaną przyjęte.

I tak już niedługo otrzymał pozytywną odpowiedź, a kilka miesięcy później sam ruszył do Wenecji po swoją piękną pannę młodą. Nie bez powodu dano jej na imię Stella⁵⁶, bo doprawdy roztaczała blask jak gwiazda, jadąc konno przy boku swojego narzeczonego. Zamek Freudenstein był szeroko znany ze swojego pięknego położenia i wystawności, z jaką cały dwór został urządzony, ale młoda Włoszka nie umiała przywyknąć do wysokich gór, które ze wszystkich stron okalały dolinę Adygi⁵⁷.

Jej czarne spojrzenie cały czas miało w sobie jakiś tęskny wyraz. Chętnie stawała na frontowym balkonie zamku i spoglądała w stronę Włoch, ku którym rwącym strumieniem płynęła Adyga, podobnie jak wszystkie jej myśli.

Tęskniła za morzem i miękkim, weneckim dialektem. Umierała z tęsknoty za słońcem i swoją ojczyzną.

I w końcu naprawdę umarła, wydawszy na świat córeczkę. Pochowano ją na cmentarzu kościelnym w pobliżu zamku, obok dwóch niemieckich zacnych gospodyń grodu.

Tak też nastał jej koniec.

Po żadnej wcześniejszej hrabia Rudolph nie rozpaczał tak bardzo jak po tej trzeciej żonie. Kochał ją z młodzieńczą żarliwością i teraz, gdy została mu odebrana, poczuł, że nie może dłużej pozostać na zamku. Nie da się ukryć, że mała Jolanta odziedziczyła po matce czarne oczy i złotorude włosy, ale była takim kruchym i małym stworzeniem. Hrabia Rudolph ledwo odważył się ją dotykać swoimi topornymi żołnierskimi dłońmi i nie mógł jej córce, że matka jej narodziny przyplaciła życiem.

Dlatego zostawił ją pod opieką włoskich służących zmarłej żony, a sam dosiadł konia i w towarzystwie swoich rycerzy i giermków pogalopował w dal, zgnębiony na duszy, zostawiając za sobą rodzinny zamek, by w wojennej zawierusze zapomnieć o żałobie, a może i odnaleźć śmierć.

Mała Jolanta dorastała na zamku Freudenstein i wcześniej przejęła nad nim władzę.

⁵³Tyrol — region historyczny w północnych Włoszech i w zachodniej Austrii, graniczący z Niemcami i Szwajcarią. [przypis edytorski]

⁵⁴Freudenstein — średniowieczny zamek położony w prowincji Bolzano, we włoskim regionie autonomicznym Trydent-Górna Adyga. [przypis edytorski]

⁵⁵Wenecja — miasto na północy Włoch, stolica regionu Wenecja Euganejska. [przypis edytorski]

⁵⁶stella (wł.) — gwiazda. [przypis edytorski]

⁵⁷Adyga — druga co do długości rzeka we Włoszech. [przypis edytorski]

Odziedziczyła urodę swojej matki i żywe usposobienie ojca, a ponieważ nie знаła niczego poza wysokimi szczytami Tyrolu, to i za niczym innym nie tęskniła.

Gdy miała pięć lat, oddano ją na nauki do zakonnicy, do klasztoru Mariengarten⁵⁸, gdzie wkrótce stała się ulubienicą wszystkich.

Tutaj przechadzała się w skąpanym w słońcu ogrodzie i karmiła gołębie lub też bawiła się z małymi jaszczurkami, które pełzały po kamiennym murze; a gdy trochę podrosła, pozwolono jej uczestniczyć w porannej mszy. Kiedy zaczynało świtać — choć bywało, że księżyc wciąż stał na niebie — ubierała się pospiesznie i zbiegała schodami do klasztornej kościoła, w którym lichtarze na ołtarzu świeciły niczym dwie niewielkie gwiazdy. Tutaj klęczała wśród odzianych w czerni siostr, a potem jadła śniadanie na powietrzu, w ogrodzie: mleko, masło i pyszny biały chleb.

Siostry nauczyły ją czytania, koronkarstwa i wyszywania jedwabnymi i złotymi niciami; opanowała nawet grę na lutni i śpiew.

Przez pięć lat przebywała poza zamkiem Freudenstein, choć od czasu do czasu składowano jej odwiedziny, ale gdy skończyła dziesięć lat, ojciec powrócił z wojennych wypraw i zabrał ją z klasztoru.

Pewnego dnia, kiedy mała Jolanta siedziała z robótką w klasztornej ogrodzie, usłyszała, jak ktoś głośno wali do bramy. I gdy siostra furtianka otworzyła, zobaczyła na drodze gromadę mężczyzn w zbrojach. Na ich czele na swoim bojowym rumaku siedział hrabia Rudolph.

Był teraz już człowiekiem w podeszłym wieku, choć dostojnym i rosłym jak młodzieniec; i gdyby nie długa siwa broda, opadająca mu na pierś, nikt by nawet nie pomyślał, że ma przed sobą siedemdziesięcioletniego mężczyznę.

Jego oczy żywo wypatrywały Jolanty, a gdy ta podniosła się i podeszła do miejsca, w którym się zatrzymał, chwycił ją z i unióśł wysoko ponad głowę, po czym przycisnął mocno do swojego serca.

Oczy zalane miał łzami, gdy powiedział:

— Jesteś córką swojej matki i odtąd pragnę żyć już tylko dla twojego szczęścia.

Po czym posadził dziewczynkę przed sobą na koniu i pogalopował z nią na zamek Freudenstein. Nie obyło się w klasztorze bez łez tego dnia, gdy opuściła go mała Jolanta, choć ona sama raczej się z tego radowała. Z wielką dumą siedziała na rumaku ojca, otoczona rycerzami i giermkami, a gdy wjechali na most zwodzony grodu Freudenstein, na wieży głośno zadęto w trąby. Odtąd w starym zamku miało się zacząć nowe życie.

Nie potrwało długo, jak mała Jolanta zadomowiła się w grodzie ojca.

Nauczyła się piec chleb i warzyć piwo, a wszystko, za co się zabrała, szło szybko i sprawnie. W zimowe wieczory grała z ojcem w szachy lub siedziała przy strzelającym iskrami kominku z tamburkiem⁵⁹ w dłoni i wyszywała, podczas gdy ojciec opowiadał jej o swoich wielkich wojennych czynach.

Hrabia Rudolph jakby odmłodził w towarzystwie swojej córeczki, a jego jedynym zmartwieniem było to, że tak prędko zamieniała się w piękną młodą pannę, którą niebawem będzie zobowiązany wydać za jakiegoś dzielnego rycerza. Sama Jolanta słyszeć nie chciała o zamążpójściu, choć miała już siedemnaście lat.

— Nigdzie nie będę tak szczęśliwa, jak przy tobie, ojczy, tutaj na zamku Freudenstein — powiedziała i ucałowała go, a wtedy wszystkie myśli o wydaniu córki za mąż uleciały mu z głowy.

I tak minął kolejny rok.

Ale gdy Jolanta ukończyła osiemnaście lat, znów stanęła na balkonie, patrząc na pochód wiosny w dolinie Adygi.

Wszystkie strumienie pędziły w dół górskich zboczy, a w dolinie już kwitło wino, którego silnie aromatyczny zapach wypełniał powietrze. Czasem na łąki spadał nagły deszcz, a zaraz potem słońce znów oświetlało spienione bielą bystrza⁶⁰. Wtedy Jolanta udała się do swojego ojca i oświadczyła:

— Myślę, że teraz jednak pora, bym wyszła za mąż, drogi ojczy. Nie mogę przecież na zawsze zostać na zamku.

⁵⁸Mariengarten — klasztor znajdujący się obecnie we włoskiej prowincji Bolzano. [przypis edytorski]

⁵⁹tamburek — przyrząd używany podczas haftowania. [przypis edytorski]

⁶⁰bystrze — odcinek rzeki o zwiększonym spadku i płytkim dnie. [przypis edytorski]

Wówczas rycerz Rudolph kazał wciągnąć na wieżę sztandar, biały z czerwonym gryfem w koronie, na widok którego we wszystkich grodach w dolinie zrozumiano, że na zamku Freudenstein szykuje się bal, i ze wszystkich stron ciągnęli tam ludzie, by zobaczyć piękną Jolantę, której imię było już powszechnie znane w okolicy.

Ona tymczasem stała na balkonie i widziała poruszenie w promieniach słońca.

Wyglądało to tak, jakby mnóstwo małych pszczół i much pełzało po trawie, ale teraz podeszły bliżej i błysnęły bronią i złotem. Traktem ku zamkowi Freudenstein podążała cała gromada jeźdźców.

Wkrótce potem z przeciwnej strony w górę doliny zaczął wspinać się kolejny zastęp jeźdźców i w końcu Jolanta dojrzała, jak od twierdzy Hocheppan⁶¹ ciągnie ku zamkowi nieprzerwany sznur mężczyzn na koniach.

W sali rycerskiej nakryto długi stół, przy którym hojnie ugoszczono zebranych, a sama Jolanta usługiwała i chodząc wkoło, nalewała napitek do pucharów, po czym wręczała je rycerzom.

Najwyżej ze wszystkich gości posadzono rycerza Wolframa z Sigmundskron⁶².

Był to przystojny mężczyzna, a po jego manierach i zachowaniu od razu było widać, że pochodzi z zacnego rodu.

Jolanta długo mu się przyglądała, gdy pił z pucharu, który mu podała.

— Wysoko nosisz głowę — powiedziała. — I przybyłeś tu w towarzystwie wielu wojów i giermków. Kim więc jest ten, któremu mój ojciec wyznaczył pierwsze miejsce przy swoim stole?

— Zwę się Wolfram — powiedział rycerz, wypinając pierś. — I nie ma w tym nic nadzwyczajnego, że daje mi się najwyższe miejsce na uczcie twego ojca, gdyż nikt mi nie dorówna, jeśli chodzi o wysokie urodzenie, a i cesarzowi na dźwięk mego imienia drga powieka. Panna, która kiedyś zostanie moją żoną, będzie chadzać najbliższej cesarzowej i zasiadać przy cesarskim stole.

Mówiąc to, przeszył Jolantę wzrokiem tak, że pewnie zdrząłyby jej dłonie, gdyby nie była taka dzielna.

Ale ona pewnym krokiem podeszła do rycerza, siedzącego tuż obok Wolframa.

Był to młody mężczyzna, ubrany z wielkim przepychem i galanterią. Jego palce aż błyszcząły od pierścieni z diamentami, a na piersi zwisały ciężkie złote łańcuchy.

— Z wyglądu wnoszę, że jesteś pan potężnym i bogatym mężczyzną — powiedziała Jolanta, podając mu puchar. — Jakie jest twoje imię i skąd pochodzisz?

— Zwą mnie Friedrich von Emmerlingen — odpowiedział młody rycerz, wycierając wino z brody. — I nie ma w tym nic nadzwyczajnego, że wyznaczono mi wysokie miejsce przy stole twego ojca, bo mógłbym wyłożyć cały Freudenstein złotymi dukatami, a i tak moja kieszeń pozostałaby pełna. Ta panna, która kiedyś zostanie moją żoną, nigdy nie będzie nosić innych tkanin niż jedwab i aksamit, a jej tren będzie tak długi, że nawet sześciu paziów z trudem tylko go uniesie.

Mówiąc to, przebierał swoimi ozdobionymi diamentami rękami po złotych łańcuchach na piersi.

— No proszę — tyle tylko odrzekła Jolanta, przechodząc dalej z dzbanem.

Trzeci rycerz, któremu podała puchar, nie był najmłodszy. Miał ogorzałą twarz, tak gęsto pokrytą bliznami i szramami, że z miejsca stawało się jasne, iż nie tylko wiatry ją smagały. Gdy napił się wina, Jolanta zapytała:

— Jak ci na imię, okaleczony rycerzu? I skąd wzięły się wszystkie ślady i draśnięcia, które szpecą twą twarz?

— Zwą mnie Wilhelm, a urodziłem się w grodzie Hocheppan — odpowiedział rycerz.

— Ten, kto rusza na wyprawę wojenną, musi znieść bój, a przecież wręcz nie przystoi mężczyźnie, by miał twarz gładką i delikatną jak panna.

Wtedy Jolanta zaśmiała się.

— Pewne jest, że sporo mógłbyś o sobie powiedzieć, gdybyś tylko zechciał — rzekła.

Zamek, Uczta, Rycerz,
Alkohol

Rycerz, Pycha

Rycerz, Bogactwo

Rycerz, Odwaga, Walka

⁶¹*Hocheppan* — średniowieczna forteca we włoskiej prowincji Bolzano. [przypis edytorski]

⁶²*Sigmundskron* a. *zamek Firmiano* — średniowieczny zamek znajdujący się we włoskiej prowincji Bolzano. [przypis edytorski]

— Moje czyny mówią same za siebie — odpowiedział. — Nie wypada mężczyźnie opowiadać o tym, kim jest i co posiada. Dość powiedzieć, że z okien zamku Hocheppan widok ciągnie się aż po Merano⁶³ — dodał i uśmiechnął się.

— Kto wie, czy nie zjawię się tam pewnego dnia, żeby to sprawdzić — odparła Jolanta i ruszyła dalej.

Gdy uczta się skończyła, rycerze odjechali do swoich siedzib, ale postanowiono, że po zbiorach winogron znów pojawią się na zamku, a wtedy Jolanta obwieści, którego z nich wybrała na męża.

Kiedy więc owoce zostały zebrane i wino dojrzało, przelano je do beczek, a tego dnia, w którym miała się odbyć uczta, słońce weszło z takim blaskiem, że wrócono, iż świętujący cieszyć się będą wyłącznie jego światłem.

Wczesnym rankiem złocista kula miała przejrzystość szkła, pod którym kolory jesieni nabierały jeszcze większej wyrazistości. Gdy na wieżę wciągnięto białą chorągiew, zwiśla luźno z masztu, bo powietrza nie poruszał nawet najmniejszy powiew wiatru. Ale zza tyrolskich grzbietów wkrótce zaczęły się wyłaniać dziwne chmury i po niedługim czasie władca sylwetka góry Schlern⁶⁴ zniknęła we mgle. Wkrótce całe pasmo schowało się za zasłoną skłębionych obłoków i lunął deszcz.

Góry, Deszcz

A gdy w górach naprawdę zaczyna padać, to nie pada tam jak w innych miejscach. Kiedy obserwuje się ulewę z górskiego szczytu, naszym oczom zdaje się, że spada ona z niezmiernych wysokości i spływa na ziemię długimi obfitymi strugami. Jolanta stała w oknie zamku Freudenstein i przyglądała się temu, jak przybywa wody i jak stopniowo wypełnia ona całą dolinę Adygi.

Chmury sunęły nisko, zakrywając jeden po drugim górskie szczyty, a poziom wody w rzece podnosił się coraz wyżej i spienione strumienie i wodospady rwącą pianą gnały wzgórzami w dół. Księżniczka poczuła powiew zimnego powietrza od przesuwających się w dali mgieł; wodziła wzrokiem po pustych traktach, na których nie dało się teraz dostrzec ani jeźdźców, ani idących pieszo. Wtem zdało jej się, że ktoś porusza się w dolinie i zobaczyła drużynę rycerzy pędzących w galopie stromym traktem, prowadzącym z Hocheppan.

Jeźdźcy byli coraz bliżej i po niedługim czasie opuszczono most zwodzony, by mogli po nim wjechać Wilhelm z Hocheppan i Friedrich von Emmerlingen, którzy mimo deszczu dotarli w gościnę na zamku Freudenstein. Gdy już zmienili odzienie i zasiedli do stołu, Jolanta wystąpiła naprzód, by wznieść powitalny toast.

— Że też umiałeś tu przycwałować w taką pogodę! — powiedziała, podając puchar Friedrichowi von Emmerlingen. — Doprawdy nie przypuszczałam, że można odważyć się ruszyć w drogę w taką ulewę.

— Trzy razy byłem bliski tego, by zawrócić — odpowiedział rycerz Friedrich. — Ale pragnienie, by ponownie ujrzeć twoje oblicze, było silniejsze od wszystkich nawałnic na ziemi — powiedział, wychylając swój kielich do samego dna.

Gdy Jolanta podała puchar Wilhelmowi z Hocheppan, rzekła:

— Nigdy nie uwierzyłabym, że pokonasz tę stromą i niebezpieczną drogę z Hocheppan przy takim oberwaniu chmur, żeby napić się wina na zamku Freudenstein.

Ale rycerz Wilhelm uśmiechnął się i ujął kielich w dłoń.

— Czyżby padało? — powiedział mimochodem. — Doprawdy nie zorientowałem się, że kropi.

Oczy Jolanty błyszczały, gdy odbierała pusty puchar, a tego dnia tańczyła tak urzekająco i tak oszalamiająco śpiewała pieśni, że obaj zalotnicy złożyli obietnicę, iż powrócą w trzeci dzień świąt Bożego Narodzenia, by usłyszeć jej wyrok. Tego bowiem dnia miała ona powiedzieć „tak” jednemu z nich, a potem udać się ze swym wybrankiem do jego grodu, jako prawowita małżonka.

Nadeszła bezśnieżna zima. Można by sądzić, że w dolinie Adygi wciąż panuje piękna, choć zimna jesień. Ale tuż przed Bożym Narodzeniem zaczął sypać śnieg i opady z każdym dniem przybierały na sile. Drugiego dnia świąt zerwała się zamieć, a trzeci zaczął się taką burzą, jakiej do tej pory nikt jeszcze nie widział.

Zima, Nadzieja

⁶³Merano — alpejskie miasto uzdrowiskowe we włoskiej prowincji Bolzano. [przypis edytorski]

⁶⁴Schlern a. Sciliar — jeden ze szczytów w alpejskich Dolomitach. [przypis edytorski]

— Żaden śmiertelnik nie zdoła tu dotrzeć w taką pogodę — oświadczył rycerz Rudolph.

Nie kazał więc nakrywać stołów ani wystawiać wina.

Nawet chorągwi nie wciągnięto na maszt.

Wystarczyłyby jeden podmuch wiatru, by podrzeć ją na strzępy. Mimo to Jolanta przywdziała strój balowy i wkroczyła do sali rycerskiej w haftowanej złotem jedwabnej sukni z aksamitnym trenem.

— Spodziewasz się kogoś? — zapytał ojciec, chwytając ją za brodę. — Nie sądzisz chyba, że ktoś z twojego powodu odważy się stawić czoła żywiołom po to, by dobrzeć do Freudenstein w taki dzień jak ten.

— Jeśli ktoś prawdziwie mnie miłuje, nie czeka na łaskę nieba, lecz przybywa przez sztormy i śniegi, by dać dowód tego, że dotrzymuje słowa — odpowiedziała.

Ledwo wyrzekła te słowa, a już pod zwodzonym mostem rozległ się sygnał trąbki i zobaczono samotnego jeźdźca; biały od śniegu, wjechał galopem na zamkowy dziedziniec, a po chwili rycerz Wilhem z Hocheppan bez świty kroczył schodami na górę.

Wówczas Jolanta wybiegła mu na spotkanie i rzuciła się w jego ramiona. Jego ubranie było pokryte śniegiem, lecz ona nie zważała na to, że jego kosztowny strój został całkowicie zniszczony. Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go w usta, otoczone mokrym i pełnym grudką lodu zarostem.

— Wiedziałam, że przybędziesz! — wykrzyknęła. — Do ciebie jednego chcę należeć!

Rycerz Wilhelm przez trzy dni przebywał na zamku Freudenstein. W końcu niebo przejaśniło się tak, że mógł powrócić do Hocheppan. Ale w czasie letniego przesilenia miało się odbyć ich wesele.

W dzień ślubu wszystkie tarasy i ogrody uginały się od róż, a dzwony na zamku Freudenstein obwieściły, że Jolanta kroczy do ołtarza w zamkowej kaplicy u boku rycerza Wilhelma.

I tak nastął moment, w którym miała pożegnać się ze swoim ojcem i wsiąść na konia, by udać się do Hocheppan ze swoim nowo poślubionym mężem.

Stary rycerz Rudolph był bardzo wzruszony; po jego brodzie skapywały łzy, gdy Jolanta długo i bez słowa go przytulała. Ona sama jednak wyglądała na szczęśliwą i nie mogła płakać.

A gdy już miała dosiąść konia, jej mąż chwycił ją pośpiesznie w talii i posadził przed sobą.

— Teraz jest moja, a im jest bliżej mnie, tym lepiej będę mógł ją ochronić przed wszelkim złem.

Powiedziawszy to, ruszył przez zwodzony post, a za nim cała jego zacna świta.

Gdy opuścili Freudenstein, zorientowali się najpierw, że wisi nad nimi burza. Jeden grzmot następował po drugim, a pioruny krzyżowały się w dusznym powietrzu.

— Czy powinniśmy zawrócić? — zapytał rycerz Wilhelm swoją młodą żonę. — Zanosi się na okropną nawałnicę.

— Mój dom jest teraz w Hocheppan, więc jedziemy do domu — odpowiedziała Jolanta.

Wtedy Wilhelm dźgnął konia ostrogami i pogalopowali dalej.

Wkrótce jednak droga zrobiła się tak stroma, że zwierzę ledwo — noga za nogą — było w stanie iść naprzód. Grzmiał tak głośno, jakby niebo miało pęknąć na pół, a Jolanta musiała zamknąć oczy, żeby nie oślepiły jej pioruny.

— Czy chcesz, byśmy jechali dalej? — zapytał rycerz Wilhelm. — Do Hocheppan jeszcze daleka droga.

— Dobrze mi tu, gdzie siedzę — odpowiedziała Jolanta. — A jeśli pragniesz tego samego co ja, to jedziemy dalej w górę.

Wilhelm pochylił się i pocałował swoją żonę w czoło, po czym ciasniej otulił ją swoim płaszczem.

W milczeniu wspinali się dalej, bo jedno ledwo słyszało głos drugiego z powodu huczącej dokoła burzy. Silne powiewy wiatru raz po raz zmuszały rumaka, by się zatrzymał, i oboje czuli, że ryzykują życie, jadąc pod górę stromą drogą prowadzącą do Hocheppan, wyłożoną wielkimi, śliskimi kamieniami.

Miłość, Ślub, Wesele

Burza, Koń

Gdy koń wreszcie przeszedł przez kładkę, prowadzącą do stajni, Jolanta była ledwie żywa. Rycerz Wilhelm zdjął ją z siodła i zaniósł schodami na górę, pod wielkie okno, z którego rozciągał się widok na dolinę Adygi, Bolzano⁶⁵ i Merano. W tej samej jednak chwili uderzył piorun i przepołowił skałę znajdującą się naprzeciwko.

Wtedy Jolanta zaśmiała się i przytuliła się mocno do męża.

— Cóż, niech sobie grzmi i niech pioruny kruszą turnie — powiedziała. — Teraz już nic na świecie mnie nie wystraszy, bo jestem twoja. A ty potrafisz dosiąść konia w każdą pogodę.

MALENA I MALONA

Kilkaset lat temu w pobliżu wielkiego lasu mieszkało małżeństwo chłopów wyrobników. Mieli dwie małe córeczki, bliźniaczki; jedna miała na imię Malena, a druga Malona. Pewnego dnia ich ojciec się pochorował, a matka nie chciała zostawić go w pustym domu.

— Dziś, moje dziewczynki, same pójdziecie do kościoła — oznajmiła matka. — Nic złego was nie spotka, jeśli tylko będziecie szły prosto przed siebie. Gdy wyjdziecie z lasu, zobaczycie kościół na szczycie wzgórza.

Umyła i ubrała córki. Miały kwieciste kamizelki, spod których wystawały śnieżnobiałe rękawy koszuli, i krótkie zielone spódnice, a ich włosy opadały na plecy spod czerwonych czepców. W zawiniątku dostały od matki chleb i ser oraz dwa miedziane pieniądze, które miały rzucić na tacę w kościele.

Dziewczynki chwyciły się za ręce i ruszyły w drogę.

— Piękna dziś pogoda — powiedziała Malena, spoglądając na czyste letnie niebo.

— Prawdziwie niedzielna pogoda — odpowiedziała Malona.

Gdy już uszły kawałek drogi, zobaczyły wąską ścieżkę, która wiodła między sosnami i niejako sama wytyczała kierunek.

Malena stała bez ruchu, spoglądając w głąb lasu.

— A co, gdybyśmy poszły tą ścieżką? — powiedziała. — Wówczas o wiele szybciej doszłybyśmy na miejsce niż długim i nudnym duktem.

— Nie wiadomo, dokąd ta ścieżka prowadzi — powiedziała Malona. — Poza tym matka wyraźnie nam powiedziała: „Prostą drogą przez las”.

— Matka na pewno nie wiedziała, że ten skrót w ogóle istnieje — odpowiedziała pospiesznie Malena. — A ja mam taką szaleńczą ochotę pójść właśnie tędy. Idziesz ze mną, Malona?

— Idę drogą, którą kazała mi iść matka, a ty idziesz ze mną! — odpowiedziała Malona zdecydowanym głosem.

— Widzimy się przed kościołem! — zawołała Malena.

Zdażyła już wbiec na ścieżkę i wkrótce zniknęła między drzewami.

Malona wołała za nią, a ponieważ siostra nie odpowiadała, rozplakała się. Ale wtedy przyszło jej do głowy, że czas płynie i że pewnie spóźni się do kościoła, więc zaczęła biec co sił w nogach.

Po chwili spotkała na drodze chłopca. Miał gołą głowę i przedstawiał dość nieszczęsny widok.

— Dlaczego jesteś taki smutny? — zapytała Malona i zwolniła kroku.

— Ojciec posłał mnie, bym poszukał naszej krowy, ale nie mogę jej znaleźć, choć biegam już od kilku godzin tak, że aż krwawią mi stopy.

— Biedaku — powiedziała Malona. — Potrzebujesz pomocy? — dodała, chwytając chłopca za rękę, i ruszyła z nim do lasu. — A jak zwie się twoja krowa? — zapytała.

— Gwiazdka, ma się rozumieć — odpowiedział. — Ma białą gwiazdkę na czole.

Wtedy Malona zaczęła głośno śpiewać:

„Gwiazdko moja mała,
gdzieś mi się podziała?
Przestań się już chować,
tylko mi się pokaż.

⁶⁵Bolzano — miasto na północy Włoch, stolica autonomicznej prowincji o tej samej nazwie. [przypis edytorski]

Gwiazdko, piękna Gwiazdko!”.

Jej głos był tak jasny i dźwięczny, że ledwo skończyła piosenkę, a już usłyszeli muczenie krowy.

— To Gwiazdka — powiedział chłopiec i się uśmiechnął. — Jak nic zaraz tu będzie.

Ledwo przebrnęli przez zarośla, a już zobaczyli krowę, jak stała i przeżuwała zieloną trawę.

Ale nie była sama. Na ziemi, tuż przy niej, siedziała staruszka i doila mleko do niewielkiego korytka. Gdy dostrzegła dzieci, tak się przestraszyła, że o mały włos nie przewróciła się na trawę.

— Zlitujcie się nade mną, łaskawi państwo! — powiedziała drżącym głosem. — Ale byłam tak głodna i spragniona, że nie umiałam się powstrzymać i musiałam sobie upuścić kroplę mleka. Byłam pewna, że ta błogosławiona krowa spadła mi z nieba.

— Napij się mleka! — zachęciła ją Malona. — A tu jest chleb i ser.

I wyciągnęła zawiniątko z jedzeniem, który dostała od rodziców dla siebie i Maleny.

Staruszka jadła wolno, a Malona czekała jak na szpilkach. Pomyślała, że prawdopodobnie zaczęto już dzwonić na mszę i że teraz na pewno się spóźni.

Gdy staruszka posiliła się, wstała i zaczęła iść, lecz kiedy Malona zapytała, dokąd się wybiera, odpowiedziała:

— Myślałam, żeby iść do kościoła, ale starej biedaczce, takiej jak ja, trudno jest tam dojść samej.

— W takim razie ci pomogę! — powiedziała Malona i wsunęła jej dłoń w swoją. Tymczasem chłopiec tak się cieszył, że odnalazł swoją krowę, iż przytulał ją teraz i całował w jej białą gwiazdkę na czole.

— Dzięki! — rzucił pośpiesznie. — Teraz pobiegnę z nią do domu, do ojca!

I jak powiedział, tak zrobił.

Melona nawet nie pomyślała, że staruszka może iść tak przeraźliwie wolno.

Ledwo powłóczyła nogami, a po każdym kroku przystawała, kaszląc i utyskując.

— Było się kiedyś piękną i młodą! — rzekła, kiwając głową. — Ale nikt nie ucieknie przed czasem, a niekiedy człowiek ledwo trzyma się w kupie i jest jak moja stara, rozwalająca się chata. Spójrz, tam mieszkam! — powiedziała i wskazała łaską coś, co prawdopodobnie było kiedyś budynkiem mieszkalnym. Teraz stała tam nędzna rudera; drzwi wypadły z zawiasów i zwisały krzywo, a jedyne okno, które dało się dostrzec, było tak małe i brudne, że nie przecisnąłby się przez nie nawet jeden promień słońca. Rozwalony komin wyglądał tak, jakby zdewastował go ogień, a wokół chaty rósł cierń i ostrożeń i ledwo dało się podejść pod drzwi.

— Oto i moja królewska twierdza — powiedział staruszka i zaśmiała się szyderczo. — No i po zabawie.

Malonie tak się jej zrobiło żal, że najzwyczajniej w świecie zapomniała, jak powoli szły, zanim tu trafiły. A po drodze usłyszały przerażający hałas.

Zobaczyły dwóch chłopców, którzy się bili. Jeden przewrócił drugiego i ciągnął go teraz za włosy, przyciskając kolanem do ziemi.

— Jeśli w trymiga nie oddasz mojej monety, to połamię ci żebra — wrzeszczał.

— Nie wiem, co się z nią stało! Nie mam pojęcia! — jęczał chłopak, leżący w pyłe drogi.

— To może nie wiesz też, że mi ją wyrwałś? — zawołał napastnik i na tego, który się przewrócił, posypał się grad ciosów.

Malona zatrzymała się i chwyciła za swoją sakiewkę. Wyciągnęła dwa miedziaki, które dostała od matki na tacę.

— Patrzcie! — zawołała. — Każdy z was dostanie po monecie, jeśli przestaniecie się kłócić.

Chłopak, który miał przewagę, od razu puścił drugiego, tak że tamten mógł wstać z ziemi. Miedziane monety były nowe i błyszcząły w słońcu, a obaj walczący czym prędzej je capnęli.

— Zobaczcie! — powiedziała Malona — dałam wam wszystko, co miałam, więc teraz wy musicie pójść z nami i bronić nas w drodze go kościoła.

Starość, Dom, Przemiana,
Bieda, Czas, Ruiny

Bijatyka

— O nie, nie możemy tak się wlec! — odrzekł jeden z chłopców.

— Ale moglibyśmy biec przed wami, by torować wam drogę? — powiedział ten drugi.

I obaj pognali przed siebie, podczas gdy Malona szła wolno z ręką staruszki wsuniętą pod ramię. Zdało się jej teraz, że słyszy odległe bicie dzwonów w kościele. Bim-bam, bim-bam. A zza drzew na wzniesieniu wyrzała kościelna wieża.

Tymczasem Malena biegła przez las. Był najcudowniejszy letni dzień, pachniało trawą i ziołami, topole i brzozy prześcigały się, by wypełnić powietrze najmiłszą wonią, a wielkie sosny wypaczały gorącą żywicę, która też przepięknie pachniała.

— Ach, jakże cudnie tu być! — powiedziała Malena i upadła na kolana.

— Posłuchaj, dziewczynko! — zawołał ktoś w tej samej chwili. — Podejdz no tu, to coś ci opowiem!

Malena podniosła oczy i zobaczyła drozda, który siedział na wierzchołku świerka i przyglądał się jej z góry.

Podbiegła do drzewa i stanęła pod nim, by posłuchać. Długi czas ptak nic nie mówił, w końcu jednak otworzył dziób i zaśpiewał:

„Tju tju tju! Czy wiesz, co to jest las?

Konwalie i borówki.

Tjo! Tjo! Płonie słońce na błękitnym niebie,

Tańcz, dziewczynko, na paluszkach,

Ale uważaj! Mogę cię złapać,

za fałd spódnicy chwycić mógłbym ciebie.

Tjo, tjo! Przez dzień cały wyśpiewuję trele,

Czy pojmujesz, panienko, me śpiewy?

Dobrze jest śpiewać i latać.

Podążaj za mną w gęste leśne zarośla,

gdzie cisza przechadza się samotnie

i depcze nieśmiało kwiaty.

Czerwone róże i jagody czerwone;

widzisz, jak piękny jest las!

Jesienią zbierzemy orzechy.

Ale nie chodź boso,

bo tu się roi od jadowitych węży,

mogą pokąsać ci stopy”.

— Ale ja mam skarpety i buty! — powiedziała Malena i uniosła w górę sukienkę.

— One są przebiegłe! — odrzekł drozd. — Więc i tak mogłyby ci pogryźć kostki.

— Ach, co ty wygadujesz! — zachnęła się Malena i zatupała nogami.

— Posłuchaj! — mówił dalej drozd. — Czy byłaś kiedyś w naprawdę głębokim lesie? Powiem ci, że jest tam niewielkie uśpione jezioro, w którym jest co niemiara lilii wodnych. A przy brzegu rybak zostawił swoją łódź. Widziałem ją przed chwilą, gdy tamtędy przelatywałem. Chodź, pokażę ci drogę!

Malena pomyślała, że to może być nawet zabawne, więc pobiegła po miękkim mchu za lecącym przed nią ptakiem.

Las robił się coraz ciemniejszy i bardziej cichy, ale nagle rozjaśniło się i oczom Maleny ukazało się niewielkie migoczące jezioro. Było tak przejrzyste, że drzewa, które stały dookoła i odbijały się w jego tafli, myślały, że są bardzo proste i rosłe. Pływał tam cały ogród lilii wodnych. Leżały nieruchomo na wielkich, podobnych do tarcz, liściach i wpatrywały się w letnie niebo.

— O tam, spójrz, jest łódź, z wiosłami i wszystkim, czego tylko trzeba. Teraz już sobie poradzisz — zaśpiewał drozd. — Więc żegnaj i baw się dobrze! — dodał i odleciał.

Malena rozejrzała się dookoła. Panowała tam taka cisza, jakby na całym świecie była tylko ona. Niespiesznie wsiadła do łodzi, kołyszącej się przy brzegu.

Kwiaty, Niebezpieczeństwo,
Ucieczka

W środku było sporo wody, więc zaczęła ją wylewać czerpakiem⁶⁶, który leżał na rufie. Za każdym razem, gdy go opróżniała, podskakiwała na dźwięk wody, która wpadała do jeziora. Gdy łódź była sucha, Malena usiadła w niej ostrożnie, chwyciła wiosła i ruszyła przez czarne fale. A kiedy dopłynęła do lilii, wychyliła się z łodzi, by je pozrywać — ale to nie było takie łatwe, jak przypuszczała. Ich długie, sztywne łodygi tkwiły mocno na dnie i gdy już dziewczynka chwyciła jakiś kwiat w dłonie, ten znów wyslizgiwał się jej i szedł pod wodę. Malena coraz bardziej się niecierpliwiła; z wysiłku poczerwieniała na twarzy, szarpiąc i rwąc długie łodygi, które wyciągała wysoko nad powierzchnię wody. Wreszcie udało jej się mocno złapać jakiś kwiat. Zerwała go i rzuciła na swoje łono. Ale w tej samej chwili poruszyły się wszystkie pozostałe lilie. Niczym żyjące istoty stłoczyły się wokół łodzi. Podniosły głowy, a ich długie łodygi zaczęły podpełzać do Maleny. Wijąc się i płózając, wślizgnęły się do środka łodzi i teraz przemieszczały się w górę nóg Maleny, oplatając ją aż do wysokości ramion. W końcu jeden z wodnych kwiatów owinął swoją długą i giętką łodygę wokół jej szyi.

Dziewczynka wydała z siebie rozpaczliwy okrzyk i zaczęła wiosłować ze wszystkich sił — aż dopłynęła na drugą stronę jeziora. Tam wyskoczyła na ląd i zepchnęła łódź daleko od brzegu, po czym zaczęła biec co sił w nogach.

Gdy już straciła z oczu jezioro, zatrzymała się na chwilę, żeby złapać oddech; zorientowała się, że stoi w najpiękniejszym brzożowym zagajniku. Po każdym pniu piął się w górę krzak dzikiej róży, a ponieważ właśnie było lato, wszystkie drzewa stały w kwieciu.

Nagle w jednym z krzaków coś dziwnie zaszeleściło, a spośród brzożowego listowia i różanych kwiatów wypełzło niewielkie stworzenie. Malena nigdy jeszcze nie widziała niczego podobnego. Przypominało nieco niewielką dziewczynkę, ale nie miało ubrań. Jedynie zwiewny jasnozielony welon spowijał jej ciało, a włosy na głowie kłębiły się niczym chmura słonecznych promieni. To musiała być rusalka.

Nie zważając na Malenę, pomknęła przez trawę i zniknęła pod wiszącą brzożą. Ale tuż potem z lasu wyłoniły się dwie inne niewielkie istoty, podobne do niej. Wtem ze wszystkich stron zaczęły nadciągać malutkie rusalki, biegnąc rozpędzone w tańcu.

W zagajniku była niewielka otwarta przestrzeń, okolona brzożami, i tam właśnie zaczęły się teraz najbardziej magiczne płasy. Rusalki raz tańczyły w wielkich kołach, to znów podskakiwały w górę niczym koniki polne lub bzycały w powietrzu jak osy, bo niektóre z nich miały niewielkie przezroczyste skrzydła.

Czasem któraś z nich zatańczyła sama, podczas gdy inne się przyglądały, a potem znów tworzyły wspólnie krąg. Wirowały coraz szybciej i szybciej, jednocześnie śpiewając i śmiejąc się od czasu do czasu. To był najdziwniejszy śpiew. Brzmiał, jak krople tryskające ze źródła, jak pszczoły, gdy bzyczą w kwiatach lipy, a jednak powstawały z tego prawdziwe melodie, jak gdy ktoś na przemian gra bardzo powoli i szybko na wydających najwyższy ton strunach skrzypiec.

Malenie zdało się, że jeszcze nigdy nie słyszała czegoś tak zachwycającego i zamiast schować się pod liście, szła przez łąkę coraz dalej przed siebie, żeby lepiej widzieć i słyszeć. Nagle taniec i muzyka zamaryły. Rusalki szeptały coś do siebie, po czym ruszyły prosto na Malenę. Zupełnie jakby obsiadł ją cały pszczeli rój. Przewróciła się na ziemię i teraz czuła, jak wszystkie tańczą po niej. Ich niewielkie stópki chodziły po jej ramionach, piersiach i twarzy.

W końcu wydało jej się, że nadciągają tysiącami, i leżała zupełnie bez ruchu, pewna, że umrze.

Rusalki coraz szybciej poruszały nogami, a muzyka rozbrzmiewała coraz głośniej i głośniejszej — do chwili, w której wszystko nagle ustało.

Malena otworzyła oczy. Znajdowała się sama w cudnie pachnącym brzożowym gaju, a wszystkie kwiaty dzikiej róży uśmiechały się do niej.

Mogłoby się jej wydawać, że to wszystko było tylko snem, gdyby nie fakt, że na ramionach i nogach miała mnóstwo sinych i zielonych śladów, jakby ktoś szczypał ją po całym ciele.

⁶⁶czerpak — narzędzie służące do nabierania, mieszania i przelewania płynnych produktów. [przypis edytor-ski]

Gdy podniosła się z ziemi, była tak obolała i obita, że nie mogła już biec tak szybko jak do tej pory. Powoli ruszyła dalej przez las.

— Gdybym tylko umiała się stąd wydostać! — westchnęła. — Gdybym choć zobaczyła kościół, żeby wiedzieć, w którą stronę mam iść!

Wyszła na szerszą drogę. Były na niej nawet ślady koni i wozów, więc na pewno zaprowadziły ją do ludzkich siedzib. I gdy tak maszerowała, napotkała osobliwą kobietę — młodą i piękną, ale bardzo biednie ubraną. Miała na sobie prosty, skromny strój z lnianego płótna. Rozpuszczone włosy opadały jej na plecy i sięgały brzegu spódnicy. Na widok Maleny zatrzymała się i nisko dygnęła.

Dziewczynka sądziła, że kobieta chce ją o coś zapytać, ale ta nic nie mówiła.

— Czy wiesz może, dokąd wiedzie ta droga? — zaczęła Malena.

— Oczywiście, że wiem! — odpowiedziała nieznajoma. — Idzie się nią i idzie, i w końcu dochodzi się tam...

— Gdzie „tam”? — zapytała Malena, spoglądając na kobietę.

— Tam, dokąd się idzie, ma się rozumieć — odpowiedziała nieznajoma i roześmiała się.

Miała przepiękne usta i śnieżnobiałe zęby. Zatem co sprawiało, że jej oczy miały taki dziwny wyraz?

Ach, tak! Przecież ona nigdy nimi nie mrugała.

— Dlaczego nie mrugasz oczami? — zapytała Malena, wlepiając w nią wzrok. — Przecież powinnaś choć czasem zamrużyć!

— A na co by się to zdało? — odpowiedziała kobieta. — Do czego miałabym mrugać?

— Ależ ty dziwnie mówisz — powiedziała Malena z powagą. — I kim tak właściwie jesteś? Panią domu czy panną?

— Ani panią, ani panną — odparła nieznajoma. — Jestem władczynią lasu, *skogsrå*⁶⁷, ale nigdy nie miałam małżonka i nie zamierzam wychodzić za mąż.

— Władczynią lasu! — powtórzyła Malena. — W takim razie jesteś czymś przerażającym!

— Zależy, jak na to patrzeć! — odpowiedziała leśna pani i językiem zgarnęła do ust liść, który właśnie zerwała. — Jak dla mnie to wcale nie jest przerażające! Raczej wesołe. Tutaj, w lesie, można robić, co się chce. Moim zdaniem ludzie są niewymownie nudni i głupi. Zostań tu ze mną, to się zabawimy!

Popatrzyła na Malenę swoim przedziwnym, zimnym spojrzeniem i uśmiechnęła się.

— Dziękuję bardzo, ale muszę pędzić do kościoła. Czeka tam na mnie moja siostra, Malona. Pewnie już dość długo — odpowiedziała Malena.

— Dlaczego więc mówisz: „Dziękuję bardzo”, skoro nie chcesz przyjąć mojego zaproszenia — powiedziała *skogsrå* i szarpnęła Malenę za włosy. — A Malona niech sobie poczeka, bo zdaje się, bardzo to lubi. Spójrz na to! — dodała, sięgając do swojej kieszeni. — Spójrz, mam tu jabłko, naprawdę smaczne i dojrzałe zimowe jabłko. Jak będziesz miła, to dam ci ugryźć!

I podała Malenie okazały, jędrny, żółte-czerwony owoc. Dziewczynka pomyślała, że jabłko wygląda bardzo kusząco i wbiła w nie zęby, ale ledwo je ugryzła, przypomniała sobie, że ten, kto zje jabłko, które ofiarowała *skogsrå*, jest nieodwracalnie stracony — więc prędko wypluła wszystko na drogę.

— Gardzisz moim najpiękniejszym jabłkiem! — wykrzyknęła tamta.

Jej oczy miały pioruny i wysunęła w stronę Maleny język. Wyglądem przypominała rysia, który szykuje się, by zabić jakiegoś małego ptaszka.

Dziewczynka nic nie powiedziała. Rzuciła się do ucieczki i biegła co sił w nogach. Ale *skogsrå* ruszyła za nią w pogoń. Malena wyraźnie słyszała jej nagie stopy przeskakujące po kamieniach.

W jednej chwili las się przerzedził i już, już Malena widziała przed sobą otwartą przestrzeń i kościół wysoko na wzgórzu.

Gdy odwróciła głowę, z tyłu nie było już nikogo. Słyszeć dał się jedynie szum wysokich sosen.

Ze wzgórza rozbrzmiewały dzwony — bim-bom, bim-bom — a drogą, wiodącą do

Czarownica, Las, Władza

Jabłko, Zabobony

Ucieczka

Siostra, Spotkanie

⁶⁷*skogsrå* — postać z mitologii nordyckiej i folkloru Szwecji, znana jako „pani lasu”. [przypis edytorski]

bram kościoła, szła Malona, prowadząc staruszkę pod rękę.

Właśnie miały wejść do środka, gdy dogoniła je Malena.

— Ach, najdroższa! Że też jednak udało mi się dotrzeć na czas! — powiedziała, a serce waliło jej jak młotem, tak szybko tu biegła. — Kochana siostrzyczko, przepraszam, przepraszam! Byłam tak głęboko w lesie. I niewiele brakowało, a zostałabym tam na zawsze.

— Cóż mam ci powiedzieć! — odrzekła Malona i ucałowała siostrę. — I ja nie poszłam prostą drogą, i rozdałam wszystko, co dała nam na drogę matka: ser i chleb, i miedziane monety. Teraz nie mamy co rzucić na tacę!

W tej samej chwili w świątyni pięknie zagrały organy.

— A co tam! — odpowiedziała Malena. — Najważniejsze, że jednak spotkałyśmy się u bram kościoła.

I tak w milczeniu weszły razem do środka.

WĘDRÓWKA NIEWINNEJ

Była sobie kiedyś mała księżniczka. Miała tylko cztery lata. Nadano jej imiona Anna Jolanta Isabella Elisabeth Maria Katrina Inez Beatrice. Było ich zatem wiele, ale i wiele matek chrzestnych, po których je przejęła. Sama mówiła o sobie po prostu Bella; i tak długo, jak była mała, pozwalano jej używać tego właśnie imienia.

Mieszkała z rodzicami w królewskim zamku, wzniesionym na skraju wielkiego lasu.

Wieczorami księżniczka zawsze kąpała się w marmurowej wannie, która stała w eleganckiej, pięknej łazience. Dokładnie o siódmej wieczorem przychodziła jej piastunka i zabierała ją z ogrodu, gdzie przez całe popołudnie Bella bawiła się wśród kwiatów. Jest jednak tak, że małe dzieci rozmyślają dużo więcej, niż się zdaje dorosłym, a zatem i mała księżniczka miała swoje refleksje.

— Strasznie nudno jest chodzić spać, gdy na dworze wciąż jest jasno, a wszyscy dorośli są jeszcze na nogach, rozmawiają ze sobą i się śmieją — mówiła sobie. — Nie chce kłaść się pod koldrę, gdy zjawi się moja niania.

Rozejrzała się dokoła i jej spojrzenie padło na mostek, biegnący nad niewielkim strumieniem. Po jego drugiej stronie była ścieżka, prowadząca do dużego, dzikiego lasu. Tam znikala wśród drzew. Księżniczka siedziała cicho jak trusia na trawie i stukala kilkoma kamieniami, które znalazła. Jej piastunka wiedziała, że dziewczynce nic nie grozi, odeszła więc kawałek dalej, do kuchennego okna, by porozmawiać z kucharzem. Ledwo jednak odwróciła się plecami, a już mała księżniczka zerwała się i pobiegła tak szybko, jak tylko niosły ją jej małe stopy, przez kładkę i wpadła do lasu. Zatrzymała się dopiero w głębokim cieniu pod sosnami, które okalały dużą, porośniętą mchem polanę. Miała na sobie białą jedwabną sukienkę. Jej szyję zdobił długi sznur okrągłych mlecznych pereł, a na jasnych rozpuszczonych włosach nosiła niewielką złotą koronę, która skrzyła się blaskiem klejnotów. Na nogach miała białe jedwabne pończochy, a na stopach haftowane trzewiki z tego samego materiału. Biegła tak szybko, że aż poczerwieniła na twarzy i z trudem łapała oddech.

— Ale tu jest pięknie! — powiedziała głośno i klasnęła w dłonie. — Porządnie się spociałam! — Rozpięła wszystkie guziki sukienki i pozwoliła jej opaść na ziemię. — Teraz trzeba ją ładnie złożyć — rzekła do siebie. — Tak, jak nauczyła mnie niania. — Po czym ostrożnie złożyła sukienkę i położyła ją na kamieniu; pod spodem miała jedynie kusą lnianą koszulkę, ale zaśmiała się zadowolona. — Ach jak przyjemnie i chłodno! — powiedziała i poklepała się po piersi, po czym usiadła na ziemi i spojrzała w górę, na drzewa. — Strasznie jesteście wysokie! — stwierdziła, zadzierając głowę i patrząc na wierzchołki sosen.

— Jesteśmy sędziwe! — rozległ się szept w koronach drzew. — Widziałyśmy bardzo wiele księżniczek, które dorastały, potem starzały się i umierały, a cały czas pojawiają się nowe.

— Za to nie potraficie biegać tak jak ja — powiedziała księżniczka, podrywając się w górę.

A potem ruszyła pędem w głąb lasu. Ale przewróciła się w swoich bucikach z obcasem, więc usiadła na mchu i zdjęła je, a także pończochy.

Dziecko, Rodzina, Zamek

Dziecko, Dzieciństwo

Dziecko, Las, Ucieczka

— Mogą tu sobie leżeć i poczekać, aż wrócę! — powiedziała i postawiła swoje ma-
lutkie buty starannie jeden obok drugiego na równo złożonych pończochach. — Ale
przyjemnie jest biegać boso! — zawołała, gdy jej malutkie, różowe stópki gnały po mchu.

Las był cudowny. Słońce w całej swej krasie stało wysoko na niebie, a poprzez drzewa
na ziemię sączyły się tysiące złotych plamek. Między gałęziami prześwitywało jezioro,
położone u stóp wniesienia; mieniło się i świeciło niespokojnymi srebrnymi smugami.
Poza tym panowała cisza, niczym niezmacona cisza. Poruszał się jedynie zapach sosen
i świerków, który falami przeciskał się przez ciepłe powietrze.

— Pięknie pachnie! — powiedziała księżniczka, biorąc głęboki oddech. — Pięknie
od pachnidła w sypialni mamy i od kadzidła w kościele!

I tak dotarła do zbocza, porośniętego krzakami malin. Owoce były już dojrzałe, więc
dziewczynka wsunęła się między krzaki i z zapalem zaczęła je zrywać i jeść.

Nagle jej naga stopa trafiła na coś śliskiego; w tej samej chwili źmija podniosła się
i spojrzała na księżniczkę intensywnie swoimi żółtymi oczami, a jej rozwidlony język
poruszał się groźnie w stronę Belli.

— Coś ty za jedna? — zapytała księżniczka, opuszczając dłoń, którą wyciągnęła, by
zerwać malinę. — I co się tak gapisz?! Co tak wystawiasz język?! Ja też tak potrafię, patrz
tylko! — I wytknęła swój mały różowy język.

Żmija osunęła się na ziemię; wiła się teraz, oplatając stopy dziewczynki.

— Piękna jesteś! — powiedziała księżniczka, kucając. — Masz taką lśniącą skórę.
I jakie wymyślnie zawijasy potrafisz robić! Chodź, potańczymy sobie!

Zdawało się, że źmija się uśmiechnęła, dziwnym, wrednym uśmiechem, ale już po
chwili zaczęła pełzać w przód i w tył po mchu. Bella uniosła w górę halkę, które sięgała
jej ledwie do kolan, i zaczęła śpiewać:

„Nie biegamy, nie chodzimy,
Lekko na paluszkach tańczymy”⁶⁸.

Jej małe okrągłe nagie stópki ruszyły w najzabawniejszych podskokach, a ręce trzymała
uniesione wysoko nad głową, śmiejąc się serdecznie na cały głos. Żmija była coraz bardziej
oczarowana jej tańcem i wiła się w najdziwniejszych skrętach.

Ale nagle jakby opadła z sił. Zrobiła coś zupełnie innego — wyciągnęła się na całą
swej długości, grzechocząc, i tak wślizgnęła między krzaki malin.

— Ach tak, szybko się zmęczyłaś — zawołała za nią księżniczka. — A ja nie, ja nie!
I zaśpiewała jeszcze głośniejsze, kręcąc się i wirując na mchu:

„Nie biegamy, nie chodzimy,
Lekko na paluszkach tańczymy”.

W końcu stanęła i znów zaczęła zrywać maliny. Gdy już nie była w stanie nic więcej
zjeść, zebrała wszystkie w lewej dłoni.

— Te będą dla mamy i papcia — powiedziała i pomaszerowała dalej.

Ale nie uszła za daleko, gdyż usłyszała, że ktoś człapie w jej stronę przez leśne zarośla.

„To pewnie papcio przyszedł po mnie, żeby mnie zaprowadzić do łóżka!”, pomyślała
i zatrzymała się. Ale to nie był jej ojciec, tylko ogromny, zwalisty niedźwiedź. Stał kawałek
od dziewczynki i wpatrywał się w nią swoimi niewielkimi przebiegłymi oczami.

— A co to za osiłek! — wykrzyknęła księżniczka. — Taki wielki brytan! Gdybym
tylko miała trochę chleba, bo malin to pewnie nie jadasz, prawda? — zapytała i wycią-
gnęła dłoń w stronę niedźwiedzia. — Masz ochotę na maliny, przyjacielu? — zapytała
serdecznie. — Tylko tym cię mogę poczęstować.

Niedźwiedź przyczłapał do księżniczki i zaczął wyjadać maliny, które mu podsunęła.
Delikatnie oblizywał jej drobne palce, a potem zaciekawiony spojrzał na dziewczynkę.

⁶⁸Nie biegamy, nie chodzimy, Lekko na paluszkach tańczymy — fragment tradycyjnej szwedzkiej piosenki
ludowej. [przypis edytorski]

— Nie za ciepło łaźć w ten skwar w takim grubym futrze? — zapytała i przeciągnęła ręką po gęstej niedźwiedziej sierści. — Mój ty biedny osiłku! — dodała czule i pocałowała niedźwiedzia w nos. — Porządnie się spociesz! A do tego nie możesz zdjąć ubrania i położyć na kamieniu jak ja moją sukienkę!

Niedźwiedź zamruczał niemrawo, ocierając się o księżniczkę, ale nagle odwrócił się i powiedział coś, czego nie rozumiała. Z zarośli wygramoliły się dwa małe niedźwiadki. Wyglądały jak dwie duże żywe mufki, niezdarne i nieporadne w swoich ruchach, co stanowiło bardzo zabawny widok.

— Ach, ależ z was słodziaki! — zawołała księżniczka. Uklękła i objęła oba niedźwiadki za szyję. — Czy to twoje dzieci? — zapytała dużego niedźwiedzia, a ten uśmiechnął się łagodnie, jakby chciał powiedzieć: „To chyba widać”. — Nie mam już malin, żeby im dać — zmartwiła się księżniczka. Ale mogę was zaprowadzić tam, gdzie rosną, to nazrywacie sobie, ile chcecie. — Pobiegła przodem, a niedźwiedź i maluchy poczłapały za nią. — Patrzcie tylko! — powiedziała, gdy dotarli do malinowego chruśniaka. — Macie naprawdę smaczne i dojrzałe owoce! — Rozgarnęła gałęzie i obróciła spodem w górę tak, że ich oczom ukazały się wszystkie maliny. — Pałaszujcie, dzieciaki! — powiedziała do niedźwiadków, które wdrapały się po jej nogach i rzuciły łakomie na maliny, tak że księżniczka z trudem utrzymała równowagę; języki zwisały im między białymi zębami, a z łączności na widok tyłu owoców aż rozjeżdżały im się oczy. — Dobrze już dobrze! Opanujcie się trochę, niedźwiadki — upominała je, gdy przeciskały się coraz głębiej w krzaki.

Stary niedźwiedź kroczył obok, pomrukując. Zdawał się mówić: „Naprawdę miła z ciebie dziewczynka, skoro pomagasz moim dzieciom narwać sobie malin”.

Wtem jednak między niedźwiadkami rozpętała się bójka o gałąź, która aż ugięła się od owoców. Rzuciły się na siebie, gryzły się i ciągnęły się za uszy, i z wściekłości zupełnie zapomniały o wybornym posiłku.

Stary niedźwiedź chciał je rozdzielić, ale te popędziły w las, a on za nimi. Księżniczka znów stała sama na zboczu góry.

I tak ruszyła dalej przed siebie, podśpiewując krótką piosenkę:

„Ku-ku, ku-ku kukułka kuka.

Jaskółki krzyczą wi, wi, wi.

Strzeż się gołąbku! — jastrząb huka.

Zmykaj stąd prędko! A frrrry!”.

Nagle dotarły do niej głosy, które brzmiały jak rozmowa wielu ptaków. Zatrzymała się, wyciągnęła szyję i nasłuchiwała.

W tej samej chwili poczuła, jak coś zatrzepotało nad jej głową i pociągnęło ją za włosy. I zorientowała się, że nie ma na głowie korony.

— Oj, oj, moja piękna korona! — krzyknęła i złapała się za głowę obiema rękami, a gdy spojrzała w górę, zobaczyła kruka, który odleciał wysoko na suche drzewo z jej koroną w dziobie. — Oddawaj moją złotą koronę! — zawołała księżniczka do ptaka. — Nie wolno ci jej zabierać!

— Spokojnie, dziewczynko! — odpowiedział czarny ptak, który zdążył już schować zdobycz w gnieździe i teraz siedział na jego brzegu, spoglądając w dół na księżniczkę. — Nie dla siebie buchnąłem twoją koronę, a dla moim biednych piskląków, które nie mają się czym bawić.

— Masz dzieci? — zapytała księżniczka. — A gdzie one są?

— Leżą tu, w gnieździe — zakrakał kruk — bo jeszcze nie potrafią latać.

— Ach, pokaż mi je! — powiedziała księżniczka i klasnęła w dłonie. — Uwielbiam małe dzieci, są takie rozkoszne!

Kruk wleciał do gniazda, a po chwili wyjrzały z niego głowy czterech czarnych piskląków.

— To te twoje dzieci? — zapytała księżniczka. — Ależ one są brzydkie!

— Brzydkie? — powtórzył urażony kruk. — Jeśli tak sądzisz, to znaczy, że nie masz krzty dobrego smaku.

— Jestem bardzo mała — odpowiedziała dziewczynka. — Mam tylko cztery lata, więc pewnie niewiele rozumiem.

Ptak, Kradzież, Klejnot

— Rzeczywiście, na to wygląda — odpowiedział ptak.
— A czy twoje dzieci potrafią śpiewać? — zapytała księżniczka.
— Jeszcze nie do końca się nauczyły, ale mają piękne głosy — odpowiedział kruk.
— Ach, to poproś, żeby zaśpiewały dla mnie jakąś piosenkę! — powiedziała, składając ręce. Uwielbiam, gdy ktoś mi śpiewa.

— Poczekaj chwilkę! — odrzekł kruk. — Muszę im najpierw podać ton.

Widać było, że instruuje młode w gnieździe, bo rozległo się w nim krakanie, które zdawało się nie mieć końca. Potem jednak zapadła cisza, a ptak wyleciał i siadł na skraju z dwoma młodymi, które ulokowały się po obu jego bokach. I tak razem zaczęły śpiewać:

„Kra, kra, kra kraczemy naraz,
Wszystkie zaśpiewamy zaraz,
Kra kra kra”.

— Czy to wszystko? — zapytała złękciona księżniczka.

— Bez trudu możemy to zaśpiewać jeszcze raz — oznajmił kruk.

— Ależ nie trzeba, dziękuję — odpowiedziała. — Nie mogę tu dłużej zostać, muszę wrócić do domu przed zachodem słońca — dodała i pobiegła w dół zbocza.

Jezioro poniżej robiło się coraz jaśniejsze i przeświecało między pniami drzew. Teraz księżniczka chciała zobaczyć, jak wygląda brzeg. Słońce przesunęło się o wiele bliżej horyzontu, tafla, po której pływał cały las liści lilii wodnych z białymi kwiatami zwróconymi w stronę blasku promieni, świeciła jak wielka srebrna tarcza. W szuwarach skryły się dzikie łabędzie, które chłodziły się w pluskach fal.

— Ach, jakie piękne białe kwiaty! — zawołała księżniczka i już miała wbiec na liście, żeby nazrywać sobie lilii.

Ale wtedy z szuwarów wyłonił się łabędź.

— Nie chodzić po wodzie! Nie chodzić po wodzie! — zawołał i wyciągnął szyję w stronę dziewczynki. — Utopisz się, mała słodka księżniczko. Ale jeśli zechcesz usiąść mi na grzbiecie, popłynę z tobą między kwiaty i nazrywasz ich sobie, ile tylko zechcesz.

Bardzo się to księżniczce spodobało. Wdrapała się na grzbiet łabędzia, zdjęła swój długi perłowy naszyjnik i oplotła go jak lejce wokół jego szyi. I już po chwili ptak pomknął jak strzała po jeziorze. Woda bryzgała na małe, gołe stopy księżniczki, ale ona nic sobie z tego nie robiła i bardzo jej się podobała taka jazda, a gdy tak sunęli między liliami, zebrała całą naręcz kwiatów. Pośrodku jeziora była wysepka, na której rosły wielkie dęby i jałowce, które wyglądały jak piramidy.

— Popłynę tam — powiedziała, wskazując paluszką wyspę. — Chcę tam usiąść na trawie i upleść sobie wianek z tych wszystkich białych kwiatów.

Łabędź ciął wodę i w końcu dobił do kilku płaskich kamieni, po których dało się zejść na ląd. Księżniczka zeskoczyła z jego grzbietu i pobiegła między cieniste drzewa.

— Twój naszyjnik! Twój naszyjnik! — zawołał za nią ptak.

— Możesz go sobie zostawić na pamiątkę po mnie! — odpowiedziała księżniczka i pomachała do łabędzia, po czym podreptała między dęby.

Tam usiadła w wysokiej trawie i zaczęła pleść wianek. Ale wcale jej to nie wychodziło. Po pierwsze nie miała nici, więc próbowała poskręcać ze sobą łądygi, a po drugie lilie zaczęły już więdnąć. Nie lubiły oddalać się od falującej wody, więc powieszały swoje ciężkie i posępne głowy.

Dziewczynka zaplatała kwiaty z coraz większym zapalem, ale ponieważ jej się to nie udawało, rzuciła wszystkie lilie na ziemię i zaczęła płakać. Gdy usłyszała swój własny płacz, zrobiło się jej jeszcze smutniej, więc lkała coraz głośniej, zakrywając rękami twarz. Nagle usłyszała trzepot skrzydeł, a gdy podniosła oczy, zobaczyła bardzo dużego ptaka, który siedział przed nią i patrzył na nią srogo.

— Co z ciebie za kura? — zapytała księżniczka na widok ptaka. — Tak dużych kur nie ma nawet na zamku mojego ojca.

— Nie jestem kurą — odpowiedział ptak, podnosząc dumnie głowę. — Jestem orłem, największym i najsilniejszym ze wszystkich ptaków na niebie, i mieszkam samotnie na szczycie tej wysokiej skały. Myślałem, że choć tu można mieć spokój od ludzkiego

Ptak, Kwiaty

Ptak, Duma

potomstwa, aż tu nagle pojawiaasz się ty, mała pokrako, i zaczynasz ryczeć tak, że aż straszylaś moje dzieci, które właśnie zasypiały. Zmykaj stąd! Nie masz tu nic do roboty!

— Tylko dokąd mam pójść? — zachlipała księżniczka. — Odeszłam tak daleko od domu, a zaraz zajdzie słońce. I jak mnie wtedy nie znajdą, to strasznie się wszyscy wystraszą.

— W takim razie muszę ci pomóc. Tutaj nie możesz zostać. Usiądź na moim grzbiecie, to polecę z tobą do domu. Tylko pospiesz się, bo moje dzieci nie lubią być same w gnieździe, gdy robi się ciemno.

Dziewczynka prędko wdrapała się na plecy orła, który powoli poleciał w górę skały nad wodą.

— Najpierw muszę powiedzieć kilka słów moim maluchom! — rzekł i podfrunął do swojego wielkiego gniazda, zaklinowanego ciasno między krzakami a skałą.

W środku leżały dwa gołe orlęta. Gdy usłyszały trzepot rodzicielskich skrzydeł, łapczywie otworzyły dzioby, licząc na jedzenie.

— Sza! — rzucił do nich orzeł. — Uspokójcie się trochę. Dostałyście już tyle jedzenia, ile wam potrzeba. Połóżcie się teraz i poczekajcie, aż wrócę. Polecę tylko z tym ludzkim dzieckiem do jego domu, żebyśmy tu nie musieli słuchać płaczu.

Powiedziawszy to, wzleciał wysoko w górę z księżniczką na grzbiecie.

Najpierw trochę się wystraszyła, ale po niedługim czasie odważyła się spojrzeć w dół, a wtedy bardzo spodobała się jej ta podróż.

Słońce właśnie zachodziło, a całe niebo lśniło złotem. Daleko w dole widziała lasy malutkie jak miniaturowe krzaki. Tu i tam świeciły białe cętki, czyli wioski, zamki i kościoły, a czasami jej oczom ukazywały się gładkie i lśniące plamy, wyglądające jak lusterka, które ktoś porzucił w trawie. Były to jeziora położone wśród lasów. Powietrze było takie lekkie i czyste, o wiele lżejsze i bardziej przejrzyste niż na ziemi. Księżniczka uniosła w górę obie ręce i aż głośno krzyknęła ze szczęścia.

— Ależ ty hałasujesz! — powiedział orzeł z pretensją. — A teraz trzymaj się mocno, bo zaczynam zniżać lot ku ziemi. Spójrz, tam leży zamek twojego ojca!

Księżniczka popatrzyła w dół, ale początkowo zupełnie nic nie widziała. Myślała, że to tylko mała, malutka zabawka, która wyziera spomiędzy drzew. Jednak wkrótce zaczęła rozróżniać sylwetki czterech wież, a teraz widziała już wyraźnie, że to był gród jej ojca. W oszalamiającym tempie orzeł przyjął kurs na park i teraz dotknął pazurami ziemi — tuż obok wejścia w długą aleję, które prowadziła do zamku.

— Proszę bardzo, dotarłaś do domu! — powiedział. — A na przyszłość nie ruszaj się stąd z łaski swojej. I niech ci nie przyjdzie do głowy nas niepokoić i mącić naszej samotności.

— Tylko co mam ci dać za to, że mi pomogłeś? — zapytała księżniczka, która bała się nieco tego majestatycznego ptaka. — Ach, już wiem! — wykrzyknęła i zdjęła z siebie lnianą halkę. — Podaruję ci to, co zostało z moich ubrań. Choć myślę, że jeśli dasz ją do przeszycia, to spokojnie wystarczy dla obu twoich nagich młodych.

Orzeł nie odpowiedział. Chwycił koszulkę w dziób, rozpostarł skrzydła i wkrótce zniknął za gęstym lasem. Teraz dziewczynka stała zupełnie golusienką w ogromnym parku swojego ojca. Była tak szczęśliwa, że wróciła do domu przez zmrokiem, że powędrowała aleją, a potem między świerkami, które prowadziły do skrzydła zamku, w którym znajdował się jej pokój.

Nagle zobaczyła, że coś świeci między drzewami. „Co to może być?”, pomyślała i zatrzymała się. A był to księżyc w nowiu. Delikatny, mikry księżyc w nowiu, stojący na wciąż czerwonym wieczornym niebie niczym srebrny sierp. Księżniczka o tej porze zawsze już spała, więc nigdy jeszcze nie widziała księżycy, a wydał się jej tak wyniosły i piękny, że dygnęła przed nim bardzo nisko. Jeszcze przez kilka chwil stała i patrzyła nań, a potem odwróciła się i popędziła do zamku. Tam, pod jej nieobecność, wszystkich ogarnęło potworne przerażenie. Szukano jej w całym parku, w lesie i w górach, a teraz król i królowa siedzieli zalani łzami, gdyż sądzili, że już nigdy nie zobaczą swojej małej córeczki.

Księżniczka powoli otworzyła drzwi, podbiegła na gołych stópkach do rodziców i opłotała rękami ich szyje.

— No i jestem! — powiedziała i zaśmiała się.

Lot, Podróż

Dom

Księżyc

— Ależ drogie dziecko! — wykrzyknęła królowa. — Przecież ty nic na sobie nie masz! Gdzie się podziały wszystkie twoje ubrania?

Dziewczynka spojrzała zakłopotana na swoje drobne, nagie ciało.

— Naprawdę nie mam pojęcia — powiedziała zawstydzona. — Ale nie możecie się na mnie gniewać, bo naprawdę doskonale się bawiłam.

TROLL BRADALBA I KSIĘŻNICZKA JANINA

Daleko stąd, na południu, leży kraj otoczony wysokimi górami. Jest ponury mroczny, ale graniczy z innym, w którym słońce ma większą władzę i gdzie kwiaty i pomarańcze rosną cały rok.

Wysokie i dzikie graniczne pasmo gór zatrzymuje się nad morzem, błękitnym jak niebo, po którym płyną piękne, kwitnące zielenią wyspy, niczym kwietne bukiety na falach.

Gdy stoi się na jednej z nich i spogląda na północ, skały pną się w górę, ukazując cudowny widok. Przy bezchmurnej pogodzie świecą migocącym błękitem, podczas gdy przy zachodzącym słońcu nabierają wszystkich możliwych barw. Mają kolor różowej czerwieni, szlachetnego szmaragdu, lazuru wody, a na ich szczytach skrzy się wieczny śnieg, niczym niebiański brylantowy diadem. Ach, jakże cudownie musi być w górze, wśród skalnych szczytów — niejeden tak pewnie myśli, marząc o skrzydłach, które mogłyby go tam zanieść.

Ale tam wcale nie jest cudownie. Tylko z daleka tak to wygląda. A gdy już człowiek jest w górze, wśród dzikich skał, dostrzega, jak tam jest strasznie i pusto. Są tylko skały i śnieg, śnieg i kamień

Jedna góra wznosi się wyżej od drugiej, niczym bezkresne, skamieniałe morze. Zupełnie jakby jeden szczyt wyciągał szyję wyżej od swojego sąsiada, żeby zobaczyć, co takiego może się znajdować po drugiej stronie wyniesionego grzbietu. Jednak gdy wszystkie te przeogromne masy skalne dostrzegą uśmiechające się fale, nie mają odwagi zapuszczać się dalej. Stoją w bezruchu i spoglądają nieme w dół na niebiański błękit wody. I nie powinniście wyobrażać sobie tych wierzchołków jako małe skałki — jak nad morzem. Jeśli odchylicie do tyłu głowy i spojrzycie w górę, i tak nie zobaczycie szczytów tych gigantycznych mas skalnych — tak są wysokie. Kamyki, które leżą porozrzucane między wzniesieniami, są wielkości domów, zamków i kościołów. Pośród nich jedynie gdzieś przepływa jakiś strumyk, tańcząc i śmiejąc się zimno i szyderczo. Podróżującego tymi górami ogarnia przerażenie i niechybnie zaczyna myśleć, że to miejsce muszą zamieszkiwać trolle. I nie myli się. Tutaj są jedynie trolle, a przynajmniej były dawnymi czasami.

Dawno, dawno temu w jednej z ogromnych jaskiń tej okolicy żył pewien troll ze swoją żoną i ich jedynym synem, Bradalbą. To były trolle szczególnego rodzaju. Nie były szpetne i niekształtne jak pozostałe, żyjące w lasach i górach północy. Wręcz przeciwnie. Miały piękne i silne ciała oraz niezwykle gęste i grube włosy. Były jednak wyjątkowo wredne i złośliwe. Nienawidziły ludzi. Spotkanie na drodze takiego trolla było o wiele bardziej niebezpieczne niż zbójnika czy innego łotra spod ciemnej gwiazdy.

Zarówno troll jak i jego żona byli nikczemni, zepsuci do szpiku kości i przebiegli, a ich syn Bradalba prześcigał we wredocie oboje rodziców. Już gdy był bardzo mały, ujawnił się jego okropny charakter — na tyle okropny, że nie sposób było znaleźć równego mu w okropności. Wrzeszczał tak głośno, że trzęsły się góry, a jego własna matka bała się do niego zbliżyć. Gdy jednak zebrała się na odwagę i podeszła do miejsca, gdzie głęboko w jakiejś grocie leżał jej syn, ten kopał ją w piersi, gryzł po rękach i wiązał sobie supel na ogonie (wszystkie trolle rodzą się z ogonami).

— Ty łobuzie! — krzyczała matka, zaciskając dłoń w pięść.

— A niby kim miałby być, jak nie łobuzem? — pytał wtedy ojciec, śmiejąc się dziko.

Gdy tylko nauczył się chodzić, zaczął robić paskudne psoty. Wylewał wodę na drogę prowadzącą do ich jaskini, żeby zamarzła i nie dało się po niej normalnie chodzić. A gdy matka biegnąca do domu z dzbanem wody albo ojciec wracający z połowu przewrócili się na tej śliskiej jak lodowisko ścieżce, mały Bradalba aż krztusił się ze śmiechu. Im trudniej było jego rodzicom wstać, tym lepiej się bawił.

Natura, Przyroda
nicożywiona, Piękno

Pozory, Strach

Dziecko, Zło

Kiedy matka zajęta była przygotowywaniem obiadu i na chwilę odwróciła się do Bradalby plecami, ten w mgnieniu oka zjadał wszystko to, co miało wystarczyć dla całej rodziny. Potem uciekał, kładł się na brzuchu na skale nad jaskinią i rzucał kamieniami w rodziców, gdy tylko próbowali go schwytać.

Kiedy miał siedem lat, odpadł mu ogon (wszystkie trolle gubią ogon w tym wieku). Ale złość go nie opuściła — wręcz przeciwnie, z biegiem czasu tylko przybierała na sile.

Całymi dniami wędrował samotnie po skalnej pustyni. Jeśli znalazł jakiegoś ptaszka, potrafił go schwytać, odgryźć mu głowę i zjeść na miejscu tak, że tylko pióra kłębiły się w jego ustach. Najbardziej lubił stawać na skraju skały, tak daleko, jak tylko się dało i spoglądać w przepaść, w dół ku morzu. Zdarzało się niekiedy, że rybacy przybijali tam do brzegu, a wtedy on rzucał w nich kamieniami, odczuwając przy tym nieopisaną wręcz radość.

I nie poprzestawał li tylko na małych kamykach, tak jak wtedy, gdy chciał trzymać na dystans własnych rodziców. Rzucał małymi skalnymi blokami, które leciały w przepaść w stronę łodzi rybackich. Najlepiej bawił się wtedy, gdy udało mu się trafić w którąś z nich, a nawet przewrócić i zatopić. Rybacy spoglądali z niepokojem, a wręcz przerażeniem, w górę, skąd niespodziewanie spadały na nich kamienie, ale Bradalba potrafił się w porę ukryć; nigdy go nikt nie zobaczył, więc ludzie sądzili, że te kamienne lawiny były dziełem samej przyrody.

Jego jedynym zmartwieniem było to, że tak mało było zła, które mógł uczynić w świecie, w jakim przyszło mu żyć. Nie było tu ani drzew, które mógłby łamać, ani kwiatów, które mógłby deptać, a i zwierząt, którym mógłby ukrecać głowy, było niewiele. Bo wszystkie te wielkie i twarde skały były większe i twardsze niż on sam i nic sobie nie robiły z tego, że w nie wali i uderza, a górskie strumyki tylko śmiały się lodowato z jego pogrózek. Bradalba był, póki co, młodym trollem w swoich najlepszych latach. Wyrósł bardzo wysoki i barczysty, miał ognistoczerwone usta, rozbiegane błękitno-zielone oczy i nad wyraz bujną złotą czuprynę.

Spędzał dni, włócząc się po okolicy, wspinając się na najwyższe i najbardziej niebezpieczne szczyty, z których obserwował okolicę, szukając czegoś lub kogoś, komu mógłby zrobić krzywdę.

Rzadko jednak zdarzała się taka okazja. Dokoła niego wznosiły się przerażające, bezduszne skały — i milczały. Czasem uznawał, że jego życie jest nudne i straszliwie ziewało. Rozlegał się przy tym taki grzmot, że przerażony śnieg osuwał się z górskich zboczy. Wtedy Bradalba zaczynał się śmiać i brzmiało to jeszcze bardziej przeraźliwie. Po okolicy niosło się echo, a wszystkie dzikie ptaki, mieszkające wysoko w skalnych szczelinach od strony wody, ze strachu wzbijały się w górę ku niebu.

I tak któregoś dnia wczesną wiosną Bradalba wybrał się na spacer.

„Gdybym tylko wpadł na jakąś dobrą psotę”, pomyślał i rozejrzał się dokoła. „Gdybym tak mógł kogoś zabić lub chociaż zrobić mu krzywdę!”

Jego oczy rozbłysły na widok trzech niewielkich jaszczurek, które wygrzewały się w wiosennym słońcu. W jednej chwili rozciął je na pół kijem, kładąc kres ich radośnemu życiu. Niedługo potem zauważył dwie młode sowy, siedzące w skalnej szczelinie i połyskujące oczami.

— Co się tak gapicie? — wykrzyknął, po czym skrzyknął im karki.

Zawsze udało mu się zrobić coś złego, ale miał ochotę na czynienie większego zła. Położył się na brzuchu na krawędzi skalnej półki i spojrzął w dół na morze, zastanawiając się, czy przypadkiem jakaś łódź rybacka nie zbliża się do brzegu, żeby mógł ją obrzucić kamieniami. I gdy tak tam leżał i gapił się w najlepsze, zauważył, że coś błyszczy na wodzie. Najpierw pomyślał, że to tylko odbłask słońca, ale już po chwili zobaczył, że to coś się rusza i przybliża. Dojrzał niewielką łódkę. Widziana z góry przypominała lupinkę orzecha, ale taką, w której pełno było złota i diamentów. Wokół niej aż iskrzyło, łódka sunęła między czarnymi kamieniami przy brzegu niczym ogień. Bradalba popędził w dół ścieżką prowadzącą na brzeg i gdy dotarł nad wodę, schował się za skałą i obserwował łódkę. Siedziały w niej przy wiosłach dwie osoby, ubrane w wyszywane złotem kaftany i czapy. Jedna z nich wstała i wyciągnęła rękę w stronę młodej dziewczyny, która, wsparłszy się na niej, ostrożnie zeszła na ląd, stąpając po dużych, płaskich kamieniach, wystających spod pluskających fal. Powiedziała kilka słów do wiosłarzy i samotnie zaczęła iść pod górę.

Dziecko, Okrucieństwo

Spotkanie

Bradalba nie widział jej twarzy, gdyż otaczał ją blask, bo i ona miała na sobie przytkane złotem ubrania i taką samą koronę na długich, jasnych włosach, opadających na plecy. Krocząc naprzód, raz po raz schylała się, jakby podnosiła coś z ziemi, ale Bradalba nie widział co. Wtedy przyłożył obie ręce do ust i zawołał: „Halo!”, a jego głos poniósł się echem daleko w morze. Mała księżniczka — bo to była właśnie księżniczka — zadrżała od czubka głowy po same stopy i przerażona rozglądała się dokoła. Jednak ponieważ nic nie zauważyła, ruszyła dalej, wciąż się schylając, po czym stanęła bez ruchu i zdawała się poprawiać coś, co trzymała w dłoniach.

Bradalba o mały włos nie pękł z ciekawości. Wyjrzał zza skały i zawołał:

— Co tam takiego robisz?

Księżniczka podniosła wzrok, spojrzała w prawo i w lewo, ale nie zauważyła Bradalby. Mimo to uniosła jedną rękę wysoko w górę i odpowiedziała cienkim i drżącym głosem:

— Zbieram fiołki.

— Przecież na tych skałach nie rosną fiołki — odparł Bradalba.

— Nie rozumiem — powiedziała księżniczka i przystawiła rękę do ucha, żeby lepiej słyszeć; teraz dojrzała Bradalbę, siedzącego na szczycie skały i majtającego nogami.

— Mówię, że to nie możliwe, że zbierasz fiołki, bo na skałach ich nie ma — odpowiedział.

Odpowiedziała machnięciem dłoni i znów zaczęła się schylać.

Bradalba pomyślał, że musi to zobaczyć z bliska, więc zaczął zjeżdżać w dół po kamieniach. Za nim unosiła się chmura żwiru i kurzu i już po niedługim czasie znalazł się w pobliżu księżniczki. Usiadł na skałe i zaczął się w nią wpatrywać.

Była mała i drobna, z pociągłą bladą twarzą i parą dużych, czarnych oczu, które wyglądały jak dwie gwiazdy. Jej ręce były tak chude, a jej palce tak delikatne, że Bradalba nie umiał pojąć, jak w ogóle mogła się nimi posługiwać. Ale ona poruszała nimi niezwykle prędko i zdawała się całkowicie pochłonięta robieniem swojego bukietu. Bradalba ku swojemu zaskoczeniu dostrzegł, że z każdą chwilą fiołków w jej bukiecie było coraz więcej. Jeszcze moment i nie utrzyma ich wszystkich w dłoni.

— Mieszkasz tutaj? — zapytała księżniczka, spoglądając na Bradalbę.

— Tak — odpowiedział.

Nagle bardzo się zawstydził i poczuł się wielce skrępowany tym, że nic nie potrafił z siebie wykrztusić. A jednak po chwili zapytał:

— A ty?

— Ja mieszkam na zamku, na jednej z wysp daleko na morzu — odpowiedziała księżniczka i pokazała bukietem gdzieś daleko w świat — W naszym ogrodzie mamy wszystkie możliwe kwiaty, ale fiołki w nim nie rosną. Dlatego przyływam tutaj, by je nazrywać.

— A jak ci na imię? — zapytał Bradalba, który teraz podszedł jeszcze bliżej.

— Mam na imię Janina — odpowiedziała księżniczka, której imię było bardzo piękne. — A ty?

— Mówią na mnie Bradalba — odpowiedział i poczerwieniał na twarzy. Nagle pomyślał, że ma strasznie brzydkie i grubiańskie imię.

— Bradalba — powtórzyła księżniczka i zaśmiała się. — Brzmi, jak odgłos wrzuconych do wody dużych kamieni. A teraz chodź i pomóż mi zrywać fiołki.

Troll podniósł się i podszedł bliżej.

— Nie widzę tu żadnych fiołków — stwierdził, rozdziawiając usta. — Widzę tylko kamienie.

— Nie? A to co takiego? I to? I to? — powiedziała Janina, pokazując dokoła swoim chudym palcem.

Wtedy i Bradalba dostrzegł, że wśród skał rosły najpiękniejsze kwiaty. Nigdy wcześniej nie zwrócił na to uwagi.

Prędko nazrywał ich całą masę i wręczył księżniczce. Ale ta tylko się roześmiała.

— Zerwałeś je z tak krótkimi lodyżkami, że do niczego się nie przydadzą. Spójrz na moje! Musisz je zrywać z pięknymi, długimi lodyżkami tak, żeby można z nich było ułożyć bukiet.

Cóż, tak to Bradalba musiał się nauczyć, jak powinno się obchodzić z fiołkami i przez całe przedpołudnie chodził za księżniczką, zrywając kwiatki. Koniec końców Janina mu-

Kwiaty

siała podwinąć sukienką i w nią je zawinąć, bo obie ręce miała zajęte. Około południa poszła piechotą w stronę łódki.

— Wracam do domu — oświadczyła. — Ale przyplynie jutro.

Bradalba nie miał odwagi zejść aż do morza. Stał na górze i przyglądał się, jak księżniczka wsiada do łodzi, która już po chwili sunęła niczym promień słońca po wodzie, aż wreszcie znikła.

Nazajutrz wstał skoro świt. Powędrował na półkę skalną, położył się na brzuchu i wpatrywał się w wielką wodę, która wciąż zasnutą było mgłami. Ale powoli na horyzoncie zaczęło się przejaśniać i nagle — tak, księżniczka płynęła tu w swojej złotej łódce! Choć nie, to nie była księżniczka, a słońce, które wschodziło w całej swojej krasie. Przez wiele godzin Bradalba leżał w zupełnym bezruchu i ani drgnął, ani mrugnął okiem — czekał tylko na księżniczkę.

Wtem, wreszcie, wreszcie zobaczył, że coś połyskuje na falach i zbliża się. O tak, to rzeczywiście była łódka, która teraz przybijala do brzegu tam w dole. Wtedy wstał i ukrył się za skałą przy drodze, która prowadziła w dół. Chwilę potem usłyszał kroki i zobaczył Janinę, nadchodzącą niespiesznie. Bradalba wybiegł ze swojej kryjówki, a księżniczka głośno krzyknęła.

— Ale mnie wystraszyłeś! — powiedziała, kładąc na sercu swoją malutką dłoń.

Ale troll tylko uśmiechnął się szeroko, od ucha do ucha.

— Zobacz — rzekła Janina — mam ze sobą śniadanie dla ciebie i dla mnie.

Usiadła w cieniu i z małego koszyka, który niosła, wyciągnęła cztery dorodne, piękne pomarańcze, po czym podała jedną Bradalbie. Nigdy wcześniej nie widział takiego owocu, więc z miejsca wbił w niego zęby.

— Co to za zachowanie? — uśmiechnęła się księżniczka. — Najpierw trzeba ją obrać. Podaj mi ją, proszę, to ci pomogę!

Swoimi drobnymi, białymi palcami obrała pomarańczę i podzieliła na cząstki.

— Proszę bardzo! — powiedziała. Teraz możesz ją zjeść i poczuć, jaka jest smaczna.

Bradalba spałaszował owoc w jednej chwili.

— Jeszcze! — powiedział, a jego usta wciąż ociekały sokiem.

Bardzo szybko zjadł trzy pomarańcze.

— Czwartej nie dostaniesz! Ta jest dla mnie — rzekła Janina, trzymając kurczowo owoc, który jej został.

Gdy go jadła, Bradalba siedział i się oblizywał.

— A teraz musisz mi opowiedzieć, co robisz w tej dziczy — powiedziała księżniczka, gdy już zjadła i rozsiadła się wygodnie, oplatając kolana rękami. — Co tu porabiasz całymi dniami wśród skał?

— Nic — odrzekł Bradalba i podrapał się w głowę.

— Nie należy się drapać w głowę, to nieeleganckie! — zganiała go. — No i te twoje długie, skołtunione włosy! Chodź, ostrzygę cię!

Bradalba położył głowę na łonie księżniczki, a ona wyjęła zza pasa złote nożyczki i zaczęła obcinać mu włosy. Spod nożyc spadały grube, ciężkie kosmyki, a gdy Janina skończyła, powiedziała:

— Patrz, jaki jesteś ładny.

I podetknęła Bradalbie małe lustereko. Lecz gdy ten ujrzał siebie bez swojej bujnej czupryny, w ogóle się nie rozpoznał i zaryczał tak głośno, że aż zatrząsł się cały las.

— Cicho! Cicho! — upomniała go księżniczka. — Nie powinieneś tak okropnie krzyać tylko dlatego, że ostrzygłam ci grzywę. Połóż się no tu grzecznie i odpocznij, a ja opowiem ci, jak pięknie jest na wyspie, na której stoi mój zamek.

Więc Bradalba położył się z głową na kolanach księżniczki, a ona zaczęła opowiadać swoją historię.

Wciąż jeszcze pochlipywał na myśl o tym, że jest prawie łysy, ale z czasem o tym zapomniał, zasluchany w to, o czym opowiadała Janina. Podczas gdy tutaj w górach było zimno i wietrznie — mówiła — na wyspie, gdzie mieszkała, była ciepła wiosna. Tu mieszkało się w otoczeniu skał i śniegu, u niej chodziło się po zielonej, miękkiej trawie i zrywało róże i pomarańcze. Rankiem morze było białe jak srebro, w południe lśniło

Uroda

złotem, a pod wieczór — niczym stopione diamenty — lazurowo błękitne, szmaragdowo zielone i rubinowo czerwone. W ogrodzie śpiewał słowik, a po tarasach przechadzały się pawie. Tam to żyła szczęśliwie ze swoim ojcem, matką i sześcioma młodszymi braćmi.

O tym wszystkim księżniczka opowiadała Bradalbie, a on siedział nieruchomo i słuchał tego, co mówiła. Nie za wiele do niego dotarło, raczej się jej przyglądał. Nigdy nie sądził, że ludzkie stworzenie mogło mieć takie łagodne i wymowne oczy, takie delikatne i sympatyczne usta i takie srebrzyście gładkie włosy. Czuł, jak jego serce topnieje niczym kawałek lodu w promieniach słońca. Ale nie tylko troll zwracał szczególną uwagę na księżniczkę. Słuchała jej też mała pliszka, która tam przyleciała. Przechadzała się teraz tam i z powrotem, kołysała ogonem i spoglądała w górę na dziewczynę, która siedziała w blasku słońca. Bradalbie nie podobało się, że ktoś jeszcze prócz niego słuchał opowiadania Janiny. Poza tym żywił głęboką pogardę dla wszystkich zwierząt.

W jednej chwili podniósł z ziemi kamień i rzucił nim w ptaka, ale ten zatrzepotał skrzydłami i co prędzej odleciał.

Księżniczka pobladła na twarzy.

— Co zamierzałeś zrobić? — zapytała i spojrzała płonącymi oczami na Bradalbę.

— Nic, tylko zatłuc na śmierć tego ptaka — odpowiedział z uśmiechem.

— Tylko zatłuc — powtórzyła księżniczka i podniosła się z ziemi. — Jeśli jesteś aż taką bestią, że chcesz krzywdzić małe niewinne ptaszki, to nie zamierzam tu z tobą siedzieć. Idę sobie i już nigdy nie wrócę.

W tej samej chwili wstała i pospieszenie oddaliła się w stronę morza.

Na nic się zdało to, że Bradalba błagał i płakał, a nawet rozpaczliwie krzyczał. Niedługo potem łódka odbiła od brzegu, a troll widział, jak na wodzie utworzyła się długa lśniąca fałda, aż w końcu czółno zniknęło za jakimś cyplem.

I tak Bradalba został sam, na co sobie zasłużył. Choć było mu niezmiernie przykro, każdego ranka czekał na powrót księżniczki, ale na wodzie nie było nawet śladu łódki. Że też mogła być wobec niego aż tak niedobra tylko dlatego, że chciał zabić jakieś ptaszysko!

Za każdym razem, gdy spotykał jakąś pliszkę albo innego małego ptaszka, przypominały mu się płonące oczy Janiny — i tak zaczął widzieć wszystkie te małe stworzenia w nowy sposób. Miały oczy do patrzenia i nogi do chodzenia, i smukłą miękką szyję, którą mogły wykręcać na wszystkie strony, a ponadto skrzydła, które potrafiły je wynieść wysoko w przestworza, podczas gdy Bradalba zmuszony był przebywać na ziemi. Zaczął więc całymi godzinami leżeć i obserwować je, aż w końcu przynosił ze sobą kilka kawałków żytniego chleba, który dla nich rozkruszał. Początkowo lękały się go, ale z czasem nabrały więcej odwagi i koniec końców tak się oswoiły, że jadły okruszki z ręki trolla i siadały mu na głowie lub ramionach, żeby odpocząć. Gdy tylko pojawiał się na skale, nadlatywała chmara ptaków, małych i dużych, trzepocząc skrzydłami i nie odstępowała go na krok, dokądkolwiek by poszedł. Ptaki stały się teraz jego najbliższymi przyjaciółmi.

Ale bywało, że podczas najlepszej zabawy z nim spoglądał z rozpaczą w stronę morza. W głębi duszy nie przestawał mieć nadziei na to, że któregoś dnia księżniczka jednak wróci.

Pewnego ranka stał na skale nad wodą. Nad jego głową kołowały setki ptaków, siedziały na ramionach i obok stóp. Nadchodził rześki i pogodny letni dzień. Morze skrzyło się błękitem. Ledwo dało się na nie spojrzeć, tak intensywnie odbijało słońce. Ale nagle Bradalba zobaczył, że na powierzchni wody coś błyszczy i drga. Było coraz bliżej. Troll wlepił wzrok w wodę. Tak, to naprawdę była łódka księżniczki. Dobiła do brzegu, a Janina ruszyła ścieżką w górę. Ubrana była w białą suknię, a zamiast korony, którą zwykle miała na głowie, na jej puklach spoczywał ciężki kwietny wianek. Gdy spostrzegła Bradalbę, zatrzymała się i uśmiechnęła.

— Skąd przybywają te wszystkie ptaki? — zapytała.

— To moi dobrzy przyjaciele — odpowiedział. — Chodź, to pokażę ci, gdzie mieszkają.

Księżniczka podała mu dłoń i tak powędrowali najbardziej stromymi skałami. Jeśli gdzieś trudno było iść, Bradalba chwycił Janinę i przynosił ją nad kamiennymi rozpadlinami albo płynącą wodą. Aż tu nagle zatrzymał się przed wejściem do skalnej grotty i powiedział:

— Patrz! To tutaj ptaki trzymają swoje młode.

Samotność, Zwierzęta,
Ptak, Przemiana, Przyjaźń

Tęsknota, Nadzieja, Rozpacz

Wetknął rękę do środka i wyciągnął małe, rozczulające pisklaki.

— Pocałuj je! — powiedział do księżniczki, podnosząc je jej do twarzy, a ona śmiała się, bo uważała, że to bardzo zabawne.

A dokąd by nie poszli, ptaki podążały za nimi niczym chmura, popiskiwały i trzepotały skrzydłami, jakby chciały pochwalić się swoją rodziną przed księżniczką.

Od tej chwili Janina coraz częściej przybywała w góry. Z każdym dniem ona i Bradalba stawali się też coraz lepszymi przyjaciółmi.

Któregoś razu, gdy przyplęnęła, miała wianek z kwiatów w ręce. Chciała zapleść go na głowie trolla. Ale co to? Co widzi? Bradalba, który zwykle zawsze chodził z gołą głową, tym razem założył niewielki kapelusz. Zielony myśliwski kapelusz, ozdobiony trzema niewielkimi orlimi piórami i bukietem szarotek. Kapelusz był zdecydowanie za mały i nasunięty krzywo, ale nie ulegało wątpliwości, że przyjaciel Janiny był z niego dumny i uważał, że znakomicie mu pasuje. Uśmiechnął się i zacerwienił, gdy księżniczka ruszyła mu naprzeciw.

— Skąd wzięłeś ten kapelusz? — zapytała zdziwiona.

— Znalazłem go — odpowiedział nieco zażenowany.

— Wątpię — powiedziała stanowczo. — Na pewno go komuś zabrałeś, prawda?

Bradalba stał i uderzał otwartą dłońią o skałę. Czuł się bardzo zawstydzony.

— Rzeczywiście zabrałem go pewnego myśliwemu, którego spotkałem tu, w górach — przyznał w końcu.

— Zabrałeś? — powtórzyła księżniczka szorstkim tonem. — A jak?

Troll został więc zmuszony, by wyjawić prawdę. Któregoś ranka dostrzegł myśliwego, skradającego się między górskimi szczytami, i nabrał przemożnej ochoty, by go zabić. Popędził za nim, ale mężczyzna uciekał co sił w nogach, ratując się, jak mógł. Zgubił kapelusz, a gdy Bradalba schylił się, by go podnieść, myśliwy zdążył zniknąć.

— Ach tak! Więc taki jesteś, mordujesz ludzi! — powiedziała księżniczka i pobladała na twarzy.

— Bo uważam, że są strasznie głupi! A to tego tacy mali! — powiedział Bradalba, zdejmując kapelusz. Teraz stał i go otrzępywał. — Poza tym bardzo mnie bawi ich widok, gdy się tak przeraźliwie czegoś boją.

— Jesteś okrutnym i zepsutym stworzeniem — wykrzyknęła Janina. — Któregoś dnia pewnie i mnie zabijesz, bo też jestem człowiekiem, małym, słabym i wystraszonego człowiekiem.

Bradalba rzucił się do jej stóp i zaczął całować małe buciki.

— Nie jesteś człowiekiem! — wykrzyknął. — Jesteś najpiękniejszym i najdelikatniejszym stworzeniem na ziemi!

Księżniczka tylko odsunęła się, robiąc krok w tył.

— Kocham ludzi — powiedziała. — I chciałabym im podarować tyle dobra, ile tylko mogę. A gdybyś był tak miły, z chęcią zaprzęglabym cię do pożytecznej pracy i nauczyła wykorzystywać całą twoją siłę do pomagania małym, mizernym ludzkim dzieciom. Mógłbyś im wskazywać drogę, tu, w samotnych górach, i przynosić je przez strumyki, tak jak przyniosłeś mnie. Ale rozmowa z tobą na nic się nie zda. Jesteś i pozostaniesz nieokrzesanym trollem, więc odchodzę i już nigdy tu nie wrócę.

Czym prędzej zeszła na brzeg, a Bradalba zaczął tak ryczeć, aż zmarszczyła się gładka tafla morza.

— Będę, będę miły. Zrobię wszystko, co zechcesz, byle byś tylko zechciała tu wrócić! Oj, oj, oj! Ależ ja jestem nieszczęśliwy!

Lecz łódka księżniczki już zniknęła za jednym z cypli.

Od tego dnia Bradalba rozpoczął całkiem nowe życie. Bez przerwy leżał i wyglądał, czy żaden człowiek nie nadchodzi przypadkiem ścieżką przez góry. A gdy dostrzegł jakiegoś wędrowca — myśliwego lub chłopów, którzy szukali przejścia — ogarniała go wielka radość. Od razu gotowy był do pomocy; biegł przodem, by pokazać drogę, pomagał nosić kosze i tobołki, a nawet brał na ręce małe dzieci i przynosił je między skałami i ponad górskimi strumieniami. Początkowo ludzie bali się tego wielkiego i osobliwego młokosa o dzikich rysach twarzy, ubranego wyłącznie w niedźwiedzią skórę, ale z czasem zrozumieli, że nie ma on złych zamiarów i dobrze im życzy. Gdy ktoś rozpoczął podróż

Człowiek

Przemiana

przez góry, zwykle miał nadzieję, że po drodze spotka Bradalbę, wierząc, że ten na pewno pomoże wędrowcom.

Początkowo troll świadczył te usługi wyłącznie ze względu na księżniczkę i bez przerwy myślał: „To by się jej podobało”. Ale z czasem sam zaczął znajdować w tym radość. Mimo wszystko miło mu się robiło, gdy widziano w nim wytrawnego przewodnika i mówiono, że jest przyjazny i pomocny. A kiedy małe dzieci siedziały mu na ramieniu i głaskały go po policzkach swoimi krągłymi rączkami, wówczas coś jakby chwyciło Bradalbę za serce i zaczynał kochać je tak, jak teraz kochał małe pliszki.

Jego ojciec i matka nie byli z tego zadowoleni.

— Przestałeś być podobny do swoich rodziców — mówili, przewracając oczami. — Ludzie cię zepsuli. Żal ci jest tych paskudnych kanalii. Na co ci twoje silne ramiona, jeśli nie po to, by móc ich pozabijać!

Lecz Bradalba milczał. Zmarniał ze zgryzoty, za to jego oczy zrobiły się łagodne i dobre. Każdego ranka o wschodzie słońca i każdego wieczora siadał na szczycie góry i wpatrywał się w horyzont, licząc na to, że może jednak ukaże się na nim łódka księżniczki. Ale czekał na próżno.

Minęło lato i nadeszła jesień. Wysoko w górach nie było wędnących drzew, za to powietrze zrobiło się lodowato zimne, groźne chmury zbierały się nad skalnymi szczytami, a morskie fale miały białe spienione grzbiety.

Któregoś dnia troll siedział, wpatrując się ze smutkiem w czarne fale. Nagle ujrzał w oddali kołyszącą się na nich łódkę. Płynęła w jego stronę. W końcu przybiła do brzegu, ktoś zszedł na ląd i ruszył ścieżką w górę. Bradalba nie mógł się mylić. To księżniczka! Była opatulona aksamitnym płaszczem z futrzanym kołnierzem, a na głowie miała niewielką skórzaną czapkę. Gdy go zobaczyła, przystanęła i uśmiechnęła się.

Ale Bradalba tylko płakał, zakrywając oczy rękami.

— Jak się miewasz? — zapytała łagodnie Janina. — Byłeś grzecznym chłopcem?

— Tak grzecznym, jak tylko mogłem — zaszlochał troll.

— Opowiedz mi, proszę! — powiedziała księżniczka i usiadła na kamieniu, osłonięty od wiatru. — Co porabiałeś od naszego ostatniego spotkania?

Bradalba położył się na ziemi u jej stóp księżniczki i opisał jej wszystko, co przeżył. Mówił z coraz większym zapalem, a w jego oczach pojawiał się blask, ilekroć wspominał o małych dzieciach, które prznosił przez górskie przełęcze. Janina tylko się uśmiechała. Była tak piękna, że troll wręcz trząsał się z zachwyty, patrząc na nią. Gdy skończył swą opowieść, księżniczka chwyciła obie jego dłonie i spojrzała mu w oczy.

— Wiesz co — powiedziała. — Lubię cię, naprawdę bardzo cię lubię! Więc chciałabym cię zapytać, czy nie zechciałbyś nam pomóc dopłynąć łodzią do domu. Moi wiosłarze są tacy wąтли i słabowici... Jeśli wzmoże się wiatr, nie wiem, czy będą mieć siły, by wrócić.

Bradalba biegł tak szybko, że kamienie tańczyły pod jego stopami.

— Czy zechcę? — zawołał. — Powiosłuję z tobą przez wszystkie dzikie fale, choćby na koniec świata.

Popędzili ścieżką w dół i wsiedli do łódki. Zrobiło się już ciemno i było zimno. Wiatr z każdą chwilą przybierał na sile, a z gór nadciągnął śnieg i grad. Gdy już odpłynęli kawałek od brzegu, rozpuściła się prawdziwa burza. Wiosłarze wysilali się do granic możliwości, w końcu jednak dali za wygraną i opadli jak martwi na dno łodzi.

Ale Bradalba się nie poddawał. Wydawało się, że wstąpiła w niego jakaś nieznana siła; z zapalem machał wiosłami, aż krew podeszła mu pod paznokcie. Księżniczka leżała u jego stóp, otulona swoim płaszczem, i przerażona patrzyła na ogromne fale.

Raz myślała, że idą na dno, to znów łódź wzbijała się wysoko na wodzie, a ona widziała brzeg, coraz to bliżej — i już rozpoznawała na nim swojego ojca i matkę, i sześciu młodych książąt, stojących na skraju wody i wołających coś do niej. W sztormie nie słyszała jednak ani jednego słowa.

Łódź przybiła do brzegu, uderzając oń gwałtownie, a Bradalba zerwał się na nogi, chwycił księżniczkę w ramiona i wyniósł na ląd.

Ojciec, matka i wszyscy młodszy bracia Janiny cisnęli się teraz do niej, by przekonać się, czy wciąż jeszcze żyje. Ale ona opuściła nogi na ziemię i uśmiechnęła się.

— Zniknęłam na chwilę, żeby przywieźć tu mojego wybranka — powiedziała, chwytając Bradalbę za rękę. — Uratował mnie od wszystkich dzikich fal.

Burza

Miłość, Wesele, Szczęście

Ojciec księżniczki spoglądał na trolla lekko zaskoczony.

— Moim zdaniem jest uroczy! — powiedziała Janina i pocałowała Bradalbę w nos.

Więc i ojciec księżniczki musiał ustąpić i urządzić wesele Bradalbie i Janinie, którzy okazali się bardzo szczęśliwą parą. Troll nigdy niczego nie robił, jeśli najpierw nie zapytał o zdanie swojej pięknej ukochanej, a gdy księżniczka chciała jakąś sprawę doprowadzić do końca, zwykła była mówić:

— Nie podołam temu sama, lecz może mi pomóc i to zrobić mój zacny i silny Bradalba.

ZAMIENIONE

Był sobie raz król i królowa. Nie mieli dzieci. Bardzo marzyli o potomstwie, ale ich marzenie się nie spełniało. Wreszcie, któregoś lata, królowa urodziła małą dziewczynkę, co ich niewymownie uszczęśliwiło. Przy chrzcie księżniczka otrzymała imiona Bianka Maria. Była bardzo pięknym dzieckiem. Skórę miała przezroczystą jak płatki kwiatów, oczy duże i błękitne, a usteczka wygięte w najpiękniejszy łuk. Oczywiście jej piastunką musiała zostać najznamienitsza niewiasta w kraju i dlatego zadanie to przypadło w udziale samej hrabinie i zarazem nadwornej ochmistrzyni, Esmeraldzie. Ona to dostąpiła zaszczytu opiekowania się księżniczką. Nocą dziewczynka miała co prawda do dyspozycji dwie doświadczone piastunki, które spały jedna po prawej, a druga po lewej stronie kołyski, ale za dnia to hrabina Esmeralda doglądała królewskiego dziecka. Zgodnie z tradycją i dworskimi zasadami to jej powierzono tę odpowiedzialną funkcję, ponieważ była bardzo wysoko urodzona, choć poza tym raczej nie nadawała się na nianię — była już bardzo stara i zawsze strasznie zmęczona. Co rusz gdzieś przysypiała, choć twierdziła, że zaledwie przymknęła oczy.

Nocą księżniczka spała w swojej dużej sypialni, ale za dnia jej kołyskę wnoszono do akacjowego gaiku tuż przy zamku, gdzie, otoczone ze wszystkich stron krzakami róży, szemrało źródelko. Jakże tam było pięknie pod wysokimi kwitnącymi drzewami, które rozsypywały swoje białe kwiaty na posłanie dziewczynki. Powietrze było łagodne i zarazem rześkie, a białe gołębie przylatywały z gołębnika popatrzeć na maleństwo.

— Niewiarygodnie rozkoszne dziecko — mówiły, drepcząc cicho wokół kołyski, jak gołąb białej i miękkiej.

Aż tu któregoś dnia zdarzyło się coś strasznego. Tak, zaraz wam o tym opowiem!

Nieopodal, w wielkim ciemnym lesie na górze za zamkiem, mieszkał w skalnej grocie troll ze swoją żoną. Trollica też dopiero co powiła małą dziewczynkę, niewielkie i śniade maleństwo o skrzących się oczach i skołtunionych włosach. Pewnego dnia troll przyszedł do źródelka w zamkowym parku po wodę. Szedł cicho, cichuteńko, żeby nikt go nie usłyszał, ale hrabina Esmeralda smacznie spała w głębokim fotelu przy kołysce.

Gołębie dreptały dokoła po piaszczystej alejce i gruchały:

— Czyż nie jest słodka? Rozczulająco słodka? Biała i delikatna jak gołąbek.

Troll zakradł się do kołyski i zajrzał za jedwabne zasłonki, gdzie spało dziecko. Po powrocie do domu powiedział swojej trollicy:

— Dziś widziałem takie dziecko, że sam chciałbym je mieć. Białe i delikatne jak gołąbica, z najrozkoszniejszymi usteczkami.

— Więc na pewno nie mogłoby być *twoje* — skwitowała trollica i wyszczerzyła wszystkie swoje zielone zęby. — Trollom, czy tego chcą czy nie, rodzą się małe trolle. I muszą się tym zadowolić.

Ale on stale rozmyślał o księżniczce i koniec końców nie wytrzymał.

— Słuchaj no, stara! — powiedział do trollicy. — Ukradnijmy królewskie dziecko! To prosta sprawa. Raszpla, która ma pilnować księżniczki, nic tylko chrapie, więc możemy jej podłożyć naszego pędraka.

Początkowo jego żona w ogóle nie chciała o tym słyszeć. Choć była tylko trollicą, to przecież kochała swoje dziecko, ale troll dniem i nocą suszył jej głowę i w końcu tak miała dość jego wiecznego zrzędzenia, że wyjęła dziecko z kołyski, w której leżało, zwinęła w starą szmatę i powiedziała:

— Masz, oddaj im swojego malucha. Byłeś nie wrócił z pustymi rękami, dobrze ci radzę!

Marzenie, Dziecko, Uroda

Realista

Dziecko, Porwanie

Troll w te pędy pobiegł do akacyjowego gajku, gdzie stała złota kołyska. Wokół przechadzały się gołębie, akacje obsypywały ją kwieciami, a obok siedziała hrabina Esmeralda w swoim wygodnym fotelu i miarowo pochrapywała.

W mig ściągnął z kołyski kołderkę, chwycił księżniczkę i w jej miejsce położył małego trolla, po czym szybciej niż zając popędził w góry ze swoim drogocennym ciężarem.

Gdy hrabina przebudziła się ze snu, nic nie zauważyła. Myślała, że księżniczka śpi. Ale niedługo potem do gajku przysłała królowa. Zwykła tam zaglądać podczas popołudniowej przechadzki, by choć chwilę popatrzeć na córeczkę. Możecie sobie wyobrazić jej przerażenie, gdy pochyliła się nad kołyską i zamiast swojej ukochanej Bianki Marii zobaczyła w niej trolla, który patrzył na nią wściekłymi, czarnymi oczkami. Krzyknęła z przerażenia i mało nie zemdląła.

— A to co? — wyjąkała. — Przecież to nie jest moje dziecko! Kto zabrał moje dziecko? To nie jest księżniczka!

Hrabina Esmeralda zerwała się strwożona na równe nogi.

— Jak to?! — wykrzyknęła. — A czyje to niby dziecko, jeśli nie waszej wysokości? Nikogo tu nie było. Nie było żywego ducha! A ja przez cały czas byłam równie przytomna, jak jestem w tym momencie.

Powiedziała to nie żeby skłamać. Po prostu nie zdawała sobie sprawy, że spała. Posłano po króla i cały dwór i poproszono o radę nadwornego medyka.

— Osobliwy przypadek, naprawdę osobliwy! — stwierdził. — Musimy tu mieć do czynienia z tym, co się nazywa... — po czym wypowiedział długie łacińskie słowo, którego nikt nie zrozumiał. — Ale to zapewne przejściowe, tak zwany „kryzys”.

I zaordynował, by kąpać małą w słodkim mleku i kłaść ją na fiołkach. Dzięki temu już niedługo miała odzyskać swój poprzedni wygląd.

Zakupiono najdorodniejsze krowy i myto księżniczkę w ciepłym spienionym mleku. Kołyskę wyłożono fiołkami tak, że pachniało w niej jak w raj. Mimo to królowa nie zauważyła, żeby twarz jej córki się zmieniła. Jak była śniada, tak i została. No, może nie czarna, raczej brązowa jak laskowy orzech, ale miała czarne jak węgielki oczy i czarne skołtunione włosy. A jednak cały dwór twierdził, że jest zachwycająco słodka, więc koniec końców i królowa tak mówiła. Choć za każdym razem wzdychała na jej widok i myślała: „Przecież to nie może być moja anielskiej urody Bianka Maria!”

Troll tymczasem dobiegł do swojej skalnej grotty z małą księżniczką w ramionach.

— Czyż nie jest rozkoszna? — zapytał, odchylając szal, w który ją otulił.

Trollica spojrzała na dziewczynkę z odrazą.

— Co za mizerny bladzioch — powiedziała. — Przecież ona wygląda jak por, taka jest biała i wåtła. No ale cóż, dopiąłeś swego, więc muszę się nią zadowolić.

Położyli małą do kołyski trolla na poduszkach wypchanych szorstką słomą, w którą zaplątało się też trochę ostów. Gdy Bianka Maria poczuła pod swoim miękkim ciałkiem, jakie są twarde i kłujące, gorzko zapłakała.

— Co ten bachor tak beczy! — wykrzyknęła trollica, troll z kolei od razu popędził na torfowisko.

Narwał wełnianki, a potem na wzgórzach macierzanki i wypchał nimi nowy wałek pod głowę dla księżniczki, która, gdy tylko zrobiło się wokół niej miękko i pachnąco, przestała płakać i błogo zasnęła.

Księżniczka-troll dorastała tymczasem na zamku. Osobliwe z niej było dziecko. Będziemy ją nazywać księżniczką-trollem, bo nie posiadała imienia. Młodych trolli nigdy się nie chrzci. Gdy dziecko przychodzi na świat, ojciec tylko splota mu na kark i mówi:

— Ruszaj w świat, pędraku!

I to wszystko.

Królowa nigdy się nie przemogła, by mówić do podrzuconej córki Bianka Maria. Nazywała ją Czarnooką, bo mała trollica miała skrzące się, ciemne oczy.

— Skąd u naszej córki wzięły się te dziwne czarne oczy? — pytał król, spoglądając na królową.

— Oj tak, kto to wie! — wzdychała królowa. — Gdy się urodziła, miała oczy błękitne jak ty i ja.

Mała Czarnooka nie była też najgrzeczniejszym dzieckiem. Król, królowa i wszyscy dworzanie naprawdę mieli co robić. Jeśli księżniczka nie mogła postawić na swoim, kła-

Matka, Rozpacz, Strach

Lekarz

Dziecko, Uroda

dła się na plecach na podłodze, wierzgała nogami i krzyczała wniebogłosy, więc musiano zamykać okna, żeby nie było tego słychać na zewnątrz. Gdy dostawała nową sukienkę, dla zabawy wylewała na siebie całą zupę, by ją poplamieć, albo przebijala ją pogrzebaczem, robiąc wielką dziurę. I zezowała na królową, by sprawdzić, czy ją to rozzłości. Ale najokropniejsza była dla hrabiny Esmeraldy. Po prostu jej nie cierpiała. Gdy staruszka zasnęła w fotelu, Czarnooka sypała jej na głowę piach albo chowała jej buty w jakimś krzaku, żeby nie mogła ich znaleźć. Bywało, że sama się przed nią chowała i miała ubaw po pachy, gdy hrabina budziła się z drzemki, a jej nie było. Godzinami potrafiła przeczołgiwać się zza jednego krzewu pod drugi, podczas gdy stara Esmeralda kuśtykała dokoła o lasce, zdyszana, roztrzęsiona i cała w strachu.

Początkowo dostawała od króla lanie, gdy za bardzo dokazywała, ale wtedy strasznie się wściekała. Robiła się podobna do dzikiego potwora, bordowego na twarzy, z zacisniętymi pięściami, i tak przeraźliwie krzyczała, że chyba nawet król się jej bał. Więc przestał ją bić. Również dlatego, że miał dużą słabość do swojej niesfornej córki. Ta zaś szybko się zorientowała, jaką ma nad nim władzę.

Miała niespełna osiem lat, gdy któregoś dnia, siedząc przy stole, przysłuchiwała się temu, co mówi król. Gdy skończył, capnęła go za brodę i powiedziała:

— Co ty nie powiesz, staruszkule! Słysząc, że masz łeb na karku!

Przeżona królowa aż cała poczerwieniała na twarzy i ze strachem popatrzyła na swojego zacnego małżonka. Król jednak chwycił dziewczynkę w pól i śmiejąc się, rzekł:

— Jesteś wredna jak mały troll!

Bianka Maria, dorastająca w górskiej grocie trolli, też już skończyła osiem lat. Była jak na swój wiek nader wysoka i smukła i miała przepiękne złote włosy. Słuchała rodziców we wszystkim, choć pewnie zdarzało się jej w duchu pomyśleć, że nie kocha ich aż tak, jak powinna. Troll nadal uważał, że nie ma na świecie rozkoszniejszej istoty.

— Ma takie malutkie i białe paluszki — mówił. — I taką gładką cerę. I takie delikatne złote włosy.

Tak się przymilał, gdy do niej mówił; przekrzywił głowę, posyłał jej całuski i pisał jak mały szczur.

— Nie podlizuj się, stara szkarado! — wyśmiała go trollica i trzepnęła po ręce tak, że aż plasnęło.

Sama nie odczuwała wobec księżniczki ani krzty słabości. Drażniło ją nawet nieco, że dziewczynka zawsze była taka łagodna i ustepliwa i na wszystko się godziła, czego by jej nie nakazać.

Pewnego dnia trollica tak się na to wściekla, że aż krzyknęła:

— „Tak”, „tak”, wciąż tylko mówisz „tak”! Nie potrafisz powiedzieć „nie”, ty poczwaro!

Ale Bianki Marii to nie dotknęło. W milczeniu wykonywała swoją pracę, a gdy trollica pomstowała, ona nawet nie pisnęła. Już jako dziecko miała sporo obowiązków. Boso chodziła głęboko w las, gdzie szemrało źródło, by nabrać wody do kuchni. Źródło nigdy się nie wyczerpywało — ani zimą, ani latem. Brzozy tak przyjaźnie szeleściły, a korony sosen szumiały tak uroczyście, że księżniczka nabrała przekonania, iż wszystkie drzewa są jej życzliwe. Pokochała też wszystkie zwierzęta. Małe wiewiórki przybiegały z zadartą kitą i przypatrywały się jej.

— Już w lesie? Tak wcześnie? — mówiły i przysiadły na tylnych nogach. — Nie masz przypadkiem jakichś orzechów albo innych smakołyków?

A Bianka zawsze brała ze sobą orzechy albo żołędzie, które zwierzątka zjadały jej prosto z ręki. Znała wszystkie ptaki w lesie i od razu poznawała, czy to zięba czy czyżyk świergocze; przystawała i w ciszy przysłuchiwała się śpiewom drozda i gruchaniu gołębi.

Ale nie tylko piękne zwierzęta kochała. Tym brzydkim i odrażającym też była życzliwa. Gdy do ich groty gramoliły się wielkie ropuchy, Bianka wiedziała, że jeśli tylko trollica to zauważy, będzie je chciała zabić. Dlatego czym prędzej wynosiła je na zewnątrz. Nie były zbyt przyjemne w dotyku, wilgotne i ciężkie. Ale dziewczynka chwyciła taką ropuchę ostrożnie w swoje białe palce i szeptała:

— Biedna ropuszkule! Nie twoja to wina, że jesteś taka brzydka i pokraczna. Ale tu się nie pokazuj, żeby cię kto nie zatłukł miotłą.

Dzieciństwo, Przemoc,
Potwór, Przemiana

Dziecko, Las, Zwierzęta,
Obowiązek

I zostawiała ją przed wejściem na zielonej trawie. Nawet szczurów nie potrafiła nie-
nawidzić. Zbierała ziarnka kaszy do starej glinianej miski i stawiała za swoim posłaniem,
a gdy robiło się ciemno, one przybiegały i piszczwały:

— Teraz będziemy ucztować! Ale będzie uczta! Ale uczta!

Pewnego dnia trollica schwytała dwa leśne gołębie. Ścisnęła je pod skrzydłami, a one
spuściły głowy i umarły. Potem oskubała je z pierza i włożyła do kociołka. Ale Bianka
Maria stała obok i płakała. Wtedy matka bardzo się zdenerwowała:

— Kto to widział! — wrzasnęła. — Bieczeć po dwóch marnych gołębiach! Nigdy nie
będzie z ciebie odważnej, dziarskiej trollicy. Nie pojmuję, skąd tyś się wzięła?!

Choć przecież dobrze to wiedziała, ale troll zakazał jej surowo kiedykolwiek słowem
czy gestem sugerować Biance, że jest wykradzioną królewską córką.

Czas mijał i obie dziewczynki miały teraz po siedemnaście lat. Księżniczka-troll w jakiś
cudowny sposób wypiękniała. Nie była zbyt wysoka, za to szczupła i zgrabna. Jej cera nie
była już tak ciemna, jak w dzieciństwie, raczej zielono-żółta, prawie w kolorze niedojrzałej
cytryny. Kruczoczarne włosy okalały jej głowę falami i lokami. Miała też parę dużych,
smolistych oczu, które z pewnością byłyby piękne, gdyby wyrażały choć trochę życzliwości
czy dobra. One jednak spoglądały dziwnie wrogo na wszystkich ludzi. Gdy dziewczyna
się złościła, płonęły tak, że strach było w nie spojrzeć, a gdy się cieszyła, wyrażały głównie
kpinę i szyderstwo. Można było sądzić, że gardzi każdym człowiekiem. Im była starsza,
tym stawała się okrutniejsza. Policzkowała swoje sługi i kłuła szpilkami dwórki, gdy ją
ubierały. A gdy stara hrabina Esmeralda pozwalała sobie najpokorniej skrytykować jej
zachowania, ta odpowiadała:

— Co ty wiesz?! Jesteś za stara. Lepiej sobie siądz i pośpij w tym swoim fotelu, a ode
mnie się odczep. Bo tak czy siak zamierzam robić tylko to, na co mam ochotę.

I podążała za każdym swoim kaprysem. Czasami w ogóle nie chciało się jej wstać
i spała przez cały dzień z kołdrą naciągniętą po uszy. Jeśli ktoś wtedy wślizgnął się do jej
pokoju, żeby sprawdzić, czy się obudziła, ryczała:

— Wynocha i zostawcie mnie w spokoju!

Zdarzało się też, że wstawiała przez wschodem słońca, gdy mgły wciąż wisiały nad łąką,
a Gwiazda Poranna⁶⁹ świeciła na niebie. Wtedy szła do stajni, budziła stajennego, ciągnąc
go za włosy, i kazała mu osiodłać najbardziej narowistego konia. I ruszała na samotną
przejażdżkę.

— Nie chcę, by taki patalach jak ty deptał mi po piętach! — mówiła do stajennego,
po czym wskakiwała na konia i ruszała w drogę.

Nie jeździła klusem czy nawet galopem. Cwałowała. Jak burza gnała przez las. I po-
krzykiwała tak dziko, że wszystkie zające, lisy i sarny uciekały ze strachu.

Pewnego dnia wróciła do domu tak czerwona i spocona po szaleńczej jeździe, że król
bardzo stanowczo poprosił ją o większą rozwagę. Wtedy strasznie się wściekła i rękojeścią
szpicruty zabiła jedno z wielkich luster. Kawałki szkła posypały się na podłogę niczym
drobiny lodu, a król pobladł i wyszedł z komnaty. Ani on, ani królowa nie umieli sobie
poradzić z księżniczką, więc postanowili jak najszybciej wydać ją za mąż.

— Może okaże się lepszą żoną, niż była dla nas córką — powiedział król, choć królowa
nie za bardzo wierzyła w jej poprawę.

Wybrano dla Czarnookiej kawalera. Najzacieńszego i najpiękniejszego młodego hra-
biego w całym królestwie. To był niebywały zaszczyt, że dostaje za żonę jedyną córkę kró-
la, więc nie wypadało mu nawet pytać, jak wygląda księżniczka. Pozostało tylko skłonić
się do ziemi i powiedzieć:

— Dziękuję uniżenie.

Dziewczynie początkowo również spodobał się młody mężczyzna. Uważała, że jest
bardzo przystojny, więc w jego obecności stawała się tak miła i łagodna, że hrabia widział
w niej prawdziwy dar niebios. Ale już po upływie kilku tygodni zaczęła ujawniać swoją
prawdziwą naturę, a wtedy młodzieniec zrobił wielkie oczy. Nigdy nie podejrzewał, że
zobaczy kiedyś księżniczkę, która batoży swoje sługi i policzkuje dwórki. Któregoś dnia
ujrzał nawet, jak pokazuje język starej hrabinie Esmeraldzie.

⁶⁹ *Gwiazda Poranna* — potoczna nazwa planety Wenus, widocznej na niebie tuż przed wschodem Słońca.
[przypis edytorski]

— Ależ księżniczko... — powiedział osłupiały, a jego oczy zakipiały wściekłością.

Ona tylko odwróciła się w jego stronę i krzyknęła:

— Księżniczko i księżniczko! Czyżby księżniczka nie miała prawa robić tego, co się jej podoba? Nie sądzisz chyba, że będę się kajała przed tym starym czupiradłem? I przestań mi tu stroić miny. Z nas dwojga to ja jestem i pozostanę wyżej urodzona!

Z czasem okazywała się coraz bardziej kapryśna wobec swojego młodego narzeczonego. Bywało, że odwracała się do niego plecami i mówiła tylko:

— Zejdź mi z oczu! Nie mam dziś siły cię słuchać!

Kiedy indziej robiła mu tysiące uwag i komentowała jego strój. A gdy razem jechali konno, bawiło ją, gdy pędziła tak szybko, że nie miał szans jej dogonić. Kiedy hrabia wracał do zamku, ona już stała w bramie i się śmiała.

— Biedny chłopcze! — wołała. — Widać, że nigdy nie siedziałeś na koniu.

Choć potrafiła też być do rany przyłoż. Wtedy nie szczędziła narzeczonemu komentarzy i miłych słów.

— Moje ty śliczne, słodkie, rozkoszne hrabiątko! — mówiła wtedy i patrzyła na niego roziskrzonymi, czarnymi oczami. — Jesteś jak najsmaczniejszy miodowy placek! Mogłabym cię całego zjeść!

I otwierała szeroko usta, jakby go chciała ugryźć.

Młody hrabia coraz bardziej bał się swojej królewskiej narzeczonej. Dałby wszystko, by nie musieć się z nią żenić, ale ojciec powiedział, że to żadną miarą nie przystoi. Nawet gdyby była najokropniejszym trollem, to jednak wyjątkowy zaszczyt zostać wybranym na przyszłego małżonka księżniczki.

Tymczasem i Bianka Maria stała się dorosłą panną. Pewnego dnia troll powiedział do żony:

— Pora pokazać naszą córkę na dworze. Jestem z niej bardzo dumny i chcę, żeby wszystkie trolle zobaczyły, jakie mamy piękne dziecko.

— Byle przy tym nie spostrzegli, że porwane! — powiedziała trollica. — Przecież ani do mnie, ani do ciebie nie jest podobna bardziej niż leśny gołąb do ropuchy.

Ale troll obstawał przy swoim i tak pewnego ciepłego wieczoru w porze przesilenia letniego⁷⁰ ruszyli z Bianką Marią przez głęboki las do ogromnej groty, w której mieszkał król trolli i gdzie miał się odbyć letni bal.

Słońce dopiero co zaszło, gdy dotarli do królewskiej siedziby. Wewnątrz w sali balowej panował taki ścisk i unosił się tak ostry zapach trolli, że Bianka aż się cofnęła, gdy stanęli na progu; ale wszyscy zdążyli ją już zauważyć, a trollica pchnęła dziewczynę naprzód i powiedziała:

— Nie bądź taka milutka i grzeczniutka! Pokaż, że umiesz się zachować jak troll!

I tak Bianka zmuszona została, by wejść do groty.

Na tronie w głębi sali siedzieli król i królowa trolli obwieszeni taką masą błyskotek i złota, że ledwo mogli się ruszać. Królowa przypominała nieco wielką ropuchę, król zaś był stary i zasuszony jak jakieś osobliwe, zdziczałe i przerośnięte drzewo. Za to miał długi i dorodny ogon, przystrojony złotymi chwostami i kamieniami szlachetnymi. Tuż obok stał ich jedyny syn, troll-dziedzic. Chudy i obciążony skórą, z wyglądu podobny do nietoperza. Gdy ujrzał Biankę, uśmiechnął się szeroko i widać było, że ma podwójny rząd zębów, a wszystkie żółte i spiczaste. W grocie przy ścianach stały inne trolle. Różnej wielkości i najróżniejszego rodzaju. Niektóre obrośnięte futrem jak młode niedźwiedzie, inne blade i cherlawe, podobne do prosiaków z wyłupiastymi, małymi oczkami. Były też trolle przeźroczyste jak zielone szkło, i takie, które nie miały głowy i mówiły brzuchem. A wszystkie świetnie się bawiły. Śmiały się i wznosiły wesołe okrzyki; brzmiało to niczym nocna walka kotów. W końcu rozległa się trollowa muzyka. Grajków nie było widać, bo twierdzono, że nie ma na co patrzeć. Za to bardzo dobrze było ich słyszeć. Dęto w trąbki i bito w bębny, a ostre tony fletów przecinały powietrze w tę i we w tę, trochę tak, jak gdy łupie w chorych zębach. To było coś wspaniałego. A potem zaczęły się tańce. Najpierw dość dostojne, ale po niedługim czasie trolle zaczęły na siebie wpadać;

⁷⁰przesilenie letnie — w oryginale jest tutaj mowa o ludowym święcie Midsommar obchodzonym w okolicach przesilenia letniego, szczególnie w Europie Północnej; w Szwecji przypada obecnie na okres 20–26 czerwca, a pierwsza noc przesilenia na piątek 19–25 czerwca. [przypis edytorski]

podskakiwały wysoko, wywijają w powietrzu koziołki i wiły się w najdzikszych pozach. Wszystko to w ruchu zlało się w przerażającą, bezkształtną masę, w której Bianka nic już nie mogła zobaczyć. Wtem podszedł do niej książę-troll, skłonił się głęboko i zaczął przed nią tańcować. Podskakiwał wysoko, jak jakiś konik polny, wachlując przy tym swoimi wielkimi uszami i dziwnie wykrzywiając twarz, tak że widać było podwójny rząd jego zębów. Biankę aż zmroził strach, choć w grocie robiło się coraz goręcej; nagle poczuła, jak kręci się jej w głowie, i padła zemdlna na ziemię. Gdy się przebudziła, leżała na mchu w lesie. Przez listowie przeświecał księżyc, a przy niej siedzieli troll i trollica.

— Obudź się! — krzyczała trollica, chlapiąc jej w twarz wodą ze źródła. — Nie wiesz nawet, jaka będziesz szczęśliwa. Książę-troll spojrział na ciebie łaskawie i masz zostać jego żoną. Pewnego dnia będziesz królową wszystkich trolli w lesie.

I rzeczywiście było tak, jak powiedziała trollica. Młodzieniec zapalał gwałtowną miłością do Bianki, więc jeszcze przed końcem lata miało się odbyć wesele. Możecie sobie wyobrazić, jak potworne przerażenie ją ogarnęło. To prawda, że była zwykłą i skromną dziewczyną i nie miała o sobie zbyt wysokiego mniemania; mimo to uważała się za zbyt porządną, by zostać żoną księcia-trolla. Wyobraziła sobie, że miałyby zamieszkać w okropnej norze z tą pokraczną bestią — i nie było nic straszniejszego. Od tego dnia rozmyślała wyłącznie o tym, jak uciec. Nie miała pojęcia, dokąd ją to zaprowadzi, ale wiedziała, że musi spróbować.

Mniej więcej w takim samym położeniu była księżniczka-troll. Coraz bardziej miała dość swojego szlachetnego narzeczonego, on z kolei bał się jej jak nigdy. Zabrał ją do swoich zacnych rodziców, ale zachowywała się tam skandalicznie — ziewała demonstracyjnie przy stole, a wieczorami dziko tańcowała; fikała nogami wysoko w powietrzu, głośno przy tym pokrzykując niczym na polowaniu, na co hrabina i hrabia wielce się złościли. Jej samej tak się nudziło, że postanowiła w duchu nigdy nie zgodzić się na życie w tej zacnej rodzinie, w której śledzono każdy jej ruch i wstydzono jej wybryków. Więc i ona chciała gnać, daleko w dziki świat, zasmakować czegoś nowego i porywającego, uciec od króla, królowej i całego dworu.

Jej wesele zaplanowano na połowę sierpnia. Tego samego dnia na ślubnym kobiercu mieli stanąć Bianka i książę-trol. Ale wczesnym rankiem, gdy rosa wciąż pokrywała trawę, obie dziewczyny wymknęły się do lasu. Przypadek sprawił, że doszły do tych samych leszczynowych zarośli, choć się tam nie spotkały.

Bianka słyszała jakiś szelest w krzakach i pomyślała, że to zapewne skradający się lis.

Księżniczka-troll stała bez ruchu i nasłuchiwała, gdy tamta przedzierała się przez zarośla. Pomyślała, że to trzepocze jakiś dziki gołąb. I tak minęły się w leszczynie.

Bianka szła dalej przed siebie, aż doszła do akacjowego zagajnika, z którego dawno temu porwały ją trolle. Przy źródelku stała królowa. Spoglądała na tryskające strumienie wody, choć myślami była daleko. Marzyła o swojej małej, rozkosznej Biance Marii i wspominała, jak była szczęśliwa wtedy, gdy ją miała przy sobie. Ale co to? Nagle stanęła przed nią dziewczyna z wyglądu tak podobna do niej samej, gdy miała siedemnaście lat, że królowa aż krzyknęła ze zdziwienia. A Bianka od razu poznała, że to jej matka, która otwiera ramiona i mówi:

— Chodź, niech cię przytulę, Bianco Mario, moja ty rodzona córeczko!

Dziewczyna rzuciła się królowej na szyję i pierwszy raz w życiu poczuła, jak to jest być przytuloną do piersi przez własną matkę. A potem opowiedziała o swoim życiu u trolli, zaś królowa od razu się domyśliła, co się stało. Nie mogły jednak zapytać starej hrabiny Esmeraldy, bo ta spała teraz głęboko i nawet nie chrapała. Zmarła. Mimo to ani król, ani nikt inny nie mógł wątpić, że Bianka była rodzoną córką królowej. Nawet uszy i małe palce u rąk miały identyczne.

Tymczasem księżniczka-troll dotarła do jaskini w lesie. A tam stara trollica rąbała drwa. Były twarde i włókniste, więc pracując, klęła siarczyście. Dziewczyna zatrzymała się i parsknęła śmiechem.

— Podobasz mi się! — zawołała. — Tak właśnie powinno być! Przynajmniej coś się dzieje, jest tu jakieś życie!

Stara podniosła wzrok, a gdy ujrzała dziewczynę, od razu poznała, że to musi być jej córka.

Dziecko, Matka, Spotkanie,
Powrót

— Moje rodzone szalone dziecko! — wykrzyknęła, rozpostarłszy ramiona, i od razu zaczęła czochrać dziewczynie włosy. — No i proszę! — ucieszyła się. — Tak jak myślałam. Jest i kołtun! I to taki, że żaden chrześcijanin go nie rozczesze! Prawda?

Dziewczyna zaśmiała się, bo przypomniało jej się, ile wysiłku włożono, by rozdzielić ten splątany kosmyk włosów ukryty pod resztą loków.

— Ucałuj mnie, moja panno! — powiedziała trollica i dała córce soczystego buziaka.

Ta zaś wytarła usta i rzekła:

— Fuj! A niech to! Ale masz mokry dziób!

I tak to król oddał młodemu hrabiemu za żonę Biankę, a młoda trollica poślubiła księcia-trolla, by z czasem zostać królową wszystkich trolli.

Tego samego dnia urządzono ich wesela, oba bardzo okazałe. Wieczorem, gdy Bianka i jej małżonek, a za nimi liczna świta, jechali konno przez las do zamku hrabiego, dostrzegli wielkie ognisko daleko między drzewami. Dym i iskry wirowały w górę, ku niebu. I usłyszeli dzikie krzyki i wrzaski, mącące ciszę.

A gdy już wyjechali na równinę, widzieli, jak ogień pomału dogasa, a płomyki znikają. Za to wysoko nad ich głowami skrzyły się tysiące gwiazd. Płonęły na nieboskłonie i nigdy nie gasły. Wówczas to hrabia zszedł z konia swoją młodą żonę i trzymając się za ręce, weszli do pałacu swojej przyszłości.

PIĘKNA I BESTIA

Był sobie raz potężny książę, którego zamek stał wysoko nad morzem.

Stracił żonę, ale zostało mu dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka.

Urodziły się tego samego dnia, więc były bliźniakami. Chłopiec miał na imię Astolf, a dziewczynka Jolanta.

Jak to często bywa z bliźniakami, jedno było silne i krzepkie, a drugie wątłe i słabe. W tym przypadku to Astolf wyrósł jak młody dębczak, Jolanta zaś przypominała raczej lodygę lilii. Choć przecież tak lepiej, niż gdyby miało być odwrotnie.

Już od najmłodszych lat rodzeństwo bardzo się kochało. Stary książę miał wiele innych zmartwień, więc nie poświęcał dzieciom zbyt wiele czasu, ale Astolf był i ojcem, i matką dla swojej siostrzyczki. Gdy spała na trawie pod jakimś krzakiem, on siedział obok i pilnował jej jak wierny pies. Jeśli chciała pleść wianki, brat przynosił jej kwiaty, a kiedy już podrosli i wypływali w morze, ścielił dla siostrzyczki rozkoszne łoże z wielkich miękkich poduszek, sam zaś siadał za sterem, prowadząc łódź przez fale. Gdy dzień się nachylał, oni, trzymając się za ręce, wchodzili długimi schodami na wieżę. Stawali na dachu i stamtąd patrzyli, jak słońce zniża się, a na nieboskłonie pojawiają się gwiazdy.

Życie zdawało im się piękne i ciekawe, nigdy też nie szukali niczego ani nikogo poza własnym domem — tak bardzo cieszyli się z tego, że mają siebie.

Jednak wszystko się zmienia i wszystko się kończy, niczym fale, które unoszą się i opadają w morze; i tak to nastał dzień, w którym Astolf ukończył osiemnaście lat. Wówczas ojciec uznał, że chłopak powinien udać się na dwór królewski i zostać rycerzem w służbie monarchy.

— Pora, byś stał się mężczyzną — powiedział książę. — Nie znasz prawie nikogo poza swoją siostrą Jolantą i wiele się musisz nauczyć.

Oboje dobrze wiedzieli, że nie będą mogli być razem przez całe życie, a jednak wielce zasmucilo ich to, że przyszło się im rozstać.

— Boję się, że o mnie zapomnisz — powiedziała Jolanta, oplatając rękami szyję brata. — Tam, na królewskim dworze, jest pewnie wiele pięknym dam i szlachcianek, które zaprzętą ci myśli, a wtedy przestaniesz pamiętać o swojej siostrzyczce.

— Głupstwa wygadujesz — odpowiedział Astolf i uśmiechnął się. — Zapewne są na świecie piękne i wysoko urodzone damy, jednak żadna z nich nie może zastąpić siostry. Urodziliśmy się tego samego dnia, z tej samej matki, i dorastaliśmy nad tym samym morzem. W naszych żyłach płynie ta sama krew, a umysły nurtują te same myśli. Zawsze pozostaniesz dla mnie najukochańszą osobą na tej ziemi... Ale — dodał — myślę raczej, że to ty o mnie zapomnisz dla kogoś innego. Pewnie już niedługo przybędą tu zalotnicy ze wszystkich stron, by prosić o twoją rękę, a gdy już zyskasz własny dom, to raczej nie będziesz mieć czasu, by o mnie myśleć. Proszę cię tylko o jedno. Przyglądaj się uważnie

Wesele, Miłość, Szczęście

Brat, Siostra, Miłość,
Zamek, Sierota

Przemijanie

Rozstanie, Smutek, Rodzina

każdemu, kto będzie cię chciał wziąć za żonę. Przypatrz się, czy ma dobre oczy. A jeśli nie... Jeśli nie, to go odpraw!

— Chcesz mi powiedzieć coś jeszcze? — zapytała Jolanta z ramionami wciąż zarzucenymi na szyję brata.

— A gdybyś była w potrzebie, kochana siostrzyczko — powiedział — wyślij do mnie posłańca! Natychmiast! Czym prędzej! A ja, czego bym wtedy nie robił, porzucę to i przybędę ci na pomoc. Gdybyś jednak nie miała kogo posłać, to mnie zawołaj. Krzyknij moje imię tak głośno, jak tylko potrafisz, a ja przyrzekam, że usłyszę i popędzę ci na ratunek.

Zdjął jej ręce ze swojej szyi i dosiadł konia, a Jolanta, widząc, jak znika ze swoją świtą, padła niczym złamana lilia między kwiaty w ogrodzie.

Niedługo po odjeździe Astolfa do zamku przybył pierwszy zalotnik. Wieść o niezwykłej urodzie Jolanty rozeszła się szeroko, a poza tym, wiadomo, była córką najbardziej wpływowego człowieka w całym królestwie. Ona jednak nie myślała ani o narzeczeństwie, ani o zamążpójściu, i nie chciała nawet słyszeć o tym, że miałyby opuścić zamek ojca. Uzgodniła ze starym księciem, że jeśli nie będzie chciała przyjąć oświadczyn, to wychodząc z jadalni, zostawi na stole rękawiczki. Wówczas nie będzie zmuszona wymawiać tego twardego słowa „nie” ani oglądać niczyjej smutnej twarzy.

Raz za razem na zamkowym dziedzińcu pojawiał się jakiś zacny konkurent i raz za razem znajdował położone przez księżniczkę na stole wyszywane złotem rękawiczki, a wtedy pozostawało mu już tylko osiodłać konia i odjechać.

Aż tu pewnego dnia na moście nad fosą ukazała się bardzo osobliwa świta. Rośli i silni wojowie dosiadający dzikich, czarnych koni. Jeźdźcy mieli przy hełmach pióra drapieżnych ptaków, a niektórzy dźwigali na szyszaku całe poroże jelenia. Na ich czele jechał potężny rycerz, odziany w pancerz połyskujący złotem i szlachetnymi kamieniami. Gdy go przyprowadzono przed oblicze księcia, pokłonił się nisko i powiedział, że przysyła go władca lasów, który pragnie poślubić Jolantę. I że przynosi dary. Wyrzekłszy te słowa, przekazał włócznię z kości słoniowej i srebra. Na ten widok Jolanta głośno krzyknęła. Nie zabiłaby nawet najmniejszego ptaszka, więc na co jej była włócznia?! A wtedy nieznanymi jeźdźcami otworzył niewielką szkatułkę, z której wyjął łańcuch ze złota i rubinów. Zarzucił go Jolancie na szyję, tak że opadł na jej białą jedwabną suknię; ona jednak prędko go ściągnęła i zsunął się na podłogę.

— Można by pomyśleć, że mnie kto obryzgał krwią — wykrzyknęła. — Te czerwone plamy na moim białym stroju! Noszę jedynie perły!

Obcy rycerz uśmiechnął się, choć w jego oczach pojawiły się złowrogie błyski.

— Oby ta niewielka książeczka bardziej przypadła księżniczce do gustu — powiedział i wręczył Jolancie mały modlitewnik.

Tomik był oprawiony w białą skórę, bogato zdobiony szlachetnymi kamieniami i pełen portretów świętych, namalowanych z wielką nabożnością i świecących niczym kwiaty na łące.

— Ach! — westchnęła Jolanta i wyciągnęła rękę po książkę, po czym natychmiast zaczęła ją wertować. — Książę lasów musi być bardzo pobożnym i dobrym człowiekiem, skoro kazał tak pięknie ozdobić tę świętą książkę — powiedziała, nie podnosząc wzroku.

— Czy więc może tu przybyć sam i się przedstawić? — zapytał poseł.

— Może! — odpowiedziała księżniczka, wyciągając do niego rękę.

Nie przestawała czytać.

Ledwo kilka dni później na dziedzińcu zamku wjechał książę lasów. Nigdy nie widziano tam dostojniejszego rycerza. Był wyższy od reszty jeźdźców w swojej świcie, szczyły w talii i szeroki w ramionach. Na krótkich, kruczoczarnych włosach nosił złoty hełm z kilkoma dorodnymi orlimi piórami, a na ogorziałych rękach grube złote bransolety. Jego oczy też były czarne i skrzyły się z osobliwym, dzikim blaskiem, a gdy się śmiał, pokazywał dwa rzędy śnieżnobiałych zębów z ostrymi, spiczastymi kłami. Stary książę przyjął go nad wyraz uroczyście. Wiedzano o nim tyle, że władca rozległymi lasami, porastającymi górskie zbocza, ale niewiele więcej. To jedno było pewne, że sam tytuł „książę lasów” budził w ludziach swego rodzaju zalękniony szacunek, a ci, którzy choć raz go zobaczyli, nigdy tego nie zapominali.

Gdy ojciec poprowadził do niego Jolantę, dygnęła do samej podłogi. Lecz kiedy podniosła wzrok i spojrzała mu w twarz, zdrżała.

Klejnot

Książka

Rycerz, Uroda, Siła,
Bogactwo

— On nie ma dobrych oczu! — szepnęła do ojca.

A gdy wieczorem stary książę zapytał, czy chce oddać władcy lasów swą rękę, odpowiedziała to samo: „On nie ma dobrych oczu”. Ale ojciec odrzekł, że nie należy skupiać się na takich drobiazgach. I że to będzie wielki zaszczyt i szczęście mieć tak potężnego i budzącego strach zięcia. Wtedy Jolanta mogła już tylko westchnąć. Ślub został postanowiony.

W dniu wesela na zamku początkowo panowała uroczysta atmosfera. Z czasem jednak pojawiło się spore zamieszanie, a na koniec wręcz dzikie harce. Opróżniono wiele beczek reńskiego wina i oczy wojów zaszyły czerwienią. Wszędzie płonęły pochodnie i ogniska, a obcym, którzy, płynąc statkami, mijali zamek po zachodzie słońca, mogło się zdawać, że budynek się pali, taka luna biła od niego w ciemnościach. Gdy nad czarnymi drzewami pojawił się księżyc, książę lasu kazał przyprowadzić konia. Jeszcze tej samej nocy chciał zabrać małżonkę do swojego domu w górach. Towarzyszyło mu trzydziestu wojów na wielkich, czarnych rumakach.

Książę chwycił Jolantę za rękę i posadził, lekką jak piórko, na koniu przed sobą, po czym ruszyli mostem nad fosą i dalej w górę ku lasom.

Jolanta płakała, gdyż czuła się jak umarła, opuszczając ukochany rodzinny dom, ale mąż powiedział szorstko:

— Przestań płakać! Teraz jesteś *moją* żoną, a chcę mieć małżonkę, która uśmiecha się łagodnie i jest wesola.

Chwilę potem przycisnął ją do piersi tak mocno, że aż krzyknęła.

— Nie ściskaj mnie tak! Jeszcze mnie złamiesz wpół — skarżyła się.

Wtedy on poluzował swój żelazny uścisk. Ale nie na długo. Wkrótce znów tak ją mocno objął w pasie, że aż pisnęła.

— Uważaj! — krzyknęła. — Bo mi się serce ześlizgnie do pończoch.

— Nie wolno ci kwilić jak pisklak — powiedział ponuro książę lasów. — Masz być posłuszna i cicha. Właśnie wjeżdżamy na teren moich dóbr.

Koń zwolnił, bo droga zaczęła piąć się w górę i w głąb rozległych lasów. Jolanta siedziała skulona i przerażonym wzrokiem spoglądała na strzeliste świerki, które zwieszały swoje długie gałęzie ku ziemi, i na sosny, które pięły się aż pod bezchmurne niebo i rozpościerały swoje korony w księżycowym świetle. W dole między pniami panowała martwa cisza i dziewczyna słyszała jedynie tętent kopyt trzydziestu koni, które jechały za nimi. Czasami w gęstych zaroślach zahuczała sowa albo coś zaszeleściło w krzakach, jakby poruszyła się w nich jakaś zwierzyna, po czym znów zapadała cisza. Las stawał się coraz czarniejszy i wyższy, noc zrobiła się lodowato zimna. Książę wciągnął żonę pod swój płaszcz. Siedziała tam teraz, dygocząc, a lzy powoli spływały jej po policzkach. Droga pięła się coraz wyżej i wyżej i coraz wolniej szły konie. Wtem rozległ się głos księcia lasów:

— Widzisz tamto światło? Wkrótce będziemy w domu!

Po chwili wszyscy jeźdźcy zatrzymali się, a Jolanta zobaczyła przed sobą coś jakby skalną ścianę. Ale pośrodku było wejście, przez które ujrzała wielką salę, a w niej potężny ogień. Książę lasów zeskoczył z siodła, po czym zdjął żonę z konia. W tej samej chwili uniósł rękę, dając znak rycerzom, by się oddalili. Momentalnie — jakby ich zdmuchnął wiatr — zniknęli bez śladu.

Książę wprowadził Jolantę do skalnej komnaty. Ale nikt nie wyszedł jej przywitać.

— Siądź tu sobie i odpocznij! — powiedział, jak to on, szorstko. — Ja tymczasem przebiorę się w mój codzienny strój. I niedługo do ciebie wrócę.

Powiedziawszy to, zostawił ją samą.

Jolanta rozejrzała się dookoła. Sala była pusta i straszna. Znajdował się tam tylko jeden mebel — przytwierdzona do ściany ława, tuż przy kominku, w którym skwierczały wielkie dębowe szczapy i buchały potężne płomienie.

Sufit był wysoki jak w kościele, a całe ściany pokryte świerkowymi szyszkami. Przez otwór w powale Jolanta zobaczyła niebo, a na nim gwiazdy rozświetlające spokojną noc. Było jednak coś, co zrobiło na niej szczególnie przykre i przygnębiające wrażenie. Na wszystkich ścianach sali wisiały poprzybijane gwoździami głowy zwierząt. Zewsząd patrzyły na nią jelenie, sarny i zające. Zrozumiała, że to muszą być zwierzęta zabite przez jej męża i jego towarzyszy. Wydawało się jej, że patrzą na nią ze śmiertelnym lękiem w oczach, choć

Wesele

Podróż, Las, Noc

Strój, Przebranie

Dom, Strach

ich rozwarte pyski nie wydawały z siebie żadnych odgłosów. Nie miała pojęcia, że może istnieć miejsce tak samotne i odstręczające jak ta sala. Rozglądała się niespokojnie dokoła, mając nadzieję, że mąż jednak niedługo wróci i nie będzie się już czuła tak opuszczona. Ale co to za odgłosy? Wstrzymała oddech, żeby lepiej słyszeć.

Do jej uszu dotarły jakieś dziwne sapanie, jednocześnie zatrzęsała się podłoga, jakby ktoś zbliżał się ciężkim, człapiącym krokiem. Przeżrana Jolanta spojrzała w stronę wejścia, ale nie pojawił się w nim książę, tylko przerażający, wielki niedźwiedź. Stał na tylnych łapach, a z pyska zwiślał mu długi, ognistoczerwony jęzor. Ruszył w jej stronę z rozwartymi ramionami — i wtedy zrozumiała. Rozpoznała go po tych dzikich zwierzęcych oczach. Zobaczyła księcia lasów takim, jakim był naprawdę, gdy przebywał we własnym królestwie... Nie ruszyła się z miejsca, skamieniała ze strachu, a niedźwiedź był coraz bliżej.

— Słodka jesteś — zamruczał. — Słodsza od miodu. Chodź, niech cię przytulę, a potem zjem!

Wyciągnął łapy, by ją objąć, a Jolanta pomyślała, że nadeszła jej ostatnia godzina.

Ale, jak to często bywa, ten kto broni własnego życia, znajduje jakąś radę. Nie inaczej było z księżniczką.

Od razu przypomniała sobie, że niedźwiedzie nigdy nie tkną niczego, co jest martwe, jeśli same tego nie zabiły. W tej samej chwili padła na ziemię i leżała tam teraz zupełnie bez ruchu. Poczowała, jak zwierzę trąca ją z boku wilgotnym pyskiem, słyszała, jak przy niej posapuje i pomrukuje, ale wciąż leżała jak nieżywa. Wtedy niedźwiedź głośno ryknął i popędził w las, zostawiając za sobą otwarte drzwi, tak, że zimny nocny wiatr owiewał twarz Jolanty. Ona jednak nie miała odwagi się podnieść, bała się poruszyć choćby palcem. I całe szczęście, bo wkrótce niedźwiedź znów wpadł do środka, miotał się jak oszalały po sali i turlał ciałem Jolanty w tę i z powrotem po ziemi. Po czym znów wybiegł w las, a po chwili wrócił, by dalej się nad nią pastwić. I tak przez całą noc. Dopiero gdy weszło słońce i pierwsze czerwone promienie wpadły do groty, zniknął, a ona odważyła się podnieść i podczołgać do ławy przy kominku, w którym ogień już wygasł i został jedynie kopczyk popiołu. Była tak obolała i zmęczona, że od razu zasnęła. Gdy się obudziła, książę stał pochylony nad nią. Teraz, za dnia, odzyskał swój ludzki wygląd i zdawał się być dostojnym rycerzem.

— Dobrze spałaś, moja lilijko? — zapytał serdecznie.

— Tak, chyba tak — odpowiedziała księżniczka, przecierając oczy.

Książę ruszył na polowanie ze swoimi ludźmi, ale wieczorem mieli się zebrać razem w wielkiej sali na posiłek. Powiedział, że przyśle swoich parobków, żeby się wszystkim zajęli. Tak oto Jolanta spędziła cały dzień sama, rozmyślając wyłącznie o tym, jak uciec. Ale dokąd? Nie potrafiłaby odnaleźć drogi czy ścieżki w tej dzicy, gdzie drzewa rosły gęsto jedno przy drugim, a wszystkie do siebie podobne. A gdyby przy tym natknęła się na męża i jego ludzi, zaprzepaściłaby wszystkie szanse na ucieczkę. Położyła się na mchu pod wysokimi sosnami i słuchając ich monotonnego, smętnego szumu, zasnęła i spała aż do wieczora.

Zanim zaszło słońce, cała drużyna wróciła z polowania. Zabito wiele jeleni i saren, a ich biedne, martwe ciała zrzucano na wielki stos przed drzwiami jaskini. W środku przyboczni i parobkowie już przygotowali wieczorną ucztę. Ustawili tam wielki stół, na którym połyskiwały dzbany z winem i puchary. W kominku ogień wzbijał płomień i iskry, a gdy wszyscy zajęli miejsca, nadbiegli podkuchenni z misami pełnymi pieczonych głów dzików, jelenich grzbietów i leśnych ptaków, inni zaś napełniali puchary, gdy tylko je opróżniono. Wszystko toczyło się bardzo szybko. Otwierano jedną beczkę wina po drugiej, krzycząc przy tym i śmiejąc się tak gromko, że Jolanta drżała jak osika. Patrząc na tych dzikich wojów, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że wszyscy oni podobni byli do leśnych zwierząt. Jedni do lisów, inni do rysi, byli i tacy, którzy z twarzy przypominali zgłodniałe wilki. Na koniec księżniczka ukradkiem spojrzała na swojego męża. Tak, przypominał niedźwiedzia. *Był* niedźwiedziem! Teraz już to wiedziała. Późną nocą cała ta dzika horda, zataczając się, opuściła grotę, a Jolanta znów została sama z władcą lasów. Tak jak ubiegłej nocy książę poprosił, by spoczęła na ławie przy kominku, gdy on pójdzie się przebrać w swój codzienny strój. Tym razem księżniczka nie czekała do jego powrotu. Od razu padła jak zabita. Położyła się pośrodku wielkiej sali, sztywne niczym

Noc, Zwierzę, Strach,
Przemiana, Przemoc,
Przebranie, Podstęp

Polowanie, Uczta

rzeźba zdobiąca sarkofag, ze złożonymi rękami. Chwilę potem poczuła, jak trzęsie się ziemia, drzewi otworzyły się z impetem i do środka wpadł niedźwiedź. Zorientowała się, że stanął zdziwiony, widząc ją leżącą trupem na podłodze; ale już wkrótce rozpoczął swą dziką gonitwę, tej nocy jeszcze gwałtowniejszą niż poprzedniej. Rycząc głośno, rzucał się na wszystkie strony, szarpał ją swoimi wielkimi łapami i obracał jak tobolek wilgotnym pyskiem. Następnie pognął w las, skąd wrócił jeszcze bardziej rozwścieczony.

Jolanta sama się dziwiła, że nie skończyła ze strachu i bólu, ale wytrzymała i nawet nie drgnęła. Przecież chodziło o jej życie! Gdy pierwsze promienie słońca wpadły do komnaty, niedźwiedź zniknął, księżniczka zaś, jak poprzedniej nocy, legła na ławie przy kominku i od razu zasnęła. Gdy mąż obudził ją, wydawał się w ogóle nie pamiętać nocnych zdarzeń. Ciekawe, że każdej kolejnej nocy niedźwiedź wierzył w to, że jest martwa. Jakby zupełnie zapomniał, że jeszcze przed chwilą widział ją przy życiu.

Ale zapewne możecie sobie wyobrazić, jak potworne było życie nieszczęsnej Jolanty!

Naturalnie przespiała prawie cały dzień, podczas gdy książe lasów i jego wojowie polowali; jednak każdego wieczora z przerażeniem patrzyła na znikające słońce, gdyż każda noc była dla niej walką o życie.

Często rozglądała się po wielkim, mrocznym borze i zastanawiała się, czy udałoby się jej znaleźć ścieżkę, którą mogłaby uciec, ale bała się nawet próbować. Las był taki dziki i nieprzystępny... A gdyby spotkała w nim myśliwską drużynę, byłoby po niej. Minęło lato i nadeszła zima. Co prawda na drzewach nie wędły liście, bo las składał się wyłącznie z sosen i świerków, ale Jolanta czuła to w powietrzu, które zrobiło się przenikliwie zimne, i w porywach wiatru, który szarpał wierzchołkami drzew. Pewnego dnia siedziała przed drzwiami w bladym słońcu. Na dłoni trzymała sokoła, którego podarował jej książe. Ptak był na uwieczni, więc mógł wlecieć tylko tak wysoko, jak mu pozwalała tasiemka u nogi. Jego żółte oczy patrzyły smutno. Siedział na dłoni Jolanty niczym jakiś nędzny więzień. Nagle księżniczka podniosła się i szepnęła:

— Oddaję ci wolność! Możesz odlecieć i już tu nie wracać, jeśli najpierw polecisz do mojego brata, do obozu wojsk królewskich. Poznasz jego namiot po chorągwi, która nad nim powiewa, białej z trzema złotymi gwiazdami. Wówczas powiesz mu, żeby pośpieszył mi na pomoc, bo już dłużej tego nie zniosę. Zrozumiałeś?

Sokół skłonił głowę i zatrzepotał skrzydłami, a wtedy Jolanta odwiązała tasiemkę i pozwoliła mu wlecieć wysoko pod jesienne niebo. Już po chwili straciła go z oczu.

W obozie króla Astolf stał u wejścia do namiotu i spoglądał w dal. Właśnie myślał o swojej siostrzyczce i zastanawiał się, co się u niej dzieje, gdy zobaczył nadlatującego sokoła, który ciął powietrze tak szybko, jakby przynosił złe wieści. Zapikował i wylądował na ramieniu Astolfa. Przybliżył dziób do jego ucha i wyglądało na to, że chce mu coś powiedzieć — ale pozostał niemową, jak to ptak.

— Czego ode mnie chcesz? Masz dla mnie jakieś wieści? — zapytał Astolf, przyglądając się sokołowi, ale gdy ten jedynie lekko zamachał skrzydłami i otworzył dziób bez słowa, książe stracił cierpliwość. — Skoro nie potrafisz mówić i nie masz mi nic do powiedzenia, to leć sobie! — rzekł i potrząsnął ręką, tak że sokół musiał odlecieć, nie wykonawszy zadania.

Jolanta czekała przez wiele długich dni, ale ponieważ nie nadchodziły żadne wieści od brata, pomyślała, że ptak poleciał swoją drogą i nie dotrzymał obietnicy.

Z każdym zaś dniem była coraz chudsza i bledsza. Czuła, że jeśli nie nadejdzie pomoc, to wkrótce umrze.

Aż tu któregoś dnia, gdy szła lasem przez podwiędłą trawę, między jej nogami przepełznął wąż. Chwyliła kij, by go zabić, ale w tej samej chwili przyszła jej do głowy pewna myśl.

— Dam ci żyć, biedna gadzino — powiedziała do węża — jeśli mi obiecasz, że pognasz przez góry i pagórki aż do obozu wojsk królewskich. Tam powiesz mojemu bratu, że pora już, by pośpieszył mi na pomoc. Poznasz go po herbie na tarczy. Ma w nim trzy róże i trzy miecze, a przy hełmie nosi trzy białe pióra.

Gad wił się u stóp Jolanty, jakby chciał jej powiedzieć „Dziękuję”, a po chwili wpełzł między zarośla i zniknął.

Przemiana, Strach, Pamięć

Ptak, Niewola, Wolność,
Wiadomość

Rozczarowanie, Rozpacz

Astolf siedział przed wejściem do namiotu, gdy spostrzegł zbliżającego się węża, jednak od razu pojął, że ten nie chce mu zrobić krzywdy. Wąż podpełznął do stóp księcia i zadarł głowę, jakby mu chciał powierzyć jakąś tajemnicę.

— Czego ode mnie chcesz, dziwne stworzenie? — zapytał Astolf, a wąż wspiął się i pokazał swój rozwidlony język; ale ponieważ nie umiał mówić, młodzieniec go kopnął. — Nie mam czasu na zagadki! — powiedział ze złością, a gad pierzchnął.

Astolf zaczął mieć dziwne przeczucia. Po co przychodziły te zwierzęta, jakby je ktoś przysyłał, i co mu chciały powiedzieć?

Tymczasem Jolanta siedziała wysoko w samotnym lesie i czekała. Mijały dni i tygodnie, ale nic nie przerywało jej ciężkiego i pełnego lęków życia. Z każdą kolejną nocą niedźwiedź zdawał się coraz bardziej dziki i silniejszy, ona zaś coraz bardziej bezbronna. Pewne było, że nadejdzie chwila, gdy nie będzie już potrafiła leżeć jak martwa na ziemi, a wtedy ta dzika bestia chapnie ją i zje. Nieomal czuła, jak ją miażdży swoimi masywnymi szczękami.

Zdarzyło się jednak pewnego dnia, pod koniec jesieni, gdy siedziała przed swoim domostwem pod wysokimi sosnami, że obok przemknął jej mąż, a za nim reszta myśliwych. Przed nimi, długimi skokami, by uniknąć strzała, rącho pędziła młoda sarna i gdy ujrzała Jolantę, pospieszyła do niej i schowała pod jej długą peleryną. Mężczyźni nie spostrzegli, dokąd uciekła, i pocwałowali dalej w las. Gdy zniknęli, księżniczka rozchyliła poły. Sarna popatrzyła na nią złękionymi oczami, a jej serce biło gwałtownie. Dziewczyna pogłaskała ją po długiej szyi, po czym powiedziała powoli:

— Wyratowałam cię od śmierci, więc teraz ty musisz mi pomóc, zwinne i szybko nogie zwierzę. Biegnij co siłą, biegnij do obozu wojsk królewskich i nie zatrzymuj się, póki nie dotrzesz do namiotu mojego brata. Od razu go poznasz po oczach. Nikt na świecie nie ma tak dobrych oczu jak on. I powiedz mu, żeby tu przybył, szybko, jak najszybciej, i uratował mnie od śmierci. Zrozumiałaś?

Sarna, łaszcząc się, położyła głowę na ręce księżniczki i spojrzała na nią swoimi mądrymi, smutnymi oczami. Potem zaczęła biec i w podskokach zniknęła w lesie.

O zachodzie słońca Astolf stał przed wejściem do namiotu, gdy wtem zobaczył nadbiegającą sarnę, przeskakującą lekko jak myśl nad krzakami i zaroślami, aż wylądowała u jego stóp. Spojrzała nań swoimi wielkimi i zaciekawionymi oczami, przytuliła głowę do jego ręki i wydawało się, że chce zwierzyć mu się z czegoś, co jej ciąży na sercu.

— Czego ode mnie chcesz? — zapytał, gdy wciąż zarzucała głową i przestępowała z nogi na nogę. — Co takiego masz mi do powiedzenia?

Ale przecież sarna nie umiała mówić, więc po chwili Astolf rzekł smutno:

— Nie rozumiem cię. Nie mówimy tym samym językiem. Jeśli ktoś cię tutaj przysłał, to powiedz mi, kto to taki?

Zwierzę tylko spojrzało na Astolfa swoimi rozżalonymi oczami i popędziło przez równinę.

Jolanta znów wyglądała posłańca w ciemnym lesie. Dni były teraz tak krótkie, że wcześniej przychodziło jej wracać do środka, a gdy siedziała tam sama w wielkiej sali, czekając na powrót dzikich myśliwych, i złękionia rozglądała się dokoła, widziała głowy wszystkich tych martwych zwierząt, którymi przystrojono ściany. I wydało się jej, że obserwują ją z ponurymi minami, jakby chciały powiedzieć: „Poczekaj tylko! Niedługo przyjdzie twoja kolej. Zabije cię!”

I tak pewnego pogodnego jesiennego poranka Jolanta stała w lesie. Myśliwi już sobie pojechali, ale minionej nocy niedźwiedź był straszny. Ryczał jak oszalały i ciskał nią po podłodze tak, że na rękach miała krwawe siniaki.

Czuła, że dłużej już nie wytrzyma. Trzęsła się na całym ciele i z trudem stawiała kroki. Uniosła ręce wysoko ku niebu i zawołała ze wszystkich sił:

— Astolfie! Astolfie! Astolfie! Przyjdź mi na pomoc! Ginę!

Po czym padła omdlała na zwiędłą trawę.

Tymczasem w namiocie króla w obozowisku odbywała się uczta. Rycerze siedzieli na długich ławach, a rogi, z których pito, sprawnie przechodziły z rąk do rąk. Wśród wojów był też Astolf. Śmiał się i śpiewał raźnie i wesoło. Nagle pobladł i zwrócił się do swojego sąsiada:

— Dlaczego klepnąłeś mnie w ramię? — zapytał ostro.

— Śnisz! — usłyszał w odpowiedzi. — Nikt cię nie tknął.

Po chwili Astolf gwałtownie odwrócił głowę. Wydawało mu się, że ktoś chwyta go za gardło obiema rękami. Zamilkł i z impetem odstawił puchar na stół. Wtem poderwał się.

— Tak! Tak! Już pędzę! — wykrzyknął.

Najwyraźniej usłyszał głos Jolanty, która przyzywała go w swojej rozpacz.

— Oszała! — stwierdzili jego towarzysze, widząc, jak młodzieniec wybiega z namiotu.

Po chwili był już w stajni i siodłał konia. Dosiadł go i pognął przed siebie. Szybciej niż leci sokół i wije się wąż, szybciej niż sarna biegnie przez las, mknął na rumaku po górach i pagórkach, aż dotarł do zamku swojego ojca nad brzegiem morza. Most nad fosą zadudnił, gdy Astolf wjeżdżał po nim na zamkowy dziedziniec. Tam wstrzymał konia i zapytał donośnym głosem:

— Gdzie jest Jolanta?

Właśnie zachodziło słońce. Niczym krwawa tarcza osuwało się w fale na horyzoncie. Może było czarne jak węgiel, a zimne bałwany burzyły się pod płonącym niebem.

Astolf nie zsiadł z konia. Gdy tylko dowiedział się, że Jolanta nie mieszka już na zamku, lecz daleko w dzikich górskich ostępach, w pałacu księcia lasów, zawrócił konia i pocałował w noc ku wzgórzom.

Wkrótce otoczyła go ciemność, że oko wykol. Było zimna, a znad morza nadciągnął sztorm. Z mozołem przedzierał się przez skały w poszukiwaniu drogi. Las dokoła gęstniał z każdą chwilą. Wtem usłyszał przeraźliwe wycie i z zarośli wybiegły dwa wychudzone wilki. Ich oczy świeciły w ciemności, a z pysków zwisały im języki. Rozwścieczone dopadły konia, by go rozszarpać. Ale Astolf dobył miecza i po krótkiej, acz zażartej, walce, zabił je oba. Spiał ostrogami konia i popędził dalej, a wtedy cały las jakby ożył. Ze wszystkich stron nadciągały dzikie zwierzęta: lisy o wściekłych oczach i ostrych kłach, rysie z rozdziawionymi paszczami i pędzlami, które lśniły na ich uszach jak płomienie ognia, wygłodzone wilki i małe, grube i żarłoczne niedźwiedzie — wszystkie one rzuciły się, by zabić księcia i jego wiernego rumaka.

Astolf dzielnie walczył z nimi wszystkimi; wymachiwał oszczepem i siekł mieczem, rzucając się z jednego boku konia na drugi.

Ostatecznie zabił tyle zwierząt, że pozostałe, z głośnym wyciem, zaczęły uciekać, a nieustraszony rycerz znów ruszył samotnie przed siebie.

W lesie było ciemno jak nocą i tylko wysokie korony sosen szumiały niczym wielkie wzburzone morze. Wreszcie Astolf dojrzał jakieś światło, migoczące jak gwiazda wysoko między drzewami. Im był bliżej, tym silniej świeciło. Wreszcie zrozumiał, że to musi być ogień, palący się w jakimś domostwie, a niedługo potem znalazł się przed grotą księcia lasów.

Wstrzymał konia i nasłuchiwał. Ale nic nie usłyszał. Wszystko wydawało się opuszczone i martwe. Aż tu nagle... Z wnętrza domu wypadł ogromny niedźwiedź! Astolf nigdy wcześniej nie widział tak przeraźliwie wielkiego zwierzęcia. Ciężkim, kołyszącym się krokiem niedźwiedź zszedł po schodach i popędził w las. Jęzor zwisał mu z czerwonej paszczy, oczy wydawały się buchać ogniem, a przy tym ryczał tak dziko i przeraźliwie, jakby go przeszyły śmiertelne strzały.

Naraz dostrzegł księcia. Stał na tylnych nogach i ruszył na niego z szeroko otwartymi łapami, gotów zmiażdżyć go w swoim uścisku. Astolf poprawił się w siodle i rozpoczęła się walka na śmierć i życie. Niedźwiedź miał jakąś niespożytą moc i sięgał ponad grzbiet konia.

Młodzieniec był już porządnie wycieńczony walką z dzikimi zwierzętami w lesie, ale wiedział, że to nie przelewki.

Niedźwiedź skutecznie unikał ciosów miecza i dźgnięć oszczepu Astolfa. Kasał konia w bok tak, że tryskała krew, a zwierzę omal nie padło z bólu. W końcu jednak książe ze wszystkich sił smagnął go oszczepem i przebił nią na wylot tułów niedźwiedzia. Ten wydał z siebie ostatni potworny ryk, po czym osunął się martwy na ziemię.

Wtedy Astolf zeskoczył z konia i po ciele niedźwiedzia wszedł do leśnego pałacu. Otworzył drzwi wielkiej sali. W kominku wciąż buchał ogień. Liczne oczy martwych zwierząt spoglądały na niego ze ścian. Nagle spostrzegł, że ktoś leży na ziemi.

Las, Zwierzęta,
Niebezpieczeństwo, Rycerz,
Walka, Ciemność

Rycerz, Zwierzę, Walka,
Śmierć

Drobna i delikatna postać leżała na plecach ze złożonymi rękami niczym rzeźba na sarkofagu. Astolf szybko tam podszedł i uklęknął przy jej boku.

Przecież to Jolanta! Jego ukochana siostrzyczka!

Leżała nieruchomo, jakby była martwa, z twarzą tak pobladłą, że Astolf naprawdę pomyślał, że już nie żyje. A wtedy zobaczył, że jej powieki delikatnie drżą, więc chwycił jej dłoń i przycisnął do swoich warg.

Od razu poczuł, że ta dłoń jest miękka i ciepła. Jednak Jolanta się nie ruszała. Myślała, że to niedźwiedź, który wrócił z lasu i znów się do niej zbliżył.

— Jolanto! — szepnął łagodnie Astolf.

Po całym jej ciele przeszedł dreszcz. Aż nazbyt dobrze znała ten głos, więc pomalą otworzyła oczy. A wtedy zobaczyła swojego ukochanego brata, który klęczał przy niej i się uśmiechał.

Zarzuciła mu ręce na szyję i zapłakała, tuląc się do jego piersi.

Nagle przypomniała sobie jednak o swoim strasliwym mężu, więc zawołała:

— Pospiesz się, uciekaj, bo inaczej przyjdzie niedźwiedź i cię zabije!

Wtedy Astolf odpowiedział jej, że niedźwiedź leży martwy w lesie. Wziął ją na ręce i poniósł, wsadził na konia i otulił swoim płaszczem. I tak ruszyli w drogę powrotną. Wierzchowiec szedł noga za nogą po kamieniach i skałach w dół przez ponury sosnowy las.

Słońce zaczęło wyzierać bladymi promieniami, a gdy dotarli na równinę, rozpostarła się przed nimi nieskończona srebrnobiała tafla.

— Widzisz, Jolanto?! Już jesteśmy nad morzem! — powiedział Astolf, rozchylając połę płaszcza, ale siostra spała z głową opartą na jego piersi, na wysokości serca.

Niedługo potem wjechali po zwodzonym moście na zamkowy dziedziniec. Czerwone jak róża słońce oświetlało ceglane mury zamku, gdy Astolf znów rozsunął połę swego okrycia i powiedział:

— Patrz, Jolanto! Jesteśmy w domu!

Wtedy się obudziła. Przetarła oczy i uśmiechnęła się. A Astolf zdjął ją z konia i trzymając się za ręce, weszli schodami na zamkową wieżę. Stali tam potem szczęśliwi i spoglądali w morze, daleko aż na kraj świata.

Brat, Siostra, Spotkanie

Powrót, Dom, Morze,
Szczęście

O TŁUMACZCE

Skandynawistka, literaturoznawczyni, tłumaczka wielu szwedzkich książek dla dzieci. Naukowo interesuje się przede wszystkim przekładem, zwłaszcza starszej literatury dziecięcej i młodzieżowej, w tym przekładem intermedialnym i praktykami translatorskimi.

Na stałe współpracuje z jednym z wydawnictw jako tłumaczka i redaktorka. Ma na swoim koncie ponad pięćdziesiąt przetłumaczonych tytułów. W jej dorobku znaleźć można tłumaczenia takich autorów jak Åsa Lind, Märten Melin, Jakob Wegelius, Kristina Sigunsdotter.

Zajmuje się też popularyzacją szwedzkiej literatury i kultury dziecięcej, prowadzi spotkania dla uczniów i szkolenia dla nauczycieli i bibliotekarzy.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest udostępniony na licencji [Licencja Wolnej Sztuki 1.3](#).

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#). Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/nyblom-zwierzeta-i-ludzie-w-basniach-i-legendach-dawnej-polnocy>

Tekst opracowany na podstawie: Helena Nyblom, *Zwierzęta i ludzie w baśniach i legendach dawnej Północy*, tłum. Agnieszka Stróżyk, wyd. Fundacja Wolne Lektury, Warszawa 2026.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury (www.wolnelektury.pl). Projekt dofinansowany przez Unię Europejską. Wyrażone poglądy i opinie są jednak wyłącznie poglądami autorów i niekoniecznie odzwierciedlają poglądy Unii Europejskiej lub Europejskiej Agencji Wykonawczej ds. Edukacji i Kultury. Ani Unia Europejska, ani organ przyznający dofinansowanie nie ponoszą za nie odpowiedzialności.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Elżbieta Sekuła, Jacek Barański.

ISBN 978-83-288-8282-9

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).